JERZY URBAN

o swoim życiu
rozmawia
z Martą Stremecką

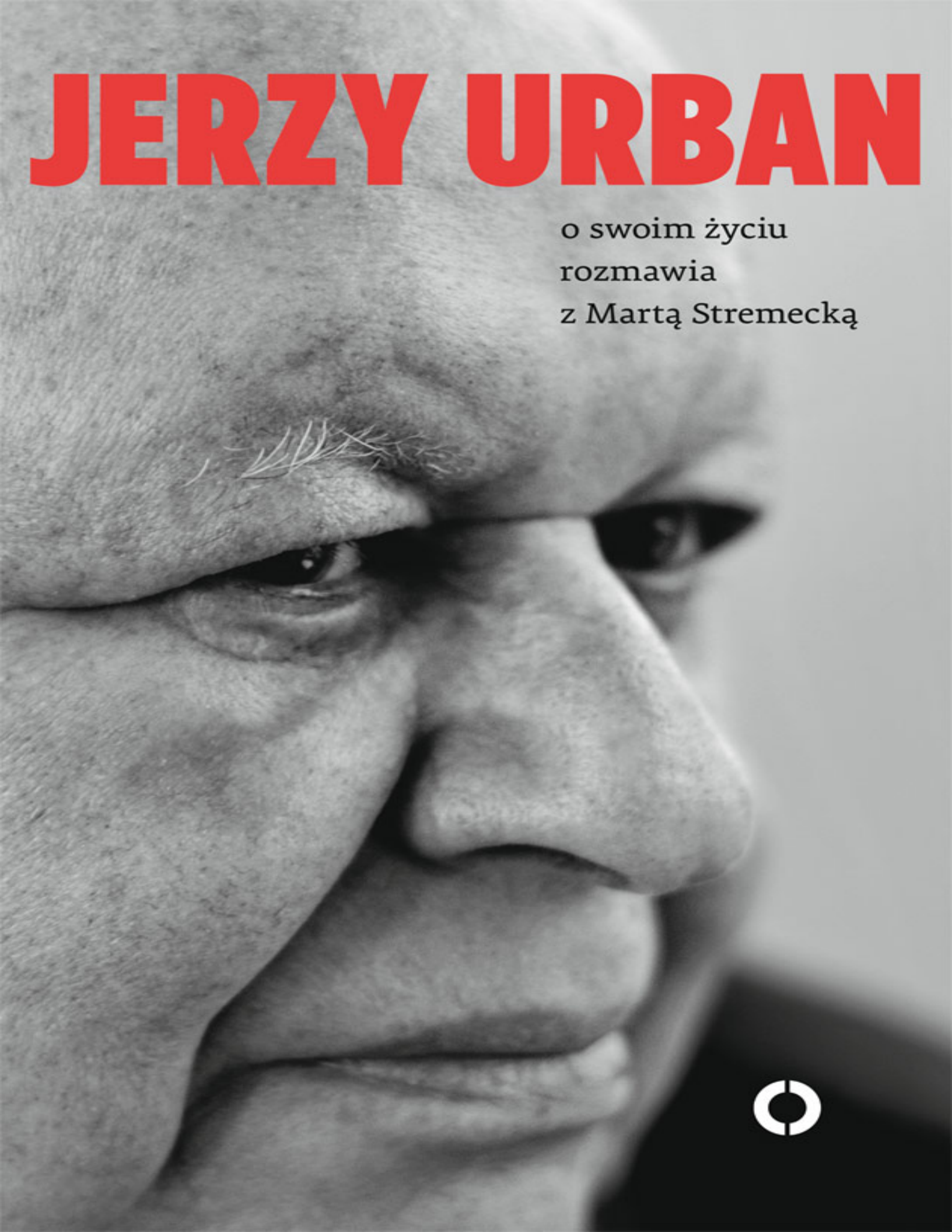

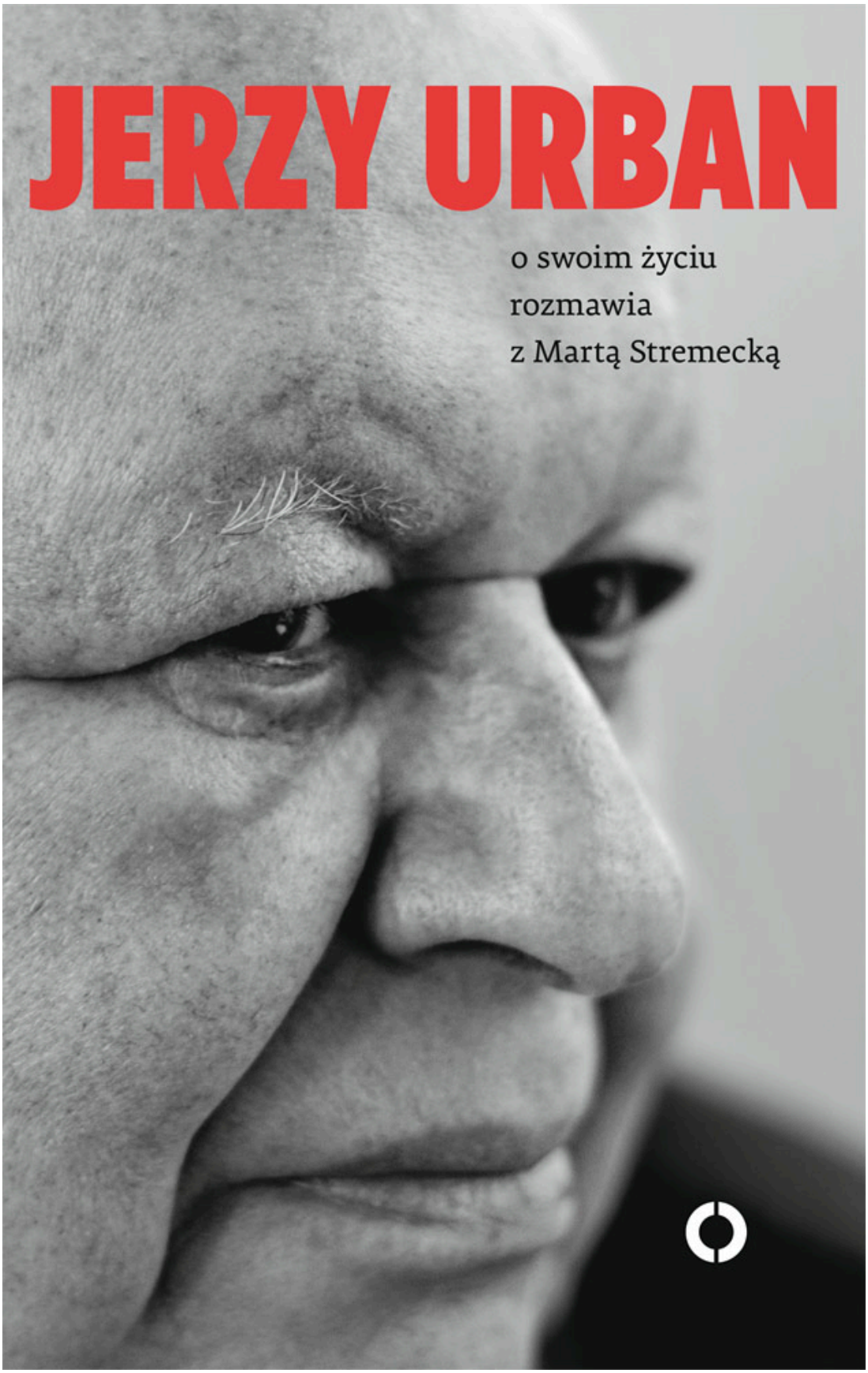
JERZY URBAN
o swoim życiu
rozmawia
z Martą Stremecką

Jestem człowiekiem szczęśliwym. W młodości tworzyłem najważniejsze pismo naszego pokolenia, czyli „Po prostu", zaraz potem przez wiele lat w „Polityce" kształtowałem opinię publiczną w stronę pragmatycznego liberalizmu. W latach 80. tworzyłem historię, w kapitalistycznej Polsce dorobiłem się majątku. Teraz nie mam przed sobą żadnych celów ani żadnego łakomstwa na starcze kariery. Niczego od nikogo nie chcę i marzę, żeby nikt ode mnie niczego nie chciał

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Na serio

Charakter

Część I. Kontestacja
- Dzieciństwo
- Gorączka
- Umiar
- Życie towarzyskie
- Dlaczego nie w opozycji

Część II. Akceptacja
- Początki
- Fascynacja generałem
- Wsiąkanie
- Słabość
- Życie władzy

Część III. Prowokacja
- Rozczarowanie lewicą
- Życie syte
- Tożsamość

Indeks nazwisk

Okładka

JERZY URBAN

Rozmawia
Marta Stremecka

Warszawa 2013

Copyright © Jerzy Urban, Czerwone i Czarne

Projekt graficzny
FRYCZ I WICHA

Zdjęcie na okładce
Bartłomiej Molga

Zdjęcia wewnętrzne
Prywatne archiwum Jerzego Urbana, Wdowiński/CAF/PAP, Andrzej Marczak/FORUM, Wojtek Laski/East News, Laski Diffusion/East News, Lucjan Fogiel/East News, Erazm Ciolek/FORUM, Polfilm/East News, Ireneusz Sobieszczuk/FORUM, Teodor Walczak/CAF/PAP, Wojciech Kryński/PAP, Zbigniew Matuszewski/CAF/PAP, Piotr Dzięciołowski/Reporter, Maciej Macierzyński/Reporter, Bartłomiej Molga

Redaktor prowadzący
Katarzyna Litwińczuk

Korekta i indeks nazwisk
Małgorzata Ablewska, Katarzyna Szol

Skład
Tomasz Erbel

Wydawca
Czerwone i Czarne sp. z o.o.
Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5
00-272 Warszawa

Druk i oprawa
Drukarnia Colonel
ul. Jana Henryka Dąbrowskiego 16
30-532 Kraków

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-116-5

Konwersja do formatu epub:
pan@drewnianyrower.com

Warszawa 2013

Na serio

Musi pan prowokować?

Lubię.

Umówmy się, że będziemy rozmawiać o pana życiu na serio.

Dobrze, choć to zuboży mnie i może rozczarować czytelników.

Charakter

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2756474

Czy pan jest egoistą?

Moją zaletą jest to, że mając 15 lat, wziąłem w ręce swoje życie i już go z nich nigdy nie wypuszczałem. Mając 80 lat, nie mogę teraz niczego zwalać na innych, na bieg historii, którykolwiek ustrój. Wszystkie złe przypadki potrafiłem obrócić na swoją korzyść. Z każdego etapu swojego życia udawało mi się dobrze wybrnąć. Poczucie porażki czy nieszczęścia trapiło mnie tylko incydentalnie.

Chyba jest to recepta na szczęśliwe życie, ale dla egoisty. Pytają wtedy – a co zrobiłeś dla bliskich i dalekich innych, dla swoich formacji politycznych, kraju, świata? Odpowiem: to i owo, opowiem o takich także ambicjach i impulsach. Jednak nie wierzę w samą antynomię altruizm – egoizm. Ludzie poświęcający się dla innych czerpią z tego satysfakcję. Mądry egoista dba choćby o fragment świata i o swoje otoczenie, inaczej zredukowałby własną egzystencję do jedzenia i wydalania. Możliwości zależą od okoliczności.

Dbałem o lepsze urządzenie świata, nie zapominając o sobie, a zawsze troszczyłem się o siebie, nie ignorując życia publicznego, żywiołu, w którym płynąłem. Proporcje między motywami są zmienne i poplątane. Nie sposób ich zważyć i nie mnie to oceniać.

Podlega pan banalnym emocjom typu wzruszenie, miłość?

Cechuje mnie płytki sentymentalizm. Płaczę w kinie na filmach, które powinny mnie śmieszyć jako liche, w nieodpowiednich chwilach jak na mój stan umysłowy. Przy kiczowatych finałach, happy endach. Śmierć znajomych nie wywołuje we mnie łez, za to gdy umiera bohaterka „Love story”, płaczę. A co do miłości, zakochiwałem się kilka razy, chociaż ten

stan jest poniżający dla takiego człowieka jak ja, który ma ambicje racjonalnego panowania nad swoim życiem, nad odruchami, nawet nad emocjami. Przestawałem stanowić o sobie, bo miłość należy do uzależnień, to mnie trochę złości.

Jak zachowuje się zakochany Jerzy Urban?

Wtedy na pewno nie drażnię obiektu. A poza tym kwiaty, kolacja, czyli powszechnie stosowany zestaw środków do zdobycia kobiety. Plus listy, bo łatwiej mi wszystko wyrażać na piśmie. Zakochany Urban jest jak narkoman, hazardzista, alkoholik. Myśli tylko o jednym.

Czy jest pan dobrym mężem?

To chyba nie do mnie pytanie. Przynoszę pieniądze do domu, zresztą coraz mniej.

I sto piwonii na rocznicę ślubu.

No nie, przecież bym już nie uniósł.

Przecież widziałam.

No dobrze, Gosia jest dla mnie bardzo ważna. Wie pani, ja w ogóle nie jestem specjalnie przykry w obcowaniu bezpośrednim dzięki temu, że mam zawód, który pozwala się wyżywać. Mnóstwo ludzi publicznie jest bardzo układnych, a potrzebę agresji odreagowują w domu. Ja agresywnie piszę. Dlatego w kontaktach z ludźmi jestem mało wyrazisty, spokojny, grzeczny, umiem się przystosować do środowisk i do miejsc pracy. Wyładowuję się na ludziach i kierunkach politycznych, które mi się nie podobają, w pisaniu, poza tym jestem łagodny jak baranek, zarówno w domu, jak i podczas spotkań z ewentualnymi antagonistami. Nie dlatego, że boję się otwartego konfliktu. Nawet podczas spotkań z przeciwnikiem politycznym nie widzę powodu do ostentacji. Po co miałbym się kłócić z Janem Rokitą podczas przerw w obradach komisji rywinowskiej? Pijemy razem kawę, on wie, kim ja jestem, ja wiem, kim jest on, każdy z nas ma swoje publiczne pole do wyrażania opinii i wzajemnej niechęci i nie musi tego robić nad talerzykiem z kanapkami. Rozmawiamy więc sympatycznie o nieistotnych w tym momencie sprawach.

Ale polubił pan swój wizerunek jako złego. I od czasu do czasu to wrażenie podkręca.

Lubię być nielubiany. Oczywiście kreacja złego Urbana jest trochę udawana, trochę nieudawana. Jak to przy każdej kreacji. Ja twierdzę, że jestem pijakiem, a to jest nieprawda. Ja twierdzę, że jestem czy byłem rozwiązły seksualnie, a to nieprawda. Ja piszę, że nienawidzę dzieci, a jest tak, że owszem, niezbyt lubię dzieci, ale pojedyncze, miłe dziecko nie budzi we mnie odrazy. Ja twierdzę, że nie lubię rodziny i w sensie rozumowym rzeczywiście uważam, że bliskich należy swobodnie wybierać, a więzi biologiczne są trzeciorzędne, ale swoją rodzinę lubię, chociaż poza żoną kontakty rodzinne są słabe. Ja twierdzę, że jestem absolutnym ateistą, ale tu mam też coś za uszami. Kiedy wyrzucili mnie ze studiów i chcieli wziąć do wojska, a budziło to we mnie największe przerażenie, zrobiłem ze sobą zakład, że jeśli uda mi się wywinąć, to przez miesiąc nie będę pił. Niby ten zakład był pomiędzy mną a mną, ale potem sobie zdałem sprawę z tego, że zdradzam swój światopogląd, że te zobowiązania wobec siebie odnoszą się do jakiegoś arbitra, absolutu. Zawstydziłem się i nigdy więcej takich manipulacji umysłowych nie robiłem, ale to pokazuje, że tkwi gdzieś we mnie głęboko jakaś potencja wiary. Dwóch rzeczy w sferze cudzych emocji nie rozumiem i to nie jest w najmniejszym stopniu udawane, czyli religijności i sportu. Może stąd moja zupełna niewrażliwość na Jana Pawła II i to, co się w Polsce wokół niego działo. Kompletnie nie czułem tych emocji, do dziś ich nie rozumiem. Nie umiałem znaleźć w nim ani wielkości, ani uroku. Nie wykluczam, że tego rodzaju brak wrażliwości może być jakimś defektem mojego umysłu. A już pełną niechęcią darzę sport. Emocje kibiców są mi obce, obrzydliwe i dzikie. Wiem, że i tu rozmijam się z ogromną częścią społeczeństwa. Po części chyba dlatego, że nienawidzę wysiłku fizycznego.

Nie jest już pan znudzony wizerunkiem skandalisty? Siedzi przede mną starszy, elegancko ubrany pan o świetnych manierach, tymczasem biorę do ręki ostatni „Newsweek” z pana poważnym wywiadem o aferze Rywina, zilustrowany zdjęciem w samych majtkach w basenie. To już przecież było, po co powtarzać w kółko?

Skoro fotograf zapytał, czy wlazłbym do basenu, wziął szampana, wywalił język, to proszę bardzo, chociaż też wydawało mi się to nieświeże.

Ależ przecież mógł pan odmówić.

Odmówiłem, bo następna prośba była taka, żebym zdjął majtki. To by było zupełnie nieestetyczne. No dobrze, język stał się moim znakiem firmowym, basen i szampan jest znamieniem luksusu w oczach odbiorców. Pozuję więc na bezczelnego, bogatego, radosnego faceta.

Rozmawiamy u pana w domu, nie ma tu cienia ostentacyjnego bogactwa. I zdaje się, że orgie w domu Urbana to też efekt zręcznie podtrzymywanego wizerunku rozpustnego satyra. Rozmawiałam z Jerzym Pilchem, który bywał u pana na bankietach. Opowiadał mi, że atmosfera jak u cioci na imieninach, gościom przygrywała harfistka. Pan nie dementuje plotek o swoim wyuzdaniu.

Ale też nie kultywuję w jakiś szczególny sposób tego wizerunku, nie zabiegam o to, ale nie chce mi się niczego dementować. To Pilch przecież napisał „Marsz Polonia”, gdzie sportretował mnie jako wyuzdanego Beniamina Bezetznego. Zapewniam, że nie była to książka na zamówienie. Proszę pani, ja już od dawna o nic nie gram. Nie mam innych celów niż zachowawcze. Teraz ze mnie zrobił się egoistyczny sybaryta, niegdyś szukający wrażeń, teraz spokoju.

Co pana irytuje w życiu najbardziej?

Nudziarze, monologiści, alkoholicy, kabotyni. Nie znoszę naruszenia nietykalności cielesnej. Irytuje mnie dotykanie szczególnie przez mężczyzn, być może podświadomie boję się, że gdzieś we mnie głęboko tkwią homoseksualne skłonności, cholera wie. Kobieta może mnie dotykać, ale tylko wtedy, jeśli mi się podoba. Jeśli nie, jej dotyk tak samo mnie irytuje, jak mężczyzny.

Czy jest coś, co może pana zaboleć?

Wszystkie opinie na mój temat spływają po mnie, jeśli nie mają wymiernych złych skutków. Na przykład poprzednia żona napisała książkę „Urban – byłam jego żoną”, gdzie padło jedno zdanie, że ożeniłem się

z Gosią, obecną żoną, bo ona ma ładną małą córkę, na którą poluję. To by mnie w niczym nie obeszło, gdyby nie to, że zrobiło niemiłe wrażenie na Gosi. Na całe lata usztuczniło to moje stosunki z tą małą dziewczynką, dziś dorosłą kobietą. Zacząłem unikać bliższych kontaktów, przytulania, jednym słowem nie zachowywałem się normalnie jak ojczym, który jej zastępuje ojca, tylko jak pan potencjalnie podejrzany o pedofilskie skłonności. Ta sytuacja tak mnie zmroziła, że dopiero gdzieś od roku witam się z nią przez całowanie w policzek. I to wymagało jej inicjatywy.

Nigdy panu nie doskwierała niechęć społeczna?

Nie.

Ja pana nienawidziłam.

Dziś też?

Nie, dziś budzi pan we mnie jedynie ciekawość.

No właśnie, obserwuję takie reakcje ze smutkiem, bo to znaczy, że Urban stał się nieważny.

Proszę się nie obawiać, zapewne wielu nie znosi pana nadal. Jakie to uczucie być najbardziej znienawidzoną osobą, a w moim środowisku za taką pan uchodził w latach 80.?

Trudno pewnie będzie pani uwierzyć, zresztą nie tylko pani, ale w ogóle waszej stronie, że nie odczuwałem wówczas tej zbiorowej nienawiści, bo oprócz incydentu, że ktoś napisał na murze bloku, w którym mieszkałem, „Urban, ty świnio”, nie doznałem żadnej dotkliwej demonstracji takich emocji. A wręcz przeciwnie, komuchy mnie uwielbiały. Rząd Jaruzelskiego w 1986 r. zamówił badania opinii publicznej na mój temat. Były tam pytania o motywy, jakimi – zdaniem badanych – się kieruję, badania niezdawkowe, a więc można przypuszczać, że prawdziwie oddające reakcje ludzi na rzecznika władzy. Wychodziło, że 48 procent dezaprobuje Urbana, a 35 aprobuje. 35 procent to 10 milionów ludzi, czyli miałem dużą otulinę, w której byłem pozytywnym bohaterem, gladiatorem walczącym w ich imieniu. Dla subiektywnego samopoczucia czasem wystarczy stu zachwyconych ludzi. Jak oni są u ciebie w biurze, w domu,

pozdrawiają na ulicy, przychodzą na spotkania, oklaskują, to ma się poczucie nie znienawidzonego Urbana, tylko Urbana kochanego przez znaczną część społeczeństwa.

A ostracyzm towarzyski? Przecież wielu pańskich bliskich kolegów opowiedziało się po drugiej stronie – już nie mówię o twardych dysydentach jak Michnik czy Kuroń – ale również kolegów z „Polityki”, jak choćby Hanna Krall, Dariusz Fikus, Stefan Bratkowski, Andrzej Wróblewski.

Różne towarzystwa w różnych miejscach zachowywały się inaczej. W warszawskich knajpach, jak SPATiF czy Bristol, wódka sprawiała, że różnice polityczne mniej dzieliły i wszyscy ze wszystkimi bratali się w pijackim bełkocie. Inaczej było na przyjęciach dyplomatycznych w zachodnich ambasadach, gdzie zapraszano i władzę, i opozycję. Ponieważ znałem nie mniej ludzi z opozycji, jak z władzy, to trzeba było płynąć przez te salony, nie kłaniać się, co najwyżej tylko lekko skinąć głową z daleka kolegom z opozycji, żeby im nie psuć dobrego samopoczucia nieskalanych, i wsiąkać w kółko towarzyszy. To była sztuka żeglarska, która oczywiście mnie bawiła. Pani mnie pyta o ostracyzm towarzyski. Ja bym to nazwał separacją i ona rzeczywiście w pewnym wymiarze istniała, istnieli też ludzie, którzy byli łącznikami opozycji z władzą, istnieli niezłomni, i małżeństwa, w których tylko żony mnie nie znosiły. Separacja towarzyska ma zresztą w Polsce długą tradycję, wszelkie rozłamy polityczne powodują, że ci, którzy coś podpisali, już się nie komunikują z tymi, co nie podpisali. Dla mnie nie stanowiło to żadnego problemu, bo moją próżność zaspokaja i miłość, i nienawiść, chociaż nie łaknę nienawiści jak wampir krwi. Mnie to po prostu nie bardzo przejmuje.

Jest słowo wytrych, które określa pana do dziś – cynik.

To mało precyzyjne słowo, które ma jeszcze tę wadę, że cynizm w różnych ustach oznacza co innego.

Zimny manipulator, kłamca. Czy pan czuje się cynikiem w takim pojęciu?

Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę na to, że ja sam ten epitet podrzuciłem, ponieważ moja najbardziej pamiętana publikacja z „Po prostu”, choć jedna z najgorszych, miała tytuł „Wyznania nawróconego cynika”. „Nawróconego” mi dodali, bo oryginalny tytuł był „Wyznania cynika”. Na fali mody antystalinowskiego bicia się w piersi skłamałem w tym tekście, że donosiłem na polonistkę z mojej szkoły w Łodzi. Łgałem, całkowicie zmyśliłem swoje własne winy. Ale tak się samookreśliłem 60 lat temu i podsunąłem to określenie na stałe. Pani podała kilka cech cynika. Owszem, niektóre pasują do mnie, inne nie. Na przykład, wstyd się przyznać, ale jestem prawdomówny. To nie znaczy, że nigdy nie kłamię, lecz moim odruchem jest mówienie prawdy, rzeczowe odpowiadanie na pytania, nieumykanie od wyrazistości odpowiedzi. Zdarzało mi się i zdarza kłamać w wyraźnie określonym celu, ale to jest rzadkością.

Na przykład?

Kiedyś wyszedłem z przyjęcia, zostawiając tam swoją obecną żonę, ponieważ zirytowało mnie, że siedziała na kolanach innego mężczyzny. Pojechałem do hotelu, wziąłem pokój i dziewczynę z baru. Rano przyjechała żona, już spałem sam. Zobaczyła niedopałki w popielniczce i stwierdziła, że to nie moje papierosy. Skłamałem, że dostałem niesprzątnięty pokój, dziewczyny się wyparłem. Niestety, dziewczyna ukradła mi majtki, wszystko się wydało i żona chciała mnie zabić.

Ale to są drobne kłamstewka małżeńskie i nie z ich powodu ma pan opinię kłamcy. Do dziś w obiegowej świadomości funkcjonuje określenie „kłamstwa Urbana” na pana konferencje prasowe.

Raz skłamałem jako rzecznik, w sprawie śmierci Przemyka. Przeczuwałem, że coś jest nie tak, nie wierzyłem w materiały przygotowane przez resort Kiszczaka, czułem, że kłamię, chociaż to były tylko moje przypuszczenia, a nie twarde dowody. Żałuję, że głosiłem wersję MSW, wątpiąc w nią.

Nie, proszę nie kłamać, że tylko ten jeden raz.

Świadomie jeden. A skąd to przekonanie o kłamstwach Urbana? Władza bywała kłamliwa, a ja byłem emanacją informacji, które od niej

dostawałem. Tylko że ja w nie wierzyłem, więc w tym sensie nie kłamałem. A czy manipulowałem prawdą? Tak, jak każdy rzecznik każdej instytucji. Często dostawałem dodatkowe informacje nie do publikacji i zachowywałem je tylko dla siebie. Czyli manipulowałem. Przypuszczam, że każdy zaufany rzecznik wie więcej, niż mówi. Rola rzecznika jest z natury rzeczy manipulatorska, choćby dlatego, że nie ma on nawet instrumentów, żeby zbadać, czy informacje, które podaje, są prawdziwe.

Powiedział pan, że immanentną cechą pana natury jest prawdomówność. Skoro tak, to dlaczego zdecydował się pan objąć funkcję, która nie pozwala prawdomówności stosować na co dzień? Jest tu sprzeczność między naturą a wyborem pracy.

No dobrze, taka sprzeczność istnieje, ale jak mówiłem, poza sprawą Przemyka nie miałem poczucia, że kłamię. A co do manipulacji – wciąż to robię. W tygodniku „NIE” artykuły są tylko na nie i to jest zasada tego pisma. Ja piszę tylko wtedy, kiedy mogę pisać przeciw komuś, przeciw dominującej opinii, wobec tego to nie ma nic wspólnego z obiektywizmem, to jest przedstawianie wyostrzonego punktu widzenia Urbana. Czy to jest kłamstwo? Nie. Zatem do wszystkich cech cynika wymienionych przez panią się przyznaję, relatywizując słowo „kłamca”.

Cynik to jeszcze ktoś, kto działa dla własnej korzyści.

Działałem dla własnej pozycji, ale nie dla korzyści w rozumieniu prymitywnym. Bardzo lubię pieniądze, ale pod tym względem byłem bardzo rygorystyczny. Patrząc jednak historycznie, faktycznie wzbogaciłem się na tym, że byłem rzecznikiem. Gdyby nie to, że 96 procent ludzi znało moje nazwisko, nie sprzedałbym 850 tysięcy „Alfabetu Urbana” ani 500 tysięcy „NIE”, jak to było na początku, kiedy duża grupa ludzi z chęci – lub niechęci – czy ciekawości kupowała pismo, mówiąc niejednokrotnie w kiosku: „Poproszę Urbana”. Tylko że nie wyniknęło to z mojej wcześniejszej kalkulacji. Nie po to stałem się rzecznikiem. Przyszłych korzyści nie mogłem przewidzieć.

Stał się pan wówczas człowiekiem bogatym. Lubi pan pieniądze?

Oczywiście. Już w czasach socjalizmu marzyłem, żeby mieć milion dolarów, przeliczałem sobie, ile to przyniesie mi rocznie procentów z lokaty na luksusowe życie.

Jak pan sobie wyobrażał wtedy luksusowe życie?

O ile pamiętam, nie wyobrażałem sobie życia, tylko sumę. To było jakieś cztery tysiące dolarów miesięcznie, za to można było w Polsce wszystko. Ale nie wiem, co to znaczyło dla mnie „wszystko", bo nie chciałem mieć domu ani ogrodu, ani jachtu, chciałem po prostu wieść dobre życie. Nie było wtedy wyobraźni otwartej na dziś dostępne wydatki. Nie było podaży luksusów, które by tworzyły łakomstwo. Na ówczesne stosunki i tak miałem tyle pieniędzy, ile potrzebowałem. Wystarczała mi skoda czy fiat, nie byłem maniakiem samochodowym. Auta interesowały mnie o tyle o ile, jak jeszcze prowadziłem, a to się skończyło kilka miesięcy temu, bo uznałem, że jestem za stary i stanowię za kierownicą zagrożenie i dla siebie, i dla innych. Teraz ten mój wypasiony jaguar nie jest mi potrzebny. Nawet się martwię, że tyle pieniędzy kosztował, a mnie w nim nie widać, bo ma ciemne szyby. Tylko mój kierowca jeździ nim dumnie, udając panisko, a ja jestem zasłonięty jak kobieta islamska.

Lewica się pana wstydzi. I to nie za styl życia sytego sybaryty, bo sama taki prowadzi. Jaki jest więc główny powód pana zdaniem?

Bo nie miałem tęsknoty do tego, żeby się uperfumować Michnikiem po roku 90. Oni się lepili do byłych przeciwników, żeby zdobyć akceptację. Przyjaźń Michnika ich nobilitowała, przyjmowała ich w obręb nowego ustroju jako swoich. A przyjaźń z Urbanem ich hańbiła. Byłem oknem witrynowym poprzedniego ustroju i przyznawanie się do mnie przypominałoby ich reżimowe korzenie. Zupełnie nie leżało to w ich interesie. Owszem, stosunki były bardzo kurtuazyjne i towarzysko rozwinięte, długo mieszkaliśmy obok siebie na jednym osiedlu, nazwanym przez lud Zatoką Czerwonych Świń – Kwaśniewski, Miller, ja, Oleksy. Potem oni zaczęli robić kariery, a ja byłem miazmatem przeszłości. Punktem granicznym było to, jak się pokazałem z szampanem i językiem w ’93 roku w sztabie wyborczym po wygranych przez lewicę wyborach. Nie miałem wyobrażenia, że stanie się to symbolem odbierającym im

przyjemność zwycięstwa, że oto stara twarz przejmuje ich sukces. Jak następnego dnia zobaczyłem siebie, a nie Kwaśniewskiego na czołówkach wszystkich gazet, to zrozumiałem, że zabrałem im widowisko. I stałem się dla nich postacią hańbiącą. Ale nie myślałem, że będzie się to za mną ciągnęło przez lata.

Czy nie ma pan poczucia przegranej? Zawalił się PRL, pański tygodnik nie stał się gazetą opiniotwórczą, a pan nie został papieżem lewicy, jej mędrcem, tylko błaznem.

Absolutnie nie. PRL lubiłem, ale kapitalizm też nie budzi mego obrzydzenia. Co do „NIE" owszem, tego mi żal. A co do pozycji na lewicy – proszę pani, umiem ocenić możliwości intelektualne innych, ale też swoje. Niestety, Zygmuntem Baumanem nie jestem. W moim przypadku rola mędrca odpada. Zaś papieżem lewicy zostać nie mogłem, bo nie miałem za sobą imponującej im legendy Michnika ani silnego, zwartego i twórczego środowiska. A teraz nie mam przed sobą żadnych celów ani żadnego łakomstwa na starcze kariery. Niczego od nikogo nie chcę i marzę, żeby nikt ode mnie niczego nie chciał. Wczoraj oglądałem dobry izraelski film o ojcu i synu. Obydwaj zajmują się historią Talmudu. Ojciec czuje się niedoceniony i daje wywiad, w którym krytykuje syna jako hochsztaplera i idiotę. Tymczasem syn dostaje nagrodę państwową. Przez pomyłkę wysyłają ją ojcu. On wie o tej pomyłce, a mimo to odbiera nagrodę z rąk prezydenta. Ja nie jestem takim starcem, który wiele by dał, żeby być docenionym.

Czy było jakieś wydarzenie w pana życiu, którego pan się wstydzi?

Pierwszych lat tygodnika „NIE". Pismo było agresywne i głupie, a ja pisałem wtedy rzeczy, z którymi dziś się głęboko nie zgadzam. Teraz z kolei martwię się, że stępiałem w swoim radykalizmie, bo jestem stary i boję się popełnić przez to jakąś głupotę. Pokornieję. Wstyd.

Czy pan się czegoś lęka?

Niedołężności, chorób, śmierci. W tym wieku człowiek takich rzeczy się lęka.

Czemu śmierci, skoro piekła nie ma?

Bo życie jest przyjemne i szkoda, żeby się przerwało. Gdyby było nieznośne, nie obawiałbym się śmierci. A jest za dobrze, żeby się nie lękać, mimo że dziś moje życie szczególnie ciekawe nie jest. Stałem się nieruchawy, niesprawny, otępiały w takim rozumieniu, że zawsze byłem żądny przygód, najważniejsze było być, a nie mieć. A teraz jestem ani być, ani mieć. Jestem obojętny zarówno na wyjazd na zakupy, jak i na wakacje. Możemy jechać, możemy nie jechać. Dziś bardziej jestem ciekawy lektur niż czegokolwiek innego. Ale jestem człowiekiem szczęśliwym.

Jakie szczęście pana w życiu spotkało?

W młodości tworzyłem najważniejsze pismo naszego pokolenia, czyli „Po prostu”, zaraz potem przez wiele lat w „Polityce” kształtowałem opinię publiczną w stronę pragmatycznego liberalizmu. W latach 80. tworzyłem historię, w kapitalistycznej Polsce dorobiłem się majątku. Pełnia szczęścia.

Porozmawiajmy zatem o pana życiu.

Część I.
Kontestacja

Dzieciństwo

Jerzy Urbach, nazwisko zmienione w czasie wojny na Urban, urodził się w 1933 roku w Łodzi, w żydowskiej rodzinie inteligentów. Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie.

Zacznę od tego, że o moim żydowskim pochodzeniu rodzice powiedzieli mi dopiero podczas wojny, jak miałem sześć lat. Wtedy się rozpłakałem, że jestem taki brzydki jak oni. Bo dla mnie Żydzi to byli ci, którzy chodzą w chałatach, z pejsami, a z nimi moja rodzina nie miała i nie chciała mieć nic wspólnego.

Środowisko moich rodziców było w sensie kulturalnym polskie, w sensie językowym polskie, w sensie orientacji kosmopolityczne. Już dziadkowie nie mówili w jidysz, rodzice tym bardziej. Ich społeczeństwem, narodem i towarzystwem byli tacy jak oni, czyli inteligencja i burżuazja o żydowskich korzeniach, rozsypana po świecie, po Europie i Ameryce. Mieszkaliśmy w Łodzi, ale wciąż ktoś do nas przyjeżdżał z Londynu, Paryża, Nowego Jorku. W gronie znajomych moich rodziców nikt nie był katolikiem, przechrztą ani Polakiem o słowiańskich korzeniach. Istniała wyraźna odrębność towarzyska, nie ma mieszanych małżeństw, zawiera się je tylko w swoim gronie. Jednakże w tym towarzystwie orientacje polityczne są polskie, nie ma syjonistów, bundowców, żadnej świadomości żydowskiej. Przeciwnie, obrzydzenie i pogarda w stosunku do żydowskiej hołoty mówiącej w jidysz, chodzącej w kapotach, wrogość do szabasów i religii. Niechęć cechująca ludzi, którzy z czegoś wyrośli i nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Jednocześnie Żydów wykształconych czy półwykształconych, bo zawsze to były warstwy pośrednie kulturowo i obyczajowo, dzielono na tzw. litwaków, czyli gorszych Żydów pochodzenia rosyjskiego, którzy w ramach osiedlenia w dziewiętnastym wieku przyjechali na ziemie Królestwa, i nas, polskich, czyli zachodnich, cywilizowanych, kulturalnych, mówiących po francusku, grających na pianinie i recytujących Tuwima. To byli moi rodzice i krąg ich znajomych.

Wśród nich panowała wielka ciekawość egzotycznego dla nich świata gojów, katolików, tak jakby oni mieszkali gdzieś na Malajach.

Co takiego ciekawego było w gojach?

Wszystko. Powiedzmy, że Mundek był z gojką na kolacji. No i co, no i co… – wypytywano go potem gorączkowo.

Mundek był za to piętnowany?

Ależ skąd. Rdzenni Polacy imponowali. Oczywiście nie służba, tylko wyższe sfery. Pamiętam wydarzenie, które wzbudziło kolosalne zainteresowanie w naszym środowisku. Ojciec miał interesy z potężnym wówczas Kościołem mariawitów w Płocku. Przyjechała do nas głowa tego Kościoła, arcybiskup, który przybywał w bogatych szatach, takich jak arcybiskup katolicki, z żoną zakonnicą, bo u nich celibat był dobrowolny. Mieszkaliśmy w oficynie i arcybiskup musiał przejść przez podwórko. Wszyscy w kamienicy wylegli do okien, podniecenie panowało niesamowite, wyraźnie imponowała im taka znajomość ojca.

Szczególnie ciekawa była rodzina mojej matki. Babka, z domu Frumkin, uważała się za rosyjską Żydówkę. Pochodziła z Mińska, dziś białoruskiego. Rzecz jest warta podkreślenia, bo w Mińsku było dużo Żydów i Polaków i wyasymilowani Żydzi skłaniali się bądź ku językowi i kulturze polskiej, bądź ku rosyjskiej. Babka po wyjściu za mąż mieszkała całe życie w Łodzi, lecz w jakimś stopniu czuła się cudzoziemką. Rozmawiali z dziadkiem po polsku, kłócili się po rosyjsku, bo to język bardziej kwiecisty i soczysty. Babka miała dziesięcioro rodzeństwa. Jeden brat zrobił dyrektorską karierę w carskich kolejach i miał szlachecki tytuł. O jego dziejach nic więcej nie wiadomo, pewnie zginął podczas rewolucji. Zostało dziewięcioro. Wśród nich był Frumkin odnaleziony przeze mnie w archiwach prasowych jako minister finansów u Stalina, czyli bolszewik. Ale jak przeczytałem, całe plenum KC było poświęcone krytyce jego polityki finansowej, a działo się to w latach trzydziestych, więc należy sądzić, że tylko o kilka dni przeżył to plenum. Jedna siostra, eserówka, w czasach przedrewolucyjnych kilka razy zsyłana była na Syberię i tyleż razy z niej uciekała. Jechała wówczas do Szwajcarii odpocząć i po drodze zatrzymywała się w majątku dziadków w Adelmówku pod Łodzią. Tam

siała popłoch, ponieważ jadła tylko to, co klasa robotnicza je, czyli razowiec, kapustę, ziemniaki. Służba musiała osobno dla niej gotować, więc nie lubiła przyjaciół ludu. Podczas rewolucji w 1905 roku brała udział w nieudanym zamachu na gubernatora. Powiesili ją, zresztą wzbudziło to głośne protesty w Europie. Dalej była siostra, która wyszła za pewnego mienszewika. Historycy zajmujący się dziejami Rosji zawsze poświęcają mu przynajmniej jedno zdanie, bowiem to on w lutym 1917 roku powiedział Leninowi siedzącemu w Szwajcarii, że wybuchła rewolucja, i zaczął organizować transport do Rosji. Wobec tego siostra mojej babki jako jego żona jechała z Leninem jednym wagonem, legenda mówi nieprawdziwie, że zaplombowanym. Była wówczas w ciąży. W 1939 roku we Lwowie poznałem jej córkę Bronkę, która miała ciężką gruźlicę i wkrótce potem umarła. Reszta Frumkinów podczas rewolucji stała po różnych stronach i niewiele o nich wiadomo. Po czystkach w ’37 roku z całego tego dziesięcioosobowego towarzystwa został jeden, profesor Frumkin, członek Akademii Nauk ZSRR, historyk, dyrektor archiwów w całym Związku Radzieckim. Pewnego dnia 1940 r. bez zapowiedzi przyjechał do nas do radzieckiego wówczas Lwowa, nie chciał wejść do mieszkania, bo kontakty z przybyszami z Polski były niebezpieczne, stanął tylko w drzwiach i zapytał, czy mamy jesionkę na sprzedaż. Ojciec mu podarował swój płaszcz, on podziękował i nikt go więcej nie widział. Ale należy uznać, że umarł śmiercią naturalną, chyba że było inaczej. Matka wiedziała, że został po nim syn Sasza, czyli Aleksander. Ktoś jej powiedział, że pracuje w „Prawdzie”. Zaczęła przeglądać gazetę i faktycznie natknęła się na jakiegoś Aleksandra Frumkina. Napisała do niego list, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. I tak ślad po tym wielkim rodzie rewolucjonistów zaginął. Czasem myślę, że gdybym znał rosyjski, był młodszy, miał te pieniądze, co teraz, pojechałbym do Rosji, wynajął na kilka lat sztab ludzi, tak jak to robią zachodni pisarze faktu, odtworzył losy tej rodziny i napisał książkę.

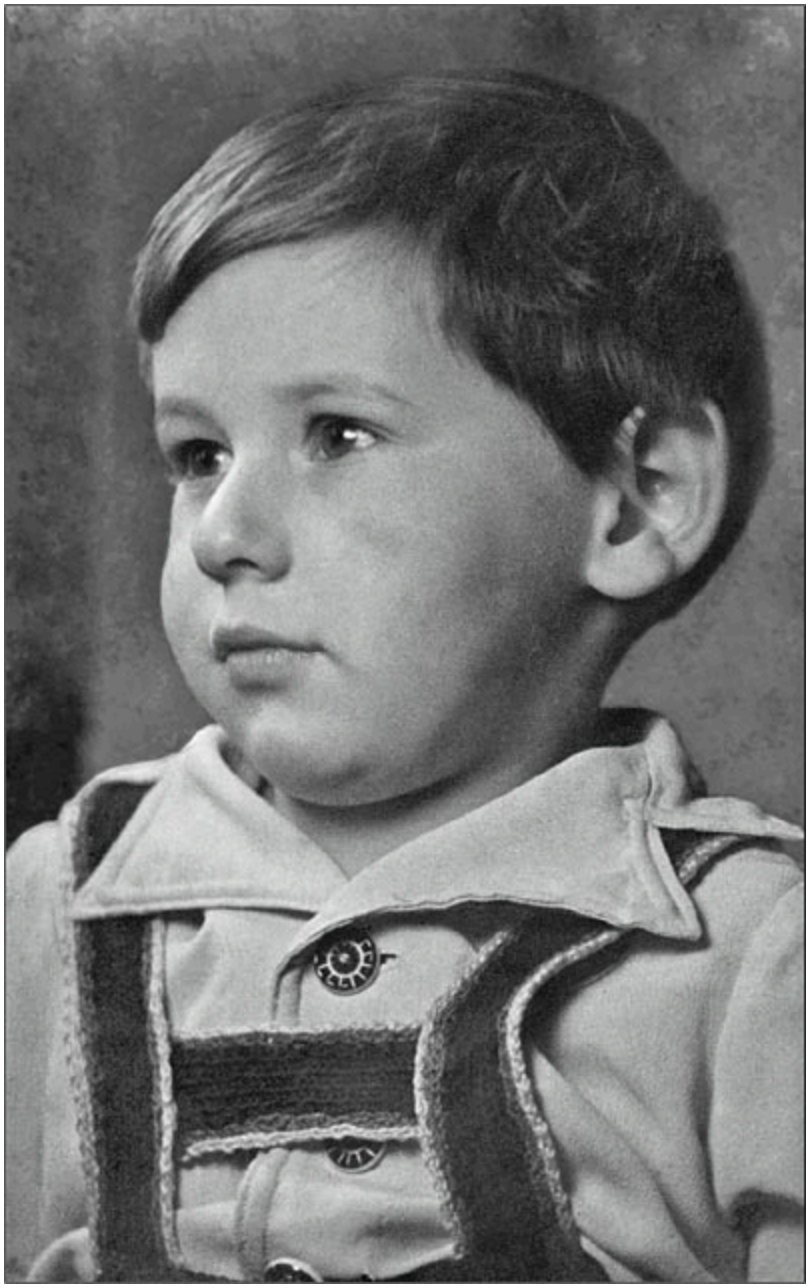

Byłem burżujskim dzieckiem. *Zażądałem od rodziców tyrolskiego stroju. Czułem się w nim niezwykle szykownie, byłem nawet skłonny cierpieć ból, bo skórzane krótkie spodenki ocierały mi uda. Na ulicy lekko się krzywiono na mój widok, bo na kościanych guzikach były wygrawerowane wzory przypominające swastyki.*

Byliście zamożni?

Dziadkowie tak, rodzice należeli do klasy średniej. Jeden dziadek miał świetnie prosperujący zakład optyczny na Piotrkowskiej. Drugi, ten który poślubił Frumkinę, był fabrykantem, mieli manufakturę w Zgierzu, majątek w Adelmówku ze sporym ogrodem, duże mieszkanie w mieście, samochód, szofera. U nich w majątku spędzałem lato. W niedziele zjawiali się tam różni znajomi, grali w tenisa, odbywały się obiady na kilkadziesiąt czy kilkanaście osób. A może ja już wszystko wyolbrzymiam po tylu latach, może to wszystko było skromniejsze? Mam jednak wrażenie, że byłem burżujskim dzieckiem, nieznośnym, upartym bachorem, który jak zażądał tyrolskiego stroju, to go dostał. Czułem się w nim niezwykle szykownie, wręcz wytwornie, i byłem nawet skłonny cierpieć ból, bo skórzane krótkie spodenki ocierały mi uda. Na ulicy lekko się krzywiono na mój widok, bo na kościanych guzikach były wygrawerowane wzory przypominające swastyki.

Mieliśmy na ówczesne czasy małe mieszkanie, czteropokojowe, ale nowoczesne, z kaloryferami. Rodzice skasowali mieszczański układ, czyli nie było salonu, jadalni, sypialni. Ja miałem pokój dziecinny, a rodzice sypialnię z dwoma tapczanami, do których przykręcony był duży stół. Ta dziwna konstrukcja służyła po to, by na leżąco jeść, pisać, pracować, czytać. Jeśli chce pani wyobrazić sobie mój dom, to proszę przypomnieć sobie Młodziaków z „Ferdydurke” Gombrowicza – to właśnie wypisz wymaluj moi rodzice. Ojciec był redaktorem naczelnym gazety sympatyzującej z PPS. Wstawał późno i pracował do późna. Resztę nocy rodzice spędzali w knajpach. Wracali nad ranem. Dopiero koło jedenastej opiekunka prowadziła mnie do przedszkola, żebym nie musiał się męczyć porannymi lekcjami francuskiego. Twierdziłem, że głowa mnie od tego boli, więc nikt mnie nie zmuszał. Wcześniej przychodziłem do pokoju rodziców, żeby się przywitać, a wieczorem, żeby się pożegnać. Prowadzono odrębną kuchnię dla mnie i dla dwóch gospoś, odrębną dla rodziców, bo zawsze byli na diecie. Jedli wygotowane kury, ryże, jakieś inne paskudztwa, a ja normalne jedzenie.

W naszym domu służyły gojki. Mną zajmowała się panna Jadzia, która była córką szewca i miała małą maturę. Jako kilkuletni chłopiec

rzuciłem na spacerze butelką. Butelka odbiła się od drzewa i uderzyła ją w głowę. Leżała w szpitalu i groziła ojcu, że do końca życia będzie płacił jej rentę. Ale jakoś wydobrzała. Była też u nas kucharka Genia, żona komunisty, który siedział w więzieniu. Obie były dobrane tak, aby mnie nie nawracały na katolicyzm. Ale nieraz nie wytrzymywały i robiły mi choineczkę z papierowymi ozdobami, burczały po kątach, że jak to tak, dziecku odbierać przyjemność z prezentu pod choinkę. Budziło to w domu pewne napięcia między rodzicami a służbą.

Rodzice nie lękali się, że syn wychowywany przez gojki zatraci całkiem tożsamość żydowską?

Lęku przed utratą tożsamości nie mieli, ale przed utratą odrębności ateistycznej tak. Zwłaszcza ojciec, jak wskazują na to dalsze wypadki. W czasie okupacji nie mógł się przełamać, żeby wejść do kościoła katolickiego. Na nic histerie matki, że przecież od tego, żeby udawać katolika, zależy życie. Wtedy wszyscy Żydzi ukrywający się na aryjskich papierach demonstracyjnie leżeli krzyżem w kościołach. Może jednak ten upór paradoksalnie wyszedł nam na dobre, bo wówczas nikt nie podejrzewał, że człowiek, który nie chodzi na msze, może być ukrywającym tożsamość Żydem.

Jak pana wychowują rodzice?

Przede wszystkim mało wychowują. Nie mają takich ambicji, a jeśli nagle budzi się w nich taka potrzeba, odnoszą porażki, jak choćby ta: byłem niejadkiem, zaproszono więc na obiad syna dozorcy, żebym wziął z niego dobry przykład. I nastąpił blamaż, bo on też niczego nie chciał zjeść. Powiedział, że u niego w domu w barszczu jest boczek, fasola, a tu jest czerwona woda. Zwłaszcza matka od czasu do czasu miała silne motywacje, żeby postawić na swoim. W lecie ’39 roku byliśmy na wakacjach w Zakopanem. Uparłem się, że będę nosić sandały ze skarpetkami, a matka – że bez. Cały pobyt był zepsuty przez te kłótnie.

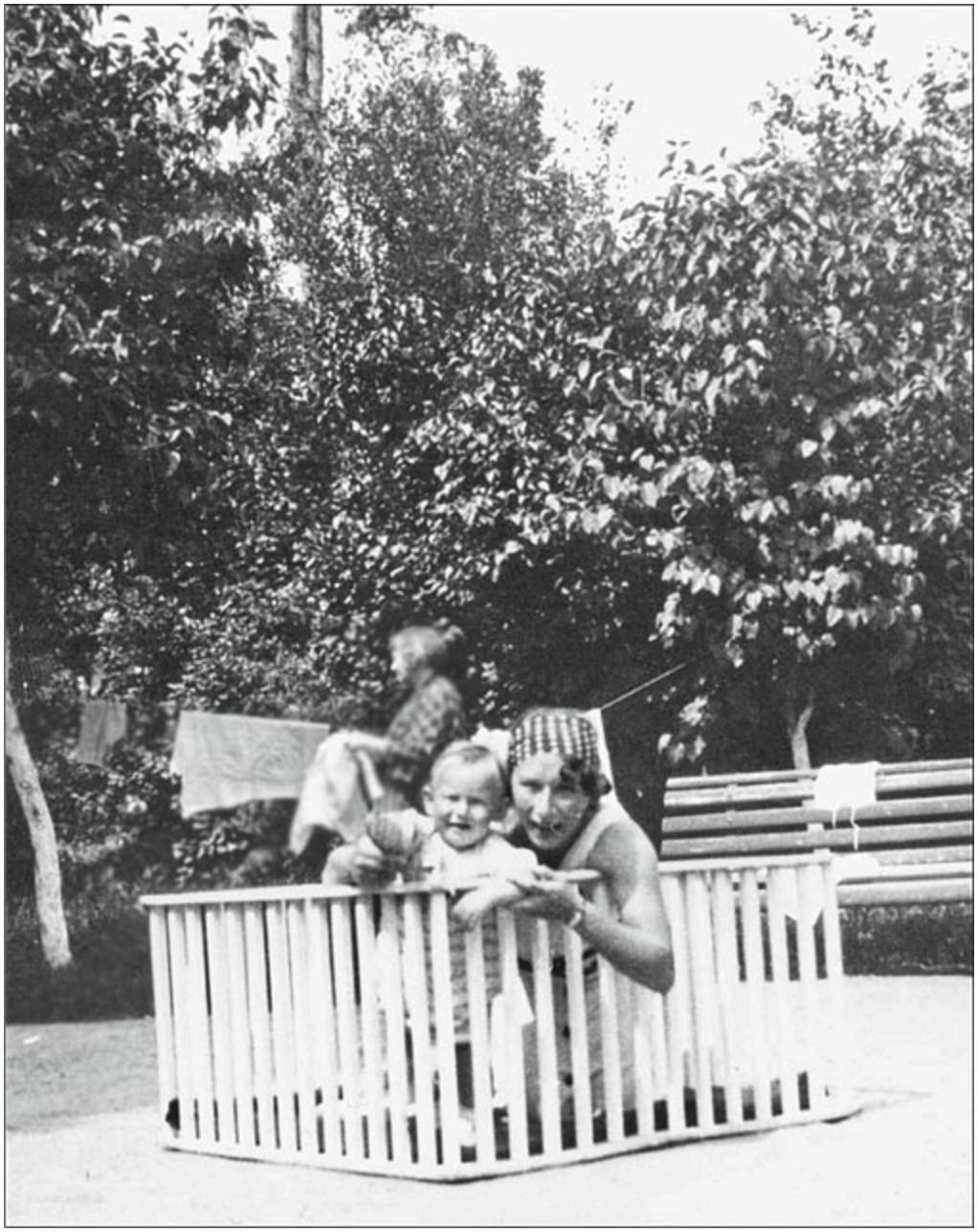

Majątek dziadków w Adelmówku. *U nich spędzałem lato (na zdjęciu ja z mamą). W niedziele zjawiali się tam różni znajomi, grali w tenisa, odbywały się obiady na kilkadziesiąt czy kilkanaście osób.*

Mówiło się w domu o groźbie wybuchu wojny?

Tak, ze strachem, ponieważ ojciec już figurował na liście do rozstrzelania za artykuły atakujące Hitlera. W Łodzi była mniejszość niemiecka, podziemne NSDAP, opublikowali listy proskrypcyjne. Ojciec już latem ’39 roku wiedział, że musi uciekać.

Pan też się bał?

Wręcz odwrotnie. Jest sierpień, rodzice decydują się na wyjazd z letniska w Zakopanem. Po drodze dyskutują, czy wkrótce wybuchnie wojna. Biorę udział w tej dyskusji, mówię, że tak, bo ja tego chcę, bo wojna to jest atrakcja, coś się zmieni, wreszcie nie będzie tak nudno. Wracamy z Zakopanego otwartym samochodem, kabrioletem. Prowadzi żona Maksa Kona, dziedzica widzewskiej manufaktury. Jest piękną kobietą, córką naczelnego rabina Polski i senatora. To była ważna postać. W samochodzie ma radio. Pierwszy raz widzę radio w aucie, niewiele słychać, głównie piski, ale to dla mnie i tak wielka atrakcja. To ostatni przedwojenny akord, jaki pamiętam. Tuż przed 1 września wyjeżdżamy z Łodzi do Warszawy i stamtąd mamy wyruszać w dalszą ucieczkę na wschód wraz ze sporą grupą znajomych rodziców. Mieszkamy w jakimś hotelu. Rodzice idą na dancing. Podnoszę wrzask, boję się sam zostać, czuję, że coś jest nie tak, bo na schodach w hotelu koczują tłumy uciekinierów. Nazajutrz okazuje się, że nie wystarczy benzyny dla wszystkich aut. Zapada decyzja, że pojadą tylko mężczyźni jako bardziej zagrożeni. Odjeżdżają na granicę polsko-radziecką, nie wpuszczają ich do Związku Radzieckiego. Dopiero 17 września ojciec trafia do Lwowa. Ja zaś z matką mieszkam w Śródborowie pod Otwockiem koło Warszawy, czyli za Wisłą, w nadziei, że Niemcy nie przejdą rzeki. Tam już było niebezpiecznie, bo maruderzy z polskiej armii przychodzili w nocy po jedzenie, gwałcili, strzelali, jak to każda pobita armia. Wróciliśmy więc do Łodzi i wkrótce matka załatwiła przewoźników, którzy ciężarówką przewieźli nas przez zieloną granicę między Rzeszą, do której należała Łódź, a Generalnym Gubernatorstwem. To już był listopad, miałem zimowe palto, z którego mi wyjmowali brylanty, broszki, zaszyte przez matkę, o czym nie wiedziałem. Potem przez długi czas myślałem, że

zawsze noszę biżuterię w palcie. Przewoźnicy przeprawili nas przez Bug, nocowaliśmy zbiorowo w jakiejś chałupie, gdzie też nas okradli.

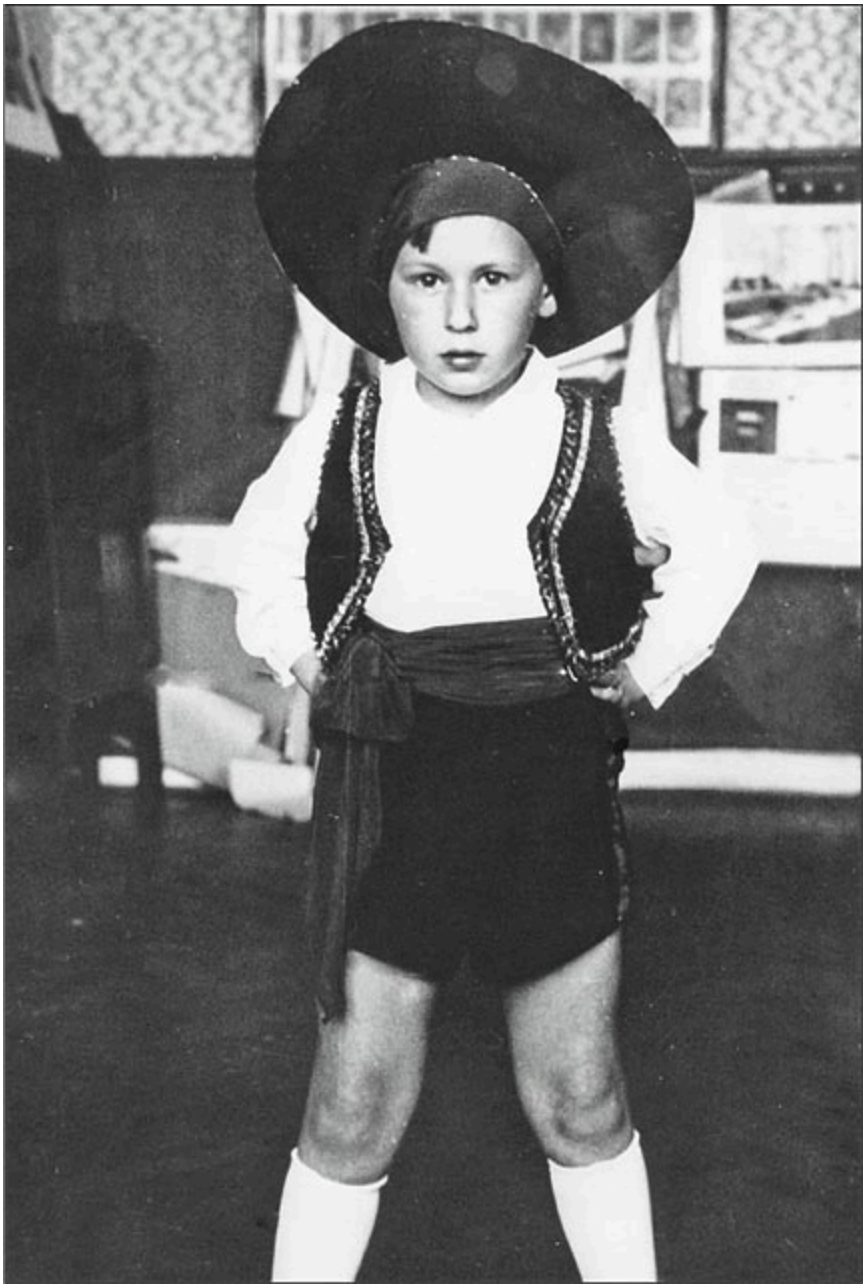

W przedszkolu. *W stroju hiszpańskim, pamiętam piosenkę, którą wówczas śpiewałem – „Ja jestem Pedro, Hiszpan wesoły”. Opiekunka prowadziła mnie do przedszkola dopiero koło jedenastej, żebym nie musiał się męczyć porannymi lekcjami francuskiego. Twierdziłem, że głowa mnie od tego boli.*

Jaki był pierwszy obrazek wojenny zapamiętany przez pana?

Czołgi na szosie, ale widziane z daleka, czyli nic ciekawego. Potem Niemców widziałem w Łodzi, bo w końcu tam wróciliśmy na jakiś czas, ale oni już byli zadomowieni. Już wprowadzano opaski z gwiazdą, zajęli nasze mieszkanie.

Jak to się odbywało, brutalnie?

Nie. Pokazali nakaz, powiedzieli: proszę się wyprowadzić. Wynieśliśmy się do dziadków, którzy mieli ogromne mieszkanie, i tam skupiła się cała rodzina. Pamiętam, że przyszedł Niemiec i zabrał radio, wszystkim rekwirowali radia. Dziadek strasznie to przeżył.

Trafiamy wreszcie z matką do Lwowa, gdzie czeka na nas ojciec. Dostał niezłą jak na tamte warunki pracę, był administratorem kilku domów. W jednym z nich osiadamy, w mieszkaniu bankiera lwowskiego. Oprócz nas mieszka tam wiele osób, to była typowa komunałka. W kuchni wszyscy się awanturują, kto komu wyciągnął z rosołu tłuste kąski. Jeden z pokojów zajmuje maszynistka z NKWD ze swoją córką Lubą, która staje się moją koleżanką. Spędzamy razem dużo czasu na podwórku, opowiadam jej, jak żyliśmy przed wojną, odpowiednio przesadzając w opisach wspaniałości. Ona donosi matce, że tutaj mieszkają wielcy burżuje, a matka zapewne donosi dalej. Pewnego dnia Luba, wstając w wannie, której przedtem na oczy nie widziała, uderzyła głową w szklaną półeczkę. Szkło potłukło się, poraniło ją lekko. Jej matka, zamiast opatrywać pokrwawione dziecko, zamknęła ją w łazience, wezwała NKWD, że był zamach na córkę. NKWD przyjechało, ale na szczęście nie uwierzyło w zamach.

Jadamy obiady w hotelu George. To trwa pół dnia, bo wpierw się stoi w ogonku na ulicy, potem wewnątrz czeka się na stolik. Kolejki są wszechobecne. Na przykład do sklepów wojskowych, które otwarto we Lwowie, żeby zaimponować polskiej ludności wspaniałością radzieckich towarów. Jest już zima, straszny mróz. Chodzę na lekcje fortepianu do nieogrzewanego mieszkania i gram w rękawiczkach.

Nauczył się pan grać?

Skądże. Nic z tego nie wyszło. Ja się niczego w życiu nie nauczyłem, ani języków, ani żadnej konkretnej wiedzy z zakresu jakiegokolwiek szkolnego przedmiotu.

Czujecie się bezpiecznie?

Nie, bo rodzice już przed wojną doskonale wiedzieli, co to jest stalinowski ZSRR, w końcu część rodziny Frumkinów stała się ofiarą stalinowskich czystek. Grozą powiało, jak pewnego dnia ojca wzięli na NKWD. Nie dlatego, że opowiadałem, jaki on jest burżuj, tylko dlatego, że jego kolega Julian Tuwim przysłał mu odkrytą kartę z Paryża: „Kochany Janku, jestem w Paryżu. Wszyscy się tutaj zjechali, jest książę Janusz Radziwiłł" i jeszcze minister ten i ów. Same dobre nazwiska.

Przyjeżdżaj…

Nie. Tuwim chciał się tylko pochwalić, w jakim to dobrym towarzystwie przebywa. NKWD po kolei odczytywało te nazwiska, ojciec za każdym razem odpowiadał, że nie zna. Wreszcie wyciągnęli teczkę ojca i tu zaczyna się zabawna historia. Otóż w teczce był wycinek z gazety, redagowanej przez ojca Dariusza Fikusa, z którym potem pracowałem w „Polityce". Stary Fikus był endekiem, napisał w swojej gazecie, że mój ojciec jest radzieckim agentem i opatrzył to zdjęciem ojca wychodzącego z paczką z poselstwa radzieckiego w Warszawie. Ojciec wytoczył mu proces o zniesławienie i wygrał. Ci z NKWD pogłupieli – skoro endecy oskarżyli ojca, że był radzieckim agentem, to znaczy, że swój, i potraktowali go z honorami. Awansował z administratora domów na głównego urbanistę miasta Lwowa. Ta posada zabezpieczała przed wywózką na Sybir.

Zamierzaliście we Lwowie przetrwać całą wojnę?

Nikt ze środowiska uciekinierów, w którym się obracaliśmy, nie zamierzał. Wszyscy gdzieś wyjeżdżali. Jedni przez Litwę, Estonię, Finlandię do Ameryki Południowej. Inni przez Rumunię na Paryż. Wszyscy się gdzieś wybierali, coś załatwiali. Lwów to był przedpokój wyjazdowy. Ojciec miał pecha, bo dał dziesięć tysięcy dolarów swojemu wspólnikowi, który jechał do Ameryki Południowej, żeby w razie potrzeby wspomagał go

stamtąd. Pieniądze przepadły, a to było pięćdziesiąt tysięcy złotych, góra forsy, mogliśmy za to przeżyć spokojnie całą wojnę.

Nie wyjechaliście więc z braku pieniędzy?

Chyba nie to było głównym powodem. Moi rodzice całe życie chcieli gdzieś z Polski wyjechać, tylko nigdy nie mogli się wybrać. Przed wojną ojciec zakładał wydawnictwo w Paryżu z Ilją Erenburgiem. Już wszystko było załatwione i nie wyjechał. Ale gadało się o tym bez przerwy. Nawet po wojnie miał pojechać do Chin, jako *attaché* prasowy ambasady polskiej przy Kuomintangu, i też nie wyjechał, chociaż miał już nominację. Szkoda, bo ta ambasada w całości zwiała na Tajwan razem z Czang Kaj-szekiem. Dzięki temu, że mieli papiery dyplomatyczne, pomogli uciec wielu bogatym Chińczykom i wywieźć ich majątek. W rezultacie wszyscy z ambasady zostali tam milionerami. Byłbym teraz milionerem chińskim…

Ale na razie jesteśmy we Lwowie.

Idę do szkoły. Przed wojną była to polska ekskluzywna szkoła dla panienek. Już wtedy jest radziecką szkołą, dyrektorem został Ukrainiec. Nie znoszę tej szkoły, jak zresztą każdej innej potem. Robię małpie miny i mówię „wyrazy na d”, jak to określają nauczyciele, codziennie mam się meldować u dyrektora, rodzice raz na tydzień. Ciężko mi idzie.

Przyjeżdża Teatr Bolszoj. Idziemy na „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego. Spektakl robi na mnie tak wielkie wrażenie, że dostaję gorączki. Najbardziej imponują mi liście lecące z drzew, nie wiem jeszcze, że to prosty chwyt z magnesem.

Przychodzi lato i szef szkolnego Komsomołu proponuje wyjazd na obóz. Protestuję, ale rodzice chętnie chcą się mnie pozbyć na jakiś czas. Wyjeżdżam więc, obóz jest w Brzuchowicach, słynnej przed wojną miejscowości, tam się rozgrywała sprawa Gorgonowej. Na obozie po raz pierwszy stykam się z systemem radzieckim. Zgroza, bezhołowie. Zbiorowa sypialnia, głowy ogolone, nie wolno mieć nic własnego, bo ukradną. Jak pada deszcz i jest zimno, trzeba stawać w ogonku do magazynu, żeby wydali sweterek i czapeczkę. Ale trwa to godzinami, bo nie potrafią niczego zorganizować, zaprowadzenie dzieci na posiłek też jest problemem. Po kilku dniach przyjeżdżają rodzice w odwiedziny. Widzą

mnie w żałosnym stanie, ogolonego na zero, pytają, czy chcę wracać do domu. Tak, oczywiście. Zabierają mnie stamtąd. Zaraz potem, dzień, dwa po moim wyjeździe z obozu, wybucha wojna radziecko-niemiecka. I cały obóz został ewakuowany w głąb Związku Radzieckiego. Potem rodzice tych dzieci latami ich szukali, jedni znaleźli, inni nie. Miałem szczęście, że rodzice mnie zabrali, bo mogłem zostać już nie chińskim milionerem, tylko myśliwym na Syberii.

Wkraczają Niemcy. Groza?

I panika. Na łeb na szyję rodzice starają się nas ewakuować, nie dostajemy się jednak do żadnego środka transportu i w końcu Niemcy zastają nas we Lwowie. Natychmiast zmieniamy mieszkanie, rodzice wyrabiają sobie aryjskie papiery, na szczęście już wcześniej przez jakieś urzędnicze niedopatrzenie zmieniono nam nazwisko z Urbach na Urban. To brzmi zdecydowanie mniej żydowsko. I właśnie wtedy po raz pierwszy rodzice mówią mi, że jestem Żydem i mam nikomu tego nie zdradzić. Oczywiście natychmiast wybiegam na podwórko i obwieszczam wszystkim dzieciom, że jestem Żydem. Za chwilę właściciel mieszkania przychodzi do rodziców i każe się wyprowadzić. I tak zaczynają się przeprowadzki i gubienie śladów. Na szczęście mamy tak zwany dobry wygląd, matka jest naturalną blondynką, ojciec nie ma semickich rysów.

W końcu zamieszkujemy w byłym szpitalu płucnym, gdzie leczono gruźlicę i astmę. Mieszkają tam sami Żydzi, którzy udają przed sobą nawzajem katolików. Do mnie przychodzi ksiądz, który uczy mnie żegnać się i tego, czego się nie nauczyłem w porę – „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”, jednym słowem wszystkiego, czego potrzebuje katolik. Po jakimś czasie ojciec dostaje od jakiegoś znajomego propozycję wyjazdu na wieś z niemieckim dokumentem, że jest sprzedawcą gazet. Zostaje przedstawicielem niemieckiego urzędu kolportażu. Od razu się tego chwytamy i wyjeżdżamy do miejscowości Budzanów, pod Tarnopolem, blisko rumuńskiej granicy. Powiat Trembowla, tereny sienkiewiczowskie. To jest miasteczko trzytysięczne, z czego jedna trzecia to byli Żydzi, jedna trzecia Ukraińcy i jedna trzecia Polacy. Żydzi to nędza handlująca i parająca się rzemiosłem. Dookoła gospodarstwa rolne, bogatsze Polaków, biedniejsze Ukraińców. Jest sędzia, posterunek policji, dwóch lekarzy, jeden

adwokat, no i ksiądz. Wynajmujemy mieszkanie. Jesteśmy obcym ciałem wzbudzającym zainteresowanie. Wpierw są plotki, że ojciec to dygnitarz sanacyjny, który tu się schował. To jest oczywiście dobra wersja. Potem przyzwyczajają się do nas. Sprzedawanie przez ojca gazet to czysta fikcja, nikt tam gadzinówek nie kupował.

Udawanie katolika. *Okupację przeżyliśmy dzięki aryjskim papierom. Do mnie przychodził ksiądz, który uczył mnie żegnać się i tego, czego się nie nauczyłem w porę – „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”, jednym słowem wszystkiego, czego potrzebuje katolik. W Budzanowie, gdzie się ukrywaliśmy, brałem nawet udział w pierwszej komunii. Tylko ojciec nie mógł się przełamać, żeby wejść do kościoła, mimo że wszyscy Żydzi demonstracyjnie leżeli tam krzyżem.*

Z czego żyjecie?

Z tak zwanych zasobów. Niełatwo było je spieniężyć. Któregoś dnia ojciec pojechał do Trembowli sprzedać brylant. Brylanty rodzice mieli wprawione w zęby. Przyjechał tam, stanął w jedynym hoteliku, nikogo w tym miasteczku nie znał. I jak ten brylant sprzedać. Zapytał właścicielkę hotelu, czy nie zna kogoś, kto by go kupił. Powiedziała, że owszem, zna. Wkrótce przyszedł jakiś facet, obejrzał brylant i zapytał, czy może sobie go zatrzymać, czy też ojciec woli, żeby zaprowadził go na posterunek niemiecki, a tam sprawdzą mu rozporek. I w ten sposób ojciec stracił brylant. Ale to jeszcze nie jest puenta. Koniec historii był taki, że ta kobieta, która sprowadziła szmalcownika, po wojnie napisała list, żeby ojciec jej pomógł, bo ona w czasie wojny go przechowywała…

Dla mnie to jednak były rajskie czasy. Chodziłem do szkoły, w której pan dyrektor bił wszystkich uczniów kijem po plecach, ksiądz na religii linijką walił po łapach. Wszystkich, tylko nie mnie.

Czemu?

Bo inteligent. Rodzice, kawusie w domu… Dzieci w szkole były przyzwyczajone do lania, nikt się nie buntował. To był inny świat, oni nigdy nie widzieli samochodu, kina, żadnych urządzeń typu radio czy kaloryfer. Opowiadałem o tych wspaniałościach, imponowałem im, zostałem zaakceptowany. Tam dopiero jak radzieccy wkroczyli, pojawiły się samochody, pokazali kino. Przyszła cywilizacja. Odwrotnie, niż głoszą stereotypy.

Nie pojawiali się Niemcy?

Raz w roku jeden przyjeżdżał na furmance pobrać od chłopów kontyngent. Bywały łapanki na roboty. Ale gdy mieli przyjechać Niemcy, jedyna folksdojczka, jaka tam mieszkała, uprzedzała wszystkich i cała wieś uciekała do lasu. Przyjeżdżali, nikogo nie zastawali, odjeżdżali, wtedy cała miejscowość wracała z lasu. Pojawiali się też, jak była jakaś akcja. Po naszym przyjeździe wkrótce wywieziono Żydów do getta w Trembowli. Byłem tam akurat, gdy rozstrzeliwano Żydów.

Pan to widział?

Rodzice nie wypuszczali mnie z domu, jak kule świstały. Przyjechaliśmy saniami w ten dzień załatwić jakieś sprawy. Zatrzymaliśmy się na noc w burdelu, u kochanki właściciela naszego mieszkania w Budzanowie, która była prostytutką. I zaczęła się akcja, strzały, krzyki. Wpadła do nas żydowska dziewczyna i starała się wkupić w towarzystwo, śpiewając „Chryzantemy złociste". Ale kiedy się zaczęła strzelanina, nie wytrzymała nerwowo i wybiegła na ulicę. Mówiono, że schowała się przed Niemcami w gnojówce i jak wychyliła głowę, zastrzelili ją. Ja tej makabry nie oglądałem. Rodzice starali się odwracać moją uwagę od tego rodzaju zdarzeń i ich znaczenia. Chodziłem więc do szkoły, biegałem boso, pasłem krowy, paliłem pierwsze papierosy – nie z tytoniu, dziwnym trafem gustowaliśmy w papierosach z liści makowych, nic jeszcze wtedy nie wiedząc o opium, rzecz jasna. Obrzydliwy smak. Była rzeczka, łowiłem ryby, pływałem czółnem. No, raj dla dziecka.

Zero strachu?

Wie pani, czego się bałem? Ptaków, a szczególnie kur. I ten strach został mi do dziś, nie znam jego podłoża, ale mocno we mnie tkwi. Strachu związanego z wojną nie czułem w najmniejszym stopniu. Może dlatego, że nie widziałem trupów, a może dlatego, że wyobraźnia dziecka w inną stronę kieruje lęki. Na pewno rodzice się bali, ale nie rozmawiali o tym ze mną. Wiedzieli, że jako Żydzi jesteśmy szczególnie narażeni, ale nie pamiętam, żeby ich to paraliżowało. Wiele lat później Jacek Kuroń chyba najlepiej opisał ówczesny mechanizm psychologiczny – wywieźli Żydów, znaczy ICH wywieźli. Oddzielenie niezbędne dla zachowania zdrowia psychicznego.

Niedawno byłem w Budzanowie, po dzielnicy żydowskiej nie ma śladu. W ogóle po niczym nie ma śladu. Tylko przyroda została piękna.

Spotkał pan ludzi, którzy pamiętają wojnę?

Już nie. Ale opowiem inną historię. W latach sześćdziesiątych pojechałem do Koźla na Opolszczyźnie, gdzie cały polski Budzanów został przeniesiony po wojnie. Pojechałem tam robić reportaż, jak im się żyje. Spotkałem dorosłe już dzieci, z którymi się tam przyjaźniłem. Spotkałem

tych starych, którzy jeszcze żyli. Napisałem do „Kulis” tekst o tym, że przyjechali z miejscowości, gdzie samochodu nie widzieli, a myć włosy należało tylko przed Wielkanocą. Szewc Wojtek zdejmował buty latem, a wkładał na zimę i przez całą zimę ich nie ściągał, nawet do spania. A tutaj proszę bardzo, Koźle to Europa pełną gębą. Spotkałem mojego przyjaciela – teraz był milicjantem, koleżankę – teraz była bufetową. Po ukazaniu się tekstu wściekłość moich znajomych z czasów wojny była nieskończona, że ja z nich zrobiłem dzikusów. Tak jak potem film „Boża podszewka” wzbudził oburzenie Kresowiaków.

Wracając do wojennych czasów. Uprzedzono ojca, że jest na jakiejś liście podejrzanych politycznie i może zostać aresztowany. Uciekł i zamieszkał w innym regionie – pod Zbarażem, notabene to też sienkiewiczowskie miasto. Został buchalterem w niemieckim majątku państwowym, który był trzymany dla przyszłych zwycięskich niemieckich oficerów. Tam to już była kanada. Gorzelnia, jedzenia pod dostatkiem. A za jedzenie można było mieć wszystko, co się chciało. Z matką zostaliśmy w Budzanowie, ale wkrótce musieliśmy uciekać, ponieważ zaczęły się rzezie ukraińskie. Ukraińcy, którzy w dzień orali i siali, w nocy palili polskie gospodarstwa. Za naszych czasów tylko palili, nie mordowali. Potem podobno też mordowali. Wyjechaliśmy do Tarnopola. Ojciec co tydzień przyjeżdżał furmanką wyładowaną gęsiami, prosiakami, wódką i wszelkim dobrem. Byli z nami znajomi z Budzanowa, rodzina nauczycielska państwa Barańskich. Mieszkali w pokoju obok. Dawaliśmy im jedzenie, a oni nam serce gorące. Byli w AK. Po kolacji zamykało się drzwi na klucz i zasłaniało okna, wyciągało radio i słuchało BBC, wyjmowało karabin ze schowka, czyściło i nuciło bogoojczyźniane piosenki. Kpiłem z tego na całego, śmieszyła mnie do łez ta patriotyczna tromtadracja.

Przecież był pan smarkaczem.

Ale już wtedy bardzo wyczulonym na kabotyństwo, a to było kabotyństwo w czystej postaci. Później, jak zaczęły się walki o Tarnopol, nie mogłem schodzić do schronu, ponieważ tam major AK rozdawał żółty ser i angielskie suchary, a ja mu bezustannie docinałem. Wybuchł skandal, bo to był ważny człowiek. A do tego śmiałem się, jak baby się modliły. Nie

mogłem znieść tej atmosfery. Rodzice więc chodzili do schronu sami, powiedziałem im, że mam swój schron w okopie i tam się chowam. W końcu odkryli, że do tego okopu ściągnąłem proch, jakieś karabiny. Bawiłem się tam w wojsko. Gdyby nadleciał byle odłamek, wyleciałbym w powietrze z całym moim arsenałem.

Ale zanim rozpoczęły się walki o Tarnopol, ojciec przeżył nalot ukraiński na majątek, w którym pracował. Najpierw Ukraińcy żądają wódki, ojciec ich prowadzi do kadzi w gorzelni, już same opary zwalają ich z nóg tak, że nie są już w stanie zaczerpnąć ani grama. Zanim się ocucili, dopadli ich Niemcy.

Czasy są przekomiczne, *bellum omnium contra omnes*, czyli wszyscy ze wszystkimi wojują. Jest partyzantka radziecka, ba, partyzantka, która ma samochody, czołgi, artylerię niczym regularne wojsko. Są Niemcy, którzy walczą z tą partyzantką. Są dwie partyzantki ukraińskie, banderowcy i bulbowcy, które walczą ze sobą i walczą z Niemcami oraz z Rosjanami. I jest słaba partyzantka polska, AK, która głównie walczy z Ukraińcami. Dzikie pola. Ojciec opowiadał scenkę, którą widział na własne oczy: jedzie szosą kolumna samochodów niemieckich, a w przeciwną stronę kolumna aut radzieckich. Wszyscy odwracają głowy, udają, że nie widzą się nawzajem, bo każdy jedzie w swoich sprawach. I inna historia: pewnego dnia ojciec jedzie saniami ze swoim zaprzyjaźnionym szefem Niemcem. Widzą radziecką partyzantkę. Tamten był w mundurze niemieckim, więc ojciec narzucił na niego jakąś szubę, zagadał Rosjan swoją piękną ruszczyzną i uratował Niemcowi życie. I już stał się przyjacielem całą gębą, Niemiec chronił ojca przed kontrolami, bo ojciec kradł dobra na potęgę. Jednym słowem, końcówka wojny była wesoła. Rodzice na przyjście radzieckich nazbierali ogromne zapasy papierosów i wódki jako walutę i zakopali je.

W pewnym momencie rozdzielił nas front. Ojciec znalazł się po radzieckiej stronie i wzięli go do wojska. My z matką wylądowaliśmy po stronie niemieckiej i czekaliśmy na wyzwolenie. Początek też wyglądał groteskowo – Niemcy przed Tarnopolem zostawili magazyny z wódką. Rosjanie tak się upili, że wjechali do Tarnopola na wierzchu czołgów i zostali wybici jak kaczki.

Zaczęły się walki o Tarnopol. Siedzieliśmy w piwnicy, czekaliśmy na rozstrzygnięcie. Niemcy zarządzili ewakuację ludności. Matka i jej

przyjaciele doszli do wniosku, że nie będą się temu poddawać. Zamaskowaliśmy piwnicę, ale żandarmeria niemiecka nas znalazła, wyciągnęła, postawiła pod ścianą i ustawiła karabiny maszynowe. Powiedzieli, że zaraz nas rozstrzelają.

Co pan wtedy czuł?

Nic, bo dzieci w tym wieku, jeśli nie widziały rozstrzelań, nie wierzą, że coś takiego naprawdę może nastąpić. W najmniejszym stopniu nie byłem zdenerwowany.

A mama?

Zapewne tak, ale to trwało chwilę. Niemcy nagle się roześmiali i kazali nam iść w cholerę z tego miasta. I poszliśmy do jakiegoś opuszczonego majątku ziemiańskiego. Zaczęliśmy głodować, bo chłopi już nic nie chcieli sprzedawać. Wobec tego matka poszła z panem Barańskim do Tarnopola, żeby uszczknąć z naszych zakopanych dóbr. Czyli poszli na front. Wtedy bardzo się denerwowałem, bo zrobiło się ciemno, a mama nie wraca. W pewnym momencie rozległ się śpiew z oddali. To wracała matka z panem Barańskim, kompletnie pijani, ale z pełnymi plecakami. Matka krzyczała na mnie: „Dlaczego ty nie śpisz, co się gapisz”. A ja tu w myślach już się z nią żegnałem, więc wszystko to ciężko przeżyłem.

Wkrótce weszli radzieccy i zrobiło się rozkosznie, bo dali jeść. Oni gnali całe stada bydła. Można było i krowę zabić, i mleka dostać pod dostatkiem, i masła. Robiliśmy im papierosy, napychając tytoń do tutek. Można było i dla siebie część zostawić. Wróciliśmy więc uspokojeni do Budzanowa. Od pewnego czasu była z nami moja ciotka, która uciekła z getta, i jej córka. Przyjechały z Warszawy.

Czyli wiecie o getcie, o Auschwitz?

Rodzice tak, ja nie. Tylko tyle, że dziadków zabili Niemcy, ale nie znam żadnych szczegółów. Rodzice też dokładnie nie wiedzą, jak i kiedy to się stało. Wywieźli ich do Treblinki, a tam losy już nie były zindywidualizowane.

Rodzice zdają sobie już sprawę z rozmiaru Holokaustu?

Doskonale zdają sobie sprawę. Tylko mnie tego nie opowiadają.

Wiedzieliście, co się dzieje z ojcem?

Tylko tyle, że go wzięli do armii. Siedzimy więc w Budzanowie, matka prowadzi sklep dla żołnierzy radzieckich. Wiąże się to ze strasznymi emocjami, bo wódka jest na kartki, oni chcą bez kartek i ciągle jej grożą pistoletami.

Daje?

Nie, bo by wszystko od razu wzięli. Moja ciotka jest głównym buchalterem gminy, czyli ważną osobą. I tak żyjemy. Aż przyjeżdża ojciec. Już jest polskim oficerem z orzełkiem. Opowiada, jak go wsadzili do bydlęcego wagonu, w którym jechali sami Polacy, w większości chłopi, zaledwie kilku inteligentów. Zaczęli się naradzać, co robić. Są wystraszeni. Mają niby jechać do polskiego wojska, tylko że coś tu nie gra. Wiadomo, że polskie wojsko to armia Andersa, a przecież oni są już w Iranie i we Włoszech. Może więc jadą bydlęcym wagonem na Sybir, może zrobią im kolejny Katyń.

Skąd ojciec wtedy wiedział o Katyniu?

Znał całą prawdę. Niemcy wszystko ogłosili.

Rosjanie też ogłosili swoją wersję. Ojciec nie miał wątpliwości?

Żadnych. Katyń to było hasło oczywiste. Londynu się słuchało. Dlatego w tym pociągu potwornie się bali. Ustalili między sobą, że będą udawać analfabetów, tak było bezpieczniej, bo chłopów nie ruszają. Wreszcie zajechali do miejscowości Sumy, miasteczka na głębokim zapleczu frontu, gdzie formuje się armia Berlinga. Ojciec wychodzi z wagonu i wpada w ramiona znajomych z Łodzi, którzy są już eleganckimi oficerami. Natychmiast go prowadzą gdzie trzeba, dają mu oficerski stopień, powierzają kierowanie gazetą dywizji, od razu znajduje się w elicie. To była 4. dywizja 1. Armii. Ojciec otrząsa się ze strachu, jest wśród przyjaciół, poza wszelkimi niebezpieczeństwami. Najpierw zajął się piciem i rozrywkami, wkrótce pojechał po nas. Miał dwie mieszkalne ciężarówki z budami. W jednej była redakcja, w drugiej mieszkanie.

Czyli byliście świetnie zadekowani.

Znakomicie. Był ordynans żydowski, który tak kaleczył polski język, że płakaliśmy ze śmiechu. Jest wesoło, są tam młodzi literaci, aktorzy. Za nami jechał teatr dywizyjny, szpital. Oficerowie romansują z aktorkami, pełny dobrobyt, obfite amerykańskie przydziały żarcia, mnóstwo wódki, pijaństwo przeraźliwe. Życie prowadzimy nadzwyczajnie rozrywkowe. Wojsko idzie pieszo całymi dniami, my samochodami przejeżdżamy dystans w dwie godziny i jest czas na zabawę. Co prawda ojciec dwa razy wpada w kłopoty służbowe, ale bez poważnych konsekwencji. Raz, bo słucha niemieckich radiostacji. Wytłumaczył, że redakcja musi wiedzieć, co się dzieje. Przyznali mu rację. Potem z nudów zaczął organizować seanse spirytystyczne. To też było źle widziane przez polityczno-wychowawczych. Nie wiedzieli jednak do końca, jak się do tego ustosunkować, więc dali spokój. Jednym słowem tabor cygański, nie wojsko. I tak zajeżdżamy najpierw do Chełma, gdzie właśnie ogłoszono Polskę Ludową i manifest PKWN. Z tej okazji zorganizowano bal, jestem na nim i widzę, jak gruby jak beka generał Kieniewicz prowadzi poloneza. Obrazek niczym scena z filmu Wajdy „Popiół i diament”.

Potem jedziemy do Lublina w ślad za frontem. Po drodze jest Majdanek, który dwa, trzy dni wcześniej został wyzwolony. Pamiętam bardzo ciekawą dyskusję w samochodzie. Stoimy przy Majdanku i rodzice rozmawiają, czy mnie wziąć tam i pokazać, żebym na całe życie zapamiętał, czy to będzie za duży szok dla dziecka. Przez dłuższą chwilę nie mogli się zdecydować, aż wreszcie zapadło kompromisowe rozwiązanie, że mogę iść tylko do miejsca, skąd nie widać trupów. A tam leżały ogromne zwały trupów. Widzę jednak z oddali, jak członkowie załogi Majdanka zakopują je, a tłum Polaków rzuca w nich kamieniami. Zrobiło to na mnie straszne wrażenie, więc rodzice szybko mnie stamtąd zabrali. Ciąg dalszy jest taki, że w kilka miesięcy później odbył się w Lublinie pierwszy w Polsce proces zbrodniarzy wojennych, czyli właśnie załogi Majdanka. Podsądnych prowadzono pieszo przez miasto. W tłumie ludzi obserwujących to na ulicy była moja matka. Ludzie krzyczeli, szarpali ich, rzucali kamieniami, mimo że szła z nimi wojskowa obstawa. W pewnym momencie tłum wcisnął matkę pomiędzy tych esesmanów, dostała kamieniem, zaczęli ją szarpać, zdarli buty.

Pojechaliście z armią dalej, na front?

Nie, jak dotarliśmy do Lublina, ojciec postarał się, żeby go oddelegowano do działalności cywilnej. Wstąpił do PPS, z którym miał ścisłe związki przed wojną. Został redaktorem pierwszego organu PPS, tygodnika. W Ministerstwie Propagandy dostał stanowisko szefa od prasy, został posłem do Krajowej Rady Narodowej. Jednym słowem wszedł do drugiego garnituru ekipy lubelskiej.

Ciekawie było wówczas w Lublinie. Rodziła się władza, widziałem Wandę Wasilewską, Berlinga, Osóbkę-Morawskiego. Wtedy tam się odbywał gąszcz dyskusji politycznych. Przyjeżdżali ludzie z Londynu z emigracji, z głębi Rosji, z Sybiru. Potem z Ameryki. U nas w domu gromadzili się głównie działacze PPS. Trwały bezustanne dyskusje, co robić, co Rosjanie zrobią, co z Polską. A także prywatne, czy wyjeżdżać, czy nie. Życie polityczne pełne emocji, a na dodatek strzelają dookoła.

A jak pan funkcjonuje w tym wszystkim, wówczas 11-latek?

Podsłuchuję rozmowy, czuję, że dzieje się coś ważnego, i chodzę do szkoły. Polskiej szkoły, bo taką już otwarto. Wtedy już piszę opowiadania, reportaże, felietony. To taka twórczość do zeszytu i odpowiada mniej więcej prozie, jaką się sporządza w tym wieku. Nadchodzi rok 1945 i zaczyna się styczniowa ofensywa, radzieckie wojska wchodzą do Łodzi i rodzice chcą zaraz tam wracać – do domu i przedwojennego życia, bo im się wydaje, że odtworzenie tamtego życia jest możliwe. Tutaj, w Lublinie wszystko jest na niby, a tam jest ich prawdziwe miejsce, ich prawdziwe życie, prawdziwy status. Wobec tego ojciec załatwia sobie nominację delegata rządu na Łódź. Były takie grupy operacyjne i kilka osób jechało, żeby zająć miasto. Ojciec jest jedną z takich osób, które mają przejąć dla Polski Łódź. Dostaje pełnomocnictwa do zajmowania domów. Odzyskuje nasze mieszkanie po Niemcach. Gdy wchodzi, jeszcze stoją potrawy po nich. Ten Niemiec, który tam mieszkał, nazywał się Brunon Neurode, pamiętam do dziś, chociaż tak w ogóle to niewiele już z życia pamiętam. Zostawił lokatorkę w naszym mieszkaniu, polską gosposię. Zaczęło się od awantury z nią. W służbowym pokoju zamknęła co lepsze rzeczy z mieszkania. Ojciec uważał, że należą do nas, bo Niemcy zabrali wszystko, co zostawiliśmy, wobec czego on zabierze to, co Niemcy zostawili. Ale to było takie użeranie się na

marginesie głównej działalności ojca, czyli zajmowania mieszkań dla przyjaciół i znajomych, żeby mieli dokąd wracać. I urządzanie naszego – pamiętam, że matka uparła się, że musimy mieć lodówkę, więc ojciec w mundurze z drugiego końca miasta wiózł tę lodówkę na wózku. Wreszcie samolotem wojskowym matka i ja przylecieliśmy z Lublina i osiedliśmy w domu. Przez dłuższy czas mieszkaliśmy w jednym pokoju, to było nieznośne wojenne przyzwyczajenie. Przez to pewnej nocy wysłuchałem rozrachunku rodziców, z kim się nawzajem zdradzali. Część z tych ludzi znałem i bardzo boleśnie to przeżyłem.

W jakiś czas później jedziemy do Jeleniej Góry obkupić się w poniemieckie dobra. Srebra, porcelanę, bieliznę pościelową, sprzęty do mieszkania.

Od szabrowników?

Raczej od Niemców, którzy już byli wysiedlani i nie mogli wszystkiego zabrać. Tak jak w Łodzi było mienie pożydowskie, tak tam było mienie poniemieckie. Dziesięć, dwadzieścia lat później ci Niemcy przyjeżdżali w odwiedziny jako obywatele RFN z pretensjami: „Pani Lusiu, przecież to jest moja salaterka, niech pani odda, ja ją zostawiłam tylko na przechowanie”.

Z Jelenią Górą mam jeszcze jedno wspomnienie. Rodzice wysłali mnie kiedyś na obóz narciarski YMCA w Sudety. Byłem wściekły, że mam jechać z chrześcijańską organizacją, a rodzice robili mi wyrzuty, że zapłacili mnóstwo pieniędzy, bo to był bardzo drogi obóz, a ja jeszcze grymaszę. Pojechałem więc w te Sudety nieszczęśliwy. Już podczas podróży pociągiem doszło do bójki. Siedziałem przy oknie, nie chciałem ustąpić miejsca, a moi współobozowicze uważali, że po chrześcijańsku sprawiedliwie będzie, jak na drugą połowę drogi przesiądę się. Przyszedł instruktor, założył nam rękawice bokserskie, żebyśmy się bili po rycersku. Stłukli mnie. Bardzo mi się to nie spodobało, więc w Jeleniej Górze, gdzie mieliśmy się przesiąść do autobusu, uciekłem. Na złość tym z YMCA, żeby wpadli w popłoch, bo im zginęło dziecko, i w zemście na moich rodzicach, że wysłali mnie na taki ohydny obóz.

Dokąd pan uciekł?

Do Kosińskich, czyli Jurka i jego rodziców, którzy się przeprowadzili z Łodzi do Jeleniej Góry.

Pan chodził z Kosińskim do szkoły.

Ale zaledwie dwa tygodnie, bo zaraz mnie z niej wyrzucili, to był rok 1945, tuż po wyzwoleniu. Powiedziałem na przerwie, że to jest zgniła buda. Koledzy donieśli dyrekcji i za te straszne słowa wywieźli mnie na taczkach. Dosłownie. Ponieważ ledwo wznowiono polską szkołę, której tyle lat nie było, a tu przyszedł taki i ją obraził. Rzecz polegała na tym, że ja do polskiej szkoły już chodziłem przez rok, w Lublinie. Dla mnie więc to była szkoła, jak szkoła. Tak więc ten dysonans świeżo wyzwolonych i staro wyzwolonych pozbawił mnie dalszego przebywania z Kosińskim w szkole. Ale Kosińscy byli bliskimi znajomymi moich rodziców, dlatego wzajemne kontakty w Łodzi trwały, choć niezbyt intensywne.

Przyszedłem więc do Kosińskich w Jeleniej Górze, nie przyznałem się do ucieczki ani do tego, że rodzice o niczym nie wiedzą, po prostu wpadłem w odwiedziny. I wtedy prawie dwa tygodnie spędziłem z Jurkiem jak z bratem na jeżdżeniu na saneczkach, wypadach do Karpacza. Oczywiście po powrocie do Łodzi następuje jakaś straszna awantura z rodzicami, ja jednak odczuwam satysfakcję.

Znajomość z Kosińskim przetrwała na dłużej?

Nie. Potem spotykałem go sporadycznie, on tak jak i ja przeniósł się do Warszawy. Nie lubiłem go, bo już na studiach stał się jakiś taki sarkastyczny, opryskliwy, wyniosły. Gdy wyjechał do USA, moja matka pilnie śledziła jego losy. Donosiła mi, że ożenił się z amerykańską miliarderką, wdową po jakimś królu stali. Mieszka w pałacu, ale jest nieszczęśliwy, bo nie może postawić szklanki z whisky tam, gdzie ma ochotę, wszystkie bowiem meble są zapisane w testamencie króla jakiemuś muzeum i regularnie przychodzi do nich kustosz pilnować, czy ich nie niszczą. Takie ploteczki z wyższych sfer amerykańskich. Potem coraz bardziej łgał w wywiadach, co wywoływało oburzenie moich rodziców, którzy doskonale wiedzieli, co Kosińscy naprawdę robili w czasie okupacji. Zresztą opisała to dość precyzyjnie Joanna Siedlecka w „Czarnym ptasiorze”. Bliższy kontakt miałem z nim dopiero w latach 80., gdy jako

rzecznik rządu pojechałem do Ameryki i w polskim konsulacie w Nowym Jorku wydawałem przyjęcie. Tylko Jurek przyszedł z setki zaproszonych Polonusów.

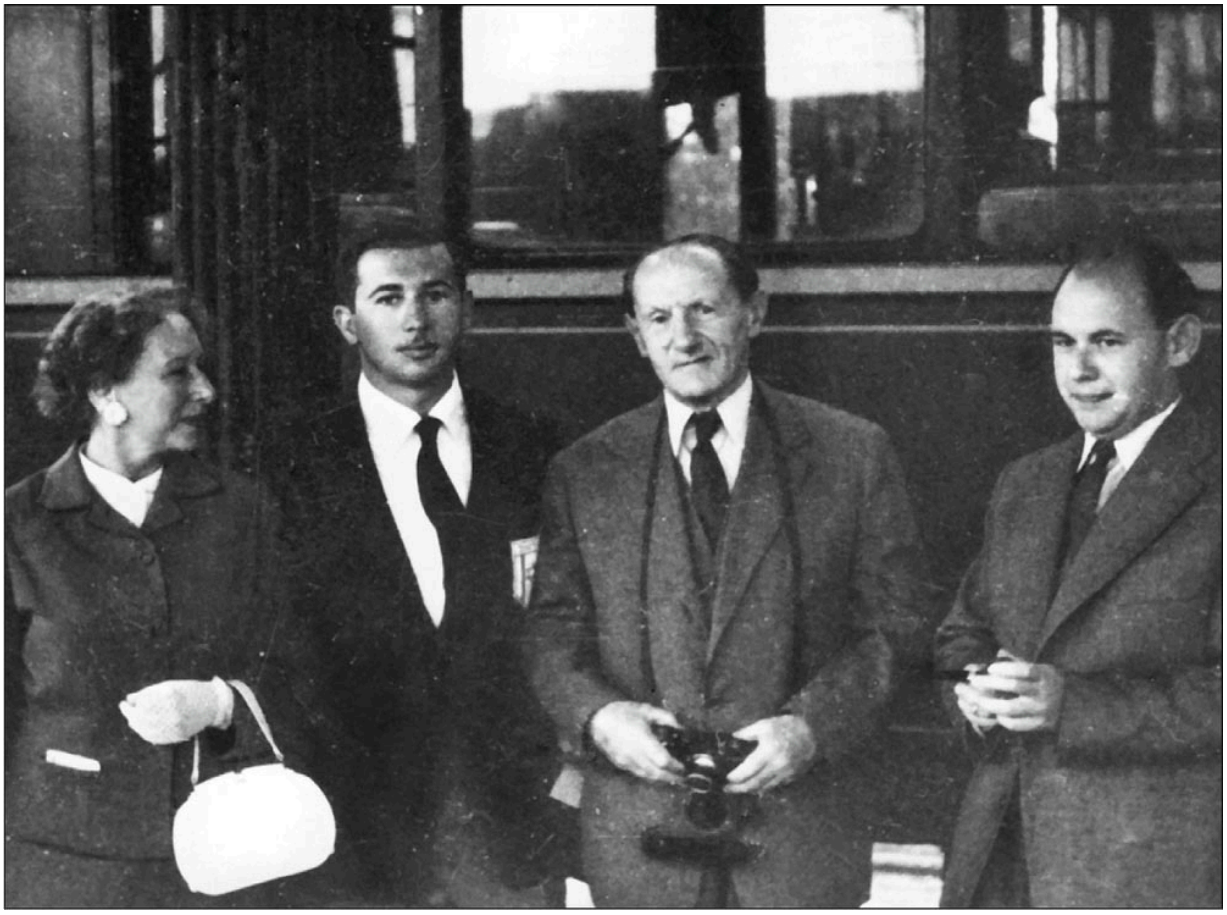

Rodzice. *Mama i ojciec (stoi po mojej prawej ręce) nie chcieli mieć syna kontestatora, woleli mieć syna konformistę. Miałem cicho siedzieć, urządzić się jak najlepiej i zwyczajnie żyć. Ich filozofią było: schować się. A moją filozofią: pokazywać się. Wszystko to wiążę z ich traumą wojenną i poczuciem obcości wobec komunizmu.*

Wróćmy do dzieciństwa w Łodzi.

Wkrótce zaczął się kłopot z ojcem. Otóż wszystkie funkcje, które sprawował, zobowiązywały go do przeniesienia się do Warszawy, a on chciał spokojnie żyć w Łodzi. Zaczął się więc sam zwalniać. Najpierw z zarządu frakcji poselskiej PPS. Został szeregowym posłem. Zwolnił się z funkcji redaktora, z ministerstwa itd. W Łodzi nie bardzo miał co robić, wobec tego mianował się naczelnym redaktorem „Monitora Polskiego". Komedia, bo „Monitor Polski" to jest dziennik urzędowy, więc tam żadnego naczelnego nie potrzeba, tylko redaktora technicznego. A ojciec z pensją redaktora naczelnego ważnego pisma rządowego powołał tam spory zespół dziennikarzy.

Fikcyjne stanowiska dla kolegów…

Tak. Kolegów, koleżanek. Popijają tam ostro, jest bardzo wesoło.

Jaki jest stosunek pana rodziców do porządków sowieckich?

Pełen obaw. Wiedzą więcej niż tubylcy, bo dwa lata mieszkali we Lwowie pod radziecką władzą. Poza tym zawsze obawiali się komunizmu, przed wojną straszne wrażenie na nich zrobiły stalinowskie czystki w '37 roku. Ojciec bał się, bo nie wiadomo, co będzie, ale z drugiej strony to, co jest, na razie bardzo mu się podobało. Był jeszcze młody, wiódł zabawowe życie. Nastąpiło jednak pewne rozdarcie. Wycofując się ze wszystkich funkcji publicznych, służbowo i zawodowo sam się degraduje. Potem ciężko to przeżywa. Szamoce się, stara się coś odzyskać u władz. W 1948 roku musi sprzedać majątek po dziadkach, bo już powstała PZPR i wyrzucają z partii tych PPS-owców, którzy mają prywatną własność. Daje w prezencie swojemu pracownikowi odziedziczony warsztat i sklep optyczny przy Piotrkowskiej i w ten sposób ratuje członkostwo w partii. Zostaje urzędnikiem w centrali tekstylnej, jest referentem prasowym, czyli ma czytać w gazetach, co o nich piszą. Nie wytrzymuje tej degradacji, jedzie więc do Warszawy i tam koledzy dają mu stanowisko sekretarza redakcji w „Rzeczpospolitej". Przenosi się do stolicy, a my zostajemy w Łodzi, ojciec przyjeżdża w soboty. To jest czas, w którym ja, piętnastolatek, znajduję sens życia.

Co takiego się wydarza?

Najpierw opowiem pani o szkole, do której chodzę, bo ta szkoła jest egzemplifikacją zjawiska politycznego w powojennej Polsce, którego nikt jeszcze nie opisał. Oczywiście belfrzy są przedwojenni. Podręczniki są przedwojenne, łącznie z książkami o bohaterskim małym Ziuku. Wszystko jest bogoojczyźniane. Czytanki o harcerzach, co wytropili sowieckiego szpiega. W samej szkole działa Związek Walki Młodych – organizacja komunistyczna, ZMW RP Wici, Sodalicja Mariańska, skauting amerykański, harcerstwo polskie, koło naukowe, spółdzielnia uczniowska itd. Wszystko to razem połączone jest w radę organizacji uczniowskich, która jest samorządem szkolnym. Odbywają się do niego wolne wybory, konfrontacyjne, z agitacją, ze wszystkim, co trzeba. Koło naukowe ma sekcje różnych przedmiotów. Mój kolega Krauze daje odczyt o historii Chin, od początku do końca całą historię wymyśla, a wszyscy, łącznie z nauczycielami, kiwają głowami, że Krauze taki mądry i tak się napracował. Tam aż kipi od życia.

W klasie na ścianie, na samej górze wisi krzyż, pod krzyżem orzeł, pod orłem Bierut, po bokach Bieruta Cyrankiewicz i Żymirski, zamieniony potem na Rokossowskiego. Kiedy ktoś brudną szmatą obrzuca ten ołtarzyk, nauczycielka na lekcji wychowawczej mówi, że nie wolno rzucać szmatą, bo można trafić w krzyż, po drugie Cyrankiewicz, jaki jest, to jest, ale dużo naszych wyciągnął z Syberii, a orzeł to orzeł, i w ogóle po co nam kłopoty. W tej tonacji to się odbywa. Na lekcjach wychowawczych uczą nas takich rzeczy, jak przewodzenie zebraniom i kongresom. Wniosek dalej idący, wniosek bliżej idący, co się najpierw głosuje, czy wpierw się wybiera komisję mandatową, czy wpierw skrutacyjną. Jednym słowem wszystkich reguł demokracji. Są lekcje religii, ale jeśli ktoś jest ateistą, nie musi odmawiać pacierza. Stoję więc, słucham tych paciorków, ale z nudów zaczynam kręcić w rękach ołówek. Ksiądz się wściekł i wyrzucił mnie z klasy. Nie mogłem tego darować. Obmyśliwałem zemstę i jakimś trafem znalazłem przepis mówiący o tym, że rodzice mają prawo zwolnić dziecko z lekcji religii. Przepis wówczas mało znany i w państwie komunistycznym wcale nie wykorzystywany. Oczywiście natychmiast wymogłem na rodzicach oświadczenie, z dużą satysfakcją wręczyłem ją księdzu. Sam biskup podobno go ochrzanił za to, że sprowokował precedens nieuczęszczania.

Do jakiej organizacji pan się zapisał?

Do ZMP, która powstała w 1948 r., bo wówczas jeszcze kontestowała mieszczański porządek i styl życia, była nonkonformistyczna, wyzwolona obyczajowo, czyli spełniała wszystkie te kryteria, które są dla mnie istotne przez całe życie. Jestem już pod urokiem marksizmu. Z tego zetknięcia wynika moje przekonanie o determinacji historii. Dla mnie jest wręcz naukowo udowodnione, że biegiem dziejów sterują ścisłe reguły, ciągle te same. Że kiedy cywilizacja zaczyna górować nad stosunkami społecznymi, które stają się zacofane wobec poziomu cywilizacji, to wtedy następuje przewrót itd. Z tego wynikało przeświadczenie, że komuniści bez wątpienia historycznie wygrają i każdy, kto nie popiera tego ruchu, jest wyrzucony na śmietnik myślowy i społeczny.

Ależ pan ma wtedy zaledwie 15 lat.

No tak, ale jestem po lekturze co prawda jednej jedynej książki na ten temat, ale dobrze napisanej – „Wstępu do teorii marksizmu" Adama Schaffa. To było jak objawienie, na kilka lat determinizm historyczny stał się dla mnie zracjonalizowanym odpowiednikiem katolickiej wiary – ci, którzy są w naszym Kościele, będą zbawieni – różnił się tylko aparaturą uzasadniającą.

Kiedy pan zaczął wątpić?

Trudno powiedzieć, to był proces, na pewno rok '56 przyniósł bardzo mocne zachwianie wiary, pomogły lektury – biografie Stalina czy Trockiego Izaaka Deutschera, „Ciemność w południe" Koestlera. W latach 60. już nawet śladów po niej nie było. Ale na razie jestem gorliwym wyznawcą. Na całego zaangażowałem się w działalność zetempowską. Podczas wakacji zawsze z rodzicami wyjeżdżałem na lato do Sopotu. Rano chodzę tam z matką i ojcem do kawiarni, potem na plażę, spacer po molo, nuda jak cholera. Mój przyjaciel z Łodzi Andrzej Berkowicz już był bardziej zaawansowany, działał w strukturze dzielnicowej. Napisałem więc list do dzielnicowego ZMP, żeby mnie ratowali, że ja już tego mieszczańskiego życia nie mogę wytrzymać. Skarżyłem się, że prowadzę bezbarwne, bezsensowne, bezideowe życie. Wkrótce dostałem depeszę, że mogę przyjeżdżać. I przyjechałem. Wpierw zostałem członkiem zespołu

prelegentów, to była grupa, która mogła chodzić do jeszcze głupszych i coś mówić. Wkrótce awansowałem, zostałem członkiem prezydium Zarządu Dzielnicowego Śródmieście-Lewa. Szalenie mi to imponowało, podlegało mi dwadzieścia szkół.

W jakim sensie?

Kontrolowałem szkolne koła ZMP. Chodziłem do dyrektorów i byłem traktowany jak partner. W żeńskiej szkole gospodarstwa domowego panienki piszczały na mój widok i zamykały się w klasach, bo widok samca w ich szkole szokował. Jedna nawet zemdlała, jak wpinając odznakę harcerską, wbiłem jej szpilkę w pierś, dosłownie, bo byłem przejęty tym, że sięgam dziewczęcego biustu. Chodziłem do szkoły żydowskiej na zebrania ZMP, podczas których mówili w jidysz. Protestowałem przeciwko temu, tłumacząc, że to jest Związek Młodzieży Polskiej, że oni przede mną konspirują w jidysz, że protokół ma być po polsku. Od księży salezjanów zażądałem pokoju dla koła ZMP. Nachodziłem przełożonego regularnie, chociaż bez skutku.

Ciągle były jakieś akcje. Wówczas panna Jadzia, ta, która zajmowała się mną przed wojną, stała się bardzo partyjna. Pracowała jako szefowa kadr w wielkich zakładach przemysłowych. Dzwoniłem do niej: „Panno Jadziu, dziś potrzebuję pięciu robotników na akcję, niech pani ich zwolni z pracy”. Oczywiście załatwiała, tylko że jak przychodziła do mnie „na dzielnicę”, mówiła: „Jureczku”. Wstydziłem się przed towarzyszami.

Kiedyś zostałem mianowany zastępcą komendanta obozu dla młodzieży ze szkół zawodowych. To był obóz na kilka tysięcy uczestników. Matka wpadła w przerażenie, powtarzała, że zwariowałem i skończę w więzieniu, bo jak ja, szesnastolatek, mogę odpowiadać za setki ludzi i finanse obozu. Załatwiła mi zwolnienie lekarskie. Przed wyjazdem na obóz wygłosiłem jednak płomienne przemówienie agitacyjne, słuchało mnie kilka tysięcy osób na świeżym powietrzu. Za to pojechałem na obóz instruktorów politycznych, urządzany przez zarząd główny ZMP. Prowadziłem tam seminaria z marksizmu-leninizmu.

To była pełnia życia, galeria postaci skupionych wokół mnie niesłychana. Pierwszym przewodniczącym dzielnicy był żydowski tragarz Puterman, wielkie monstrum, które nie umiało czytać i pisać. Siedział

wieczorami za biurkiem z nahajką i opowiadał, jak się bił z reakcjonistami z AK w parku. W 1990 roku, czyli ponad czterdzieści lat później, w „Alfabecie Urbana” takiego go opisałem. Wkrótce potem dostałem list ze Szwecji od znajomej: „Spotkałam największego naszego szwedzkiego filozofa, profesora Putermana. Pytał mnie, dlaczego tyś go opisał jako analfabetę i chama”. Być może on nie umiał czytać i pisać po polsku, a w jidysz tak? Być może bił się z reakami, ale poza tym czytał Hegla? Następnym przewodniczącym był hrabia Wierusz-Kowalski. Siedział na ławce przed domem, w którym mieścił się zarząd dzielnicy, bo koledzy tak śmierdzieli, że on nie mógł wytrzymać. Potem został profesorem fizyki jądrowej. Dalej był zawodowy złodziej, który okradł zarząd ze wszystkiego, w tym brał do kieszeni pieniądze, jakie cyrki płaciły dzielnicy ZMP za użyczenie sali do szycia namiotów cyrkowych. W związku z powszechnym złodziejstwem co sobotę miałem dyżur przy kasie, jak organizowaliśmy potańcówki. Byłem bowiem jedyny „na dzielnicy”, co nie ukradnie pieniędzy. Do tego dochodzą jeszcze kampanie polityczne. W ramach wielu dziwnych rzeczy, którymi się zajmuję, jest rozwiązywanie kół marksistowskich w szkołach.

Przyjaciel. *Z Andrzejem Berkowiczem (siedzi obok mnie) byliśmy nierozłączni aż do jego emigracji w 1968 roku. To on mnie wciągnął do łódzkiego ZMP, gdzie jako kilkunastolatek zrobiłem oszałamiającą karierę działacza.*

Nie rozumiem? Dlaczego nagle marksizm stał się zły?

ZMP jest organizacją, która ma zrzeszać całą młodzież pragnącą budować socjalizm, niezależnie od światopoglądu. A to są kółka sekciarskie, które zajmują się rozważaniem dialektyki marksistowskiej. O względności rzeczy i zjawisk, o walce przeciwieństw i o „Osiemnastym brumaire'a Ludwika Bonaparte" Marksa. Komu to jest potrzebne? Więc trzeba rozwiązać. A koła marksistowskie tak się wciągnęły w omawianie marksizmu, że nie chcą się rozwiązywać.

Jak się rozwiązywało? Groźbą, bijatyką?

Nie. Szedłem do dyrektora, mówiłem, że zmienił się etap i kończymy z kołami marksistowskimi. Dyrektor wzywał przewodniczącego koła i powtarzałem to przy nim. Dla wzmocnienia efektu czyniłem dyrektora odpowiedzialnym za to, żeby przewodniczący wytłumaczył kolegom, że to sekciarska działalność. A my teraz jesteśmy federacją dawnych organizacji o różnych poglądach.

Pan to wszystko robi poważnie czy dla hecy?

Śmiertelnie poważnie. Potrafię nie spać przez trzy noce przed pierwszym maja z podniecenia i ze zdenerwowania. Wszak odpowiadam za przygotowanie pochodu dzielnicy, za hasła, za to, żeby szkoła numer 8 zeszła się o określonej godzinie ze szkołą numer 9. Kto będzie szedł na czele, kto w ogonie. Jak wypaść najlepiej przed trybuną. Wtedy nic ważniejszego na świecie dla mnie nie istniało. Oczywiście, jak to szesnastolatkowi, jakieś dowcipy krążyły mi po głowie. Na przykład wydzwaniam Bermana z trybuny, bo się założyłem, że go stamtąd wyciągnę.

Jakim cudem dzieciak mógł zadzwonić do Bermana?

Zadzwoniłem do urzędu miejskiego, udając, że dzwonię z KC. Że jest pilna sprawa do towarzysza Bermana i proszę go wezwać do telefonu. Koledzy w tym czasie obserwowali, co się dzieje na trybunie. I faktycznie, ktoś podchodzi do Bermana, mówi mu coś na ucho, on schodzi z trybuny,

idzie do budynku miejskich władz, słyszę jego głos w telefonie i rzucam słuchawkę. Wygrałem.

To nie był pierwszy szczeniacki dowcip tego typu. Wcześniej, udając kobietę, bo głos mi na to jeszcze pozwalał, zadzwoniłem do Polpressu, poprzedniczki PAP, z informacją, że właśnie nastąpił koniec wojny japońskiej, choć trwała ona w najlepsze. Umieścili to w sygnałach, ale ktoś za jakiś czas sprawdził w innych agencjach i musieli zamieścić dementi.

Tamte czasy to była zabawa, chodzenie z kolegami do baru wieczorem, gdzie zamawiało się kiełbasę, setkę wódki do tego. Kosztowało 10 złotych. To była dorosłość. Pierwszy seks z pewną aktywistką w krzakach na obozie. Zresztą ten związek skończył się bardzo szybko. A było tak – rodzice akurat wyjechali na trzy dni. Zaprosiłem więc pannę do domu, żeby ze mną na ten czas zamieszkała jak żona. Przeprowadziłem ją dumnie przez podwórko, tak jak ojciec arcybiskupa mariawitów. Oczywiście po powrocie rodziców sąsiedzi natychmiast donieśli o tym matce. Wpadła w popłoch, wezwała przyjaciółkę, która zrobiła mi pogadankę, że seks równa się straszliwe choroby, dzieci, a nawet małżeństwo. Tak się przeraziłem, że na dobrych kilka lat ta sfera życia uległa zapomnieniu.

Co na tę pana zetempowską aktywność rodzice?

Jak to rodzice, krzyczeli, że dom nie jest hotelem, że przychodzę tylko na noc, że nie chodzę do szkoły.

A nie mówili: nie angażuj się w te głupoty?

Mówili. Ale nie tak obcesowo. Podchodzili do tego pedagogicznie. Nie mówili więc, że to głupoty, bo widzieli, że ja w to wierzę. Moja działalność ich drażniła, niepokoiła, ale było to lepsze niż gdybym, broń Boże, w jakąś konspirację się bawił. Po wojnie już zawsze moimi rodzicami rządził strach. Nie chcieli, żebym w cokolwiek się angażował, ale nie chcieli też, żebym odstawał. Nie chcieli mieć syna kontestatora, woleli mieć syna konformistę. Potem, jak pracowałem w „Po prostu”, a na ulicach wybuchały petardy i milicja pałowała młodych ludzi, jeszcze bardziej się bali. Miałem cicho siedzieć, urządzić się jak najlepiej i zwyczajnie żyć.

Rodzice we wszystkich moich poczynaniach, czy ja byłem reżimowy, czy antyreżimowy, prześladowany, czy prześladujący, tylko się bali. Ich filozofią było: schować się. A moją filozofią: pokazywać się. Wszystko to wiążę z ich traumą wojenną i poczuciem obcości wobec komunizmu. Chociaż ojciec był w PZPR aż do śmierci.

Pouczał pan rodziców ideologicznie?

Nie. Natomiast naśmiewałem się z ich mieszczańskiego trybu życia, byłem przeciwko temu mocno zbuntowany. Jak siedzieli w kawiarni, przychodziłem z puszką i ostentacyjnie zbierałem pieniądze na jakieś rewolucyjne cele. Oni opędzali się ode mnie jak od muchy, mówili: „Jurek, daj innym spokojnie pożyć".

Rządzi pan Łodzią. Przewróciło się panu w głowie?

Oczywiście, że tak.

Jak pan sobie wyobrażał dalszą karierę?

Bardzo prosto. Mówiłem rodzicom, że chcę rzucić szkołę i zostać etatowym pracownikiem ZMP. A co potem organizacja ze mną zrobi, to już ich sprawa. Rodzice oczywiście nie pozwolili na to. Ale i tak mnie ze szkoły znów wyrzucono.

Za?

Za to, że całkiem straciłem kontakt z przedmiotami ścisłymi, że wagaruję, siedzę „na dzielnicy" zamiast w szkole. Po prostu nic nie umiem. Ale ponieważ byłem już w tym szkolnictwie osobą, wydawało mi się, ważną, w końcu dyrektorzy szkół musieli ze mną rozmawiać jak równy z równym, poszedłem do mojego przełożonego w zarządzie łódzkim ZMP, kierownika wydziału szkolnego, Włodzimierza Natorfa. Nazwisko znane potem, bo był naszym ambasadorem przy ONZ, ambasadorem w Moskwie, sekretarzem KC itd. Powiedziałem mu, żeby mi znalazł najgorszą szkołę w Łodzi. Znalazł na Widzewie. Tam już nic nie musiałem umieć. Dyrektor mnie poprosił, żebym poprowadził radiowęzeł, skoro jestem taki aktywista. Od tego czasu stałem się osobą nietykalną w szkole. Rano zasiadałem w radiowęźle, brałem „Trybunę Ludu" i robiłem prasówkę. Wkrótce zaczęli

do mnie przychodzić z innych klas z prośbą, że mają klasówkę na trzeciej lekcji, żebym poszedł do dyrektora i powiedział, że dziś jest rocznica śmierci Róży Luksemburg i szkoła powinna to uczcić. Wygłaszałem więc przez radiowęzeł pogadankę na temat życia tej zacnej rewolucjonistki. Szczęśliwi byli uczniowie, szczęśliwi nauczyciele, bo odciążałem ich od pracy. To szczęście powszechne trwało rok, po czym wyprowadziliśmy się do Warszawy.

Gorączka

Jaki Jerzy Urban przyjeżdża do Warszawy i do jakiej wówczas Warszawy?

Przyjeżdża do Warszawy facet, który ma w obcej, na dodatek dobrej szkole rozpocząć klasę maturalną. Wywodzi się z najgorszej szkoły w Łodzi, którą sam celowo wybrał, żeby przebrnąć przez przedostatnią klasę. Ma już przewrócone w głowie, ponieważ był zetempowskim dygnitarzem, od rana do wieczora zajętym działalnością, obradami, który miał tam zaplecze, kolegów, antagonistów, zwolenników. Czuł się ważną osobą i poważnym działaczem jak na swój wiek. I jedzie do Warszawy, gdzie nie ma współtowarzyszy walki o socjalizm ani zwykłych kolegów, nikogo nie zna, nikt nie zna jego. I uważa, że znalazł się w sytuacji tragicznej, że życie zostało mu przecięte i zmarnowane. Jest nikim.

Duże pojęcia pan wprowadza…

Bo tak to odczuwałem. Nagle nie było dzielnicy, nie było kolegów, nie było zajęć. Było ZMP, ale zupełnie inne niż to, do którego wstępowałem. Wstępowałem do ZMP jako organizacji młodzieżowej kontestacji. Przeciw mieszczaństwu, przeciw płaskości bezideowego życia, przeciw religii, wyzyskowi. Praktykowaliśmy wolną miłość, choć nie istniało jeszcze takie określenie, palili papierosy i pili wódkę. Robiliśmy to, czego nie wolno.

Każdy młody chłopak robi rzeczy zakazane. Nie trzeba do tego ZMP.

No tak, ale organizacja, która buduje postawy kontestacyjne, tworzy pewien styl życia, fason, poczucie pokoleniowego buntu. A tymczasem w nowej szkole moje ukochane ZMP zajmowało się tym, żeby chodzić w kapciach, nie palić papierosów w kiblu i żeby się dobrze uczyć. Nie mam żadnych wpływów, żadnej władzy, nikt się ze mną nie liczy. Jedyne, co mogę zrobić, to zamiast kapci założyć do szkoły ciemne ubranie

z kamizelką i muszką, ze złotą dewizką i palić w klozecie cygara. I to była moja reakcja. Wciąż miałem potrzebę przekory, kontestacji, ale czułem się społecznie zdegradowany. Jestem nieukiem, który ma kłopoty z wszystkimi przedmiotami, mam siedem dwójek na półrocze na osiem przedmiotów, perspektywy uzyskania matury są minimalne. Wobec tego, że z zasady się nie uczę, popadam w depresję, leżę na tapczanie w swoim pokoju i patrzę w sufit. Taka jest moja kondycja w Warszawie. Ale dzieje się coś niesamowitego, powstaje w mojej klasie zespół osób, które nie wiadomo dlaczego zmawiają się, żeby mi pomóc.

Z sympatii?

Tak, odczuwałem dużą serdeczność z ich strony. Łazili po nauczycielach i perswadowali, że trzeba mnie przeciągnąć, żeby dali mi spokój z matematyką, bo i tak nigdy nie będzie mi w życiu potrzebna. Z drugiej strony matka chodziła z pończochami i apaszkami z Włoch, żeby mnie przepchnąć.

Nadal miał pan pogardliwy stosunek do szkolnej wiedzy?

Oczywiście. Nie przypominam sobie najmniejszego zaciekawienia żadnym przedmiotem. Poza tym nie przypominam sobie przedmiotów, które by były tego warte. Wykorzystałem jednak profity wynikające z umiejętności poruszania się w sferze politycznej. Przed maturą było plenum KC PZPR, na którym zapadły decyzje o zmianie stosunku partii do Oświecenia. Wiedziałem więc, że na egzaminie na pewno będzie Oświecenie. I kiedy nikt z moich kolegów nawet nie miał pojęcia, że było jakieś plenum KC, ja brałem „Nowe Drogi”, wyczytywałem, jaki teraz jest obowiązujący kurs partii. I faktycznie, Oświecenie na maturze było, zrobiłem wykład z jedynie słusznej wykładni tego okresu. To oraz jeszcze kilka bezczelnych trików pozwoliło mi zdać maturę. Jest to ostatni szczebel edukacji, jaki zaliczyłem, bo i ze studiów dziennikarskich, i potem z prawa mnie wyrzucili za nieuctwo.

Mimo to zaraz po maturze został pan dziennikarzem.

Tak, mój przyjaciel Andrzej Berkowicz wciąga mnie do redakcji „Nowej Wsi”. Bardzo mi się tam podoba. Mam osiemnaście lat, jestem

znowu ważny, pan redaktor to już brzmi lepiej niż nikt. Zostaję kierownikiem działu, który wymyślam. A wymyślam po to, żeby się nie zanudzić. Bo początki mojego dziennikarstwa wyglądają żałośnie. W redakcji sadzają mnie przy długim stole i mam odpisywać na listy. Pióra, stalówki, atrament, chropowaty papier, skrobię odpowiedzi. Nawet niektóre listy pamiętam, bo ich absurdalność była zadziwiająca. „Droga redakcjo, straciłam dziewictwo, mając 70 lat i od tego czasu przez dziewięć lat jestem w ciąży. Co mam zrobić, bo od tego bolą mnie kości, brzuch…" i tak dalej.

Co pan odpisuje?

Wedle zdrowego rozsądku: idź, droga czytelniczko, do lekarza. Pamiętam też odpowiedź na ankietę gazety, kto jest twoim ulubionym bohaterem literackim: „Droga redakcjo, moim ulubionym bohaterem literackim jest wieloryb, ponieważ daje tran dla dzieci". Wytrzymałem tydzień, gorączkowo myślałem, co by tu zrobić, żeby na wieki nie zostać skrybą. Wpadłem na pomysł, że trzeba zrobić w gazecie stronę poświęconą Służbie Polsce, wkrótce powstał z tego cały dział, a ja zostałem jego szefem. Naczelną jest Irena Rybczyńska, mama Agnieszki Holland.

Lawrence Weschler, dziennikarz „New Yorkera", przytacza w swojej książce wspomnienie Rybczyńskiej o panu: „To był przystojny, trochę nieśmiały chłopiec. Przyszedł z opinią utalentowanego, nieco niesfornego żółtodzioba. Ale był zabawny, wesoły, egzotyczny. Lubiano go, ale potrafił być złośliwy, boleśnie ranić, i po prostu nie wiedział, kiedy przestać".

Czy bardziej panią zaskakuje w tej opinii, że byłem przystojny, czy nieśmiały?

Zdecydowanie przystojny, bo pewną nieśmiałość w bezpośrednich kontaktach i ja w panu odnajduję.

Byłem młodzieńcem jeszcze bujnie owłosionym, dbającym o ubiór, mam nawet wrażenie, że Cybulski ode mnie zmałpował styl – czarny golf i skórzana kurtka. Jakoś nikt jeszcze nie drwi z moich uszu, mam ksywę „Brzuś". Wiodę na powrót życie wesołe. Zarabiam 600 złotych plus honoraria. Wystarczająco, jak na moje potrzeby, a są one wyłącznie

zabawowe. Papierosy, kawa, taksówki i wódka. Przesiadywanie w kawiarni, potem w modnych knajpach. W redakcji „Nowej Wsi”, mieszczącej się na Wiejskiej 17, był zwyczaj, że o dziesiątej rano szliśmy do baru Jontek. Tam królowały dwie charakterystyczne postacie. Władysław Broniewski, który codziennie odbywał wędrówkę ze swojego domu na Mokotowie do Jontka, i pewna stara dama, którą nazywaliśmy hrabiną. Wchodziła, trzęsły jej się ręce w koronkowych mitenkach, podawano jej setę, wypijała, kładła na barze odliczoną kwotę i wychodziła jak zjawa. Natomiast Broniewski był szalenie rozmowny i bełkotał już od rana. Przestrzegał nas, żeby nie zakąszać, bo jak się zakąsza, to się marnuje alkohol. Jedliśmy tam na śniadanie świńskie ryje, ucha, takie to były specjały. Po tyradzie o szkodliwości zakąszania, Broniewski kazał nam czytać swoje wiersze, obiecywał, że następnym razem nam je przyniesie. Nie przynosił, ale i tak czytaliśmy, bo to był poeta bardzo wzięty. I tak codziennie w kółko to samo. Jak szliśmy do pracy, on zostawał w barze. Wychodziliśmy przeważnie pod przewodnictwem pana, który się nazywał Susid. Był sekretarzem redakcji „Nowej Wsi”, w czasie wojny oficerem radzieckim. Żyd i nieco zruszczony Polak. Miał wspaniałe, barwne opowieści o piciu. Poszedł do Armii Czerwonej, został adiutantem dowódcy pułku. Zapytał, jakie są jego obowiązki. Dowiedział się, że ma wziąć szmatę, zapakować w nią amerykańskie kostki do podgrzewania konserw nasączone spirytusem, polewać to wodą i wyżymać. I wyżymał ten spirytus. Jak zabrakło kostek, pędził wódkę z końskiego nawozu, śmierdziało jak nieszczęście, ale alkohol był. I była też cudna radziecka żołnierka. Dostawiał się do niej i on, i pułkownik. Wobec tego zdzielił pułkownika pełną butelką wódki w łeb. Za niemal zabicie swojego dowódcy postawili go przed sądem wojennym. Został skazany na trzy miesiące łagru na Syberii. Takiego wyroku nikt w Związku Radzieckim nie znał, ponieważ trzy miesiące trwała podróż. I tak też się stało. Zawieźli go i zaraz z powrotem przywieźli. Pułkownik wydobrzał, wybaczył, na koniec się wycałowali. Takimi anegdotami sypał Susid, który nas, osiemnastolatków, uczył, że nie należy przesadzać, ale dzień trzeba zaczynać od setki wódki i dobrej zakąski. Z czasem sam kupował już nie setkę, a ćwiartkę, koniecznie cytrynówki, bo ona miała jego zdaniem o jeden procent mocy więcej, kładł ją zimą na kaloryferze, przekonując nas, że dzięki temu nabierze jeszcze jeden procent mocy. Takie więc były moje pierwsze

znajomości w Warszawie. Potem rozszerzały się silnie o bardzo wielu pijaków.

Kto wówczas nadaje ton Warszawie?

Jak zawsze – literaci, filmowcy, dziennikarze. Zostaje otwarta Kameralna i od razu się formuje towarzystwo, które jest wpuszczane na zasadzie selekcji. Facet na bramce wybiera z tłumu osobę, którą wpuszcza. Kryteria są mieszane: pieniądze i bywalec. Trzeba więc koniecznie stać się bywalcem. Przy barze pełno literatów. Jerzy Andrzejewski, Bohdan Czeszko, później Marek Hłasko. Piją na umór, kobiet prawie nie ma, tylko męskie grono, jeśli jest jakaś kobieta, to wiadomo – prostytutka, zresztą je się rozpoznaje też po tym, że tylko one jedzą. Tam jest jedno danie, indyk. Obciachem byłoby to zamówić. Wódka i tylko wódka interesuje bywalców.

Następuje przewrót w moim życiu. Z młodego komunisty, który nie spał trzy noce przed pierwszym maja z powodu organizacyjnych kłopotów na głowie, staję się warszawskim snobem. Było mi głupio przed sobą. Wyszukiwałem usprawiedliwienia, że wracam z reporterskich wyjazdów, gdzieś tam w terenie się trochę ośmieszyłem, bałem się wejść do chałupy moich rozmówców, bo stała kura, więc trzeba iść do Kameralnej się oczyścić, otrząsnąć. Czułem dwoistość egzystencji – praca, czyli walka o lepszy byt młodzieży chłopskiej, a wieczorem zupełny kontrast, trajkotanie w knajpie. Pamiętam taką scenę, gdy wychodzę z Kameralnej, a jakiś stary aktor wyrywa mój płaszcz szatniarzowi, rzuca się na klęczki i podaje mi go. Żachnąłem się, że to przesada. On na to, że każdemu gówniarzowi podaje palto, bo nigdy nie wiadomo, co z niego wyrośnie.

O czym się trajkocze w knajpach?

Duszne męskie rozmowy, plotki o tym, kto z kim śpi, kto postąpił jak świnia.

A rozmowy o polityce?

Też.

Jak się rozmawia o polityce w latach stalinowskich? Szeptem?

Ależ nie, warszawce już się nudzi rewolucja społeczna i język partii. Nie przypominam sobie zasadniczych dylematów politycznych, poza zaznaczaniem dystansu, cynizmu.

Pogarda dla władzy?

Aż tak jeszcze nie. Zainteresowanie, co tam się w środku kotłuje. Plotki o walkach wewnętrznych, interpretowanie wydarzeń między wierszami, czyli jeśli Berman powiedział, że trzeba wzmóc krytykę w prasie, to znaczy, że trzeba się wystrzegać krytyki, bo będą leciały głowy za krytykę. Gada się o tym wszystkim z dystansem, ale też z pewnym przejęciem, bo to jednak realna władza i ważne jest, co oni mówią, co robią.

Wsadzają do więzień. To przecież wciąż czas stalinowskiego terroru. Różański, Krwawa Luna Bristigerowa – rozmawiacie o tym?

Nie. W tym towarzystwie to w ogóle nie wchodzi w grę. Nie znamy nikogo, kto byłby represjonowany. Nie te kręgi. Nie odczuwamy lęku. Mówimy na razie o wczesnych latach 50., sporo czasu upłynie, zanim stalinowski terror będzie powszechnym tematem rozmów.

Trudno mi w to uwierzyć.

Tak przypuszczam, bo ulega pani dzisiejszej optyce, że ówczesne represje stanowiły ogólnospołeczny problem. Owszem, stanowiły problem dla środowisk poakowskich, zbrojnego podziemia antykomunistycznego i dla chłopów, których przetrzymywano w więzieniach po dwa tygodnie, żeby oddali zboże. To nie miało takiego wymiaru jak czystki w ZSRR, które dotykały milionów ludzi, terror tam był powszechny, więc i strach był powszechny. Z kręgu naszych znajomych nikt nie gnije w stalinowskich więzieniach. Więc znowu, jak z Żydami w czasie wojny następuje mechanizm zobojętnienia – ICH wsadzają. A jeśli się mówi w moim gronie o represjach, to na zasadzie anegdoty, że kogoś wsadzono za nieprawomyślny tatuaż – nie pamiętam, czy to chodziło o napis, czy wizerunek. Sami próbowaliśmy drukować w „Nowej Wsi”, może nawet to poszło, historię chłopa, którego zamknęli, bo na jego polu stał poniemiecki czołg. Uruchomił go i wystrzelił z lufy, bo nacisnął nie tę dźwignię, co trzeba. Aresztowano go za posiadanie broni i użycie jej. Tak więc represje

aparatu stalinowskiego znaliśmy wówczas z absurdalnej strony. Kurtyna opadła dopiero później. Pamiętam, jak w 1956 roku, już jako dziennikarz „Po prostu” w Instytucie Fizyki czytałem studentom referat Chruszczowa. Jakaś dziewczyna wzburzona do granic tym, co usłyszała o stalinowskich metodach, krzyknęła: „To kłamstwo!”, i zemdlała. Uczelnia wystosowała protest do naczelnego „Po prostu”, że przyszedł jakiś dziennikarz i mówił o okropieństwach do nieprzygotowanej na to młodzieży.

Nie słucha pan Wolnej Europy, Głosu Ameryki?

Ja sporadycznie, ojciec regularnie. Jeszcze polskiej sekcji BBC i najbardziej radykalnie antykomunistycznego Radia Madryt, były to wszak czasy generała Franco. Tylko że ojciec jest tak przesiąknięty pookupacyjnym strachem, że z tej wiedzy nie robi żadnego użytku, nawet domowego, zapewne bojąc się, żeby mi coś głupiego nie strzeliło do głowy.

Nie ma wśród was donosicieli?

Zapewne byli, ale nie myśleliśmy o tym. To się pojawia w moim życiu trzy lata później, kiedy zaczynam być kapusiem UB. Widzę zdumienie w pani oczach, no sama pani widzi, jak bezwartościowe są zasoby IPN, nie znalazłem tam ani śladu tej historii. A było tak: w roku 1954 dostaję telefon, że jakaś pani z Ministerstwa Bezpieczeństwa chce się ze mną spotkać. Ochoczo lecę do kawiarni.

Dlaczego ochoczo?

Bo mam 21 lat i mi imponuje, że ktoś – jak myślałem – ważny, z ważnego ministerstwa chce ze mną rozmawiać. Ta kobieta tłumaczy, że chce pogadać o śledztwie w sprawie zabójstwa Stefana Martyki. To była wówczas głośna sprawa, Martyka, wicedyrektor Teatru Polskiego i lektor antyimperialistycznej, propagandowej audycji radiowej Fala 49, został zastrzelony w domu przez grupę zbrojną z podziemia. W sprawę wmieszana była korektorka ze „Sztandaru Młodych”. I jako że ministerstwo ma dalsze ślady, które sięgają prasy młodzieżowej, ta kobieta prosi mnie o pomoc. Spotykam się z nią kilka razy i w pewnym momencie orientuję się, że jej pytania dotyczą tylko dwóch moich kolegów z redakcji – Kazimierza Dziewanowskiego i Wiesława Nowakowskiego. Odpowiadam na nie, bo

wydają mi się niewinne z punktu widzenia śledztwa w sprawie zabójstwa – ot, choćby, co wiem o związkach Dziewanowskiego z ambasadą amerykańską. W głupocie swojej opowiadam, że był w kinie w ambasadzie. Nie wiem, do czego by doszło, gdybym nie zwierzał się z tych rozmów przyjacielowi Andrzejowi Berkowiczowi. On zwrócił mi uwagę, że jej pytania stają się coraz bardziej odległe od morderstwa. Otrzeźwiałem – faktycznie to podejrzane. A na dodatek ona popełniła błąd psychologiczny. Jakoś się dowiedziała, że w prasie młodzieżowej powstaje lista zapisów na wycieczkę do Bułgarii i poprosiła, żebym jej pomógł dostać się na nią. Wtedy czar prysł – kurczę, pomyślałem, ty taka ważna ministerialna śledcza od morderstw chcesz się dostać na listę sekretarek i maszynistek? Coś jest nie tak. Poszedłem do Ireny Rybczyńskiej i opowiedziałem jej całą tę historię. Dziewanowskiemu zrelacjonowałem, co na niego doniosłem. To do tamtych z ministerstwa widocznie doszło, bo więcej baba się nie pojawiła. Kiedy już współcześnie się nad tym zastanawiałem, doszedłem do wniosku, że sprawa nie jest taka prosta, ponieważ koledzy też donosili na mnie. I być może to było krzyżowe sprawdzanie donosów. Kaziu Dziewanowski, w tamtym okresie mój najserdeczniejszy przyjaciel, miał uwikłania jeszcze z wcześniejszego okresu, związane ze środowiskiem arystokratycznym, z którego się wywodził. Szczegółów nie znam, bo zostały pilnie zakopane.

Gdzie się podziewa wówczas pana zaangażowanie polityczne na miarę młodego działacza ZMP w Łodzi?

Budzi się na nowo w „Po prostu”, gdzie zaczynam pracę jako kierownik działu politycznego. Szumnie to brzmiało, w istocie najmniej stosownie, bo przez polityczny rozumiano informowanie o międzynarodowym ruchu studenckim. Oczywiście socjalistycznym.

Obejrzałam tę legendarną gazetę. Przez kilka pierwszych lat było to pismo drętwe jak wszystkie wówczas, tępą indoktrynację komunistyczną uprawiają Bratny, Czeszko, Konwicki, Różewicz, Woroszylski w swych najbardziej „pryszczatych” wcieleniach. Szaleje pochwała socrealizmu i prymitywna agitacja.

Owszem, i nikt tego nie czytał. Ferment zaczął się dopiero w 1954 roku po zmianie szefa na Eligiusza Lasotę, a w rok później radykalnie zmieniliśmy charakter pisma.

„Po prostu”. *To nie była tylko gazeta. Stworzyliśmy środowisko, ruch, instytucję. Od rana toczyliśmy w redakcji dyskusje polityczne, piliśmy wódkę, pisaliśmy po nocach. Romantyzm, zawrót głowy, poczucie wielkiego poparcia społecznego, aplauzu. Na zdjęciu poniżej redaktor naczelny Ryszard Turski i wicenaczelna Anna Bratkowska w redakcji.*

I stało się wręcz ostentacyjnie inteligenckie w kraju rządzącego proletariatu. Na łamach pojawiają się Marek Hłasko, Paweł Jasienica, Leszek Kołakowski, Zygmunt Bauman, Stanisław Dygat, Kazimierz Brandys, Jerzy Szacki, Maria i Stanisław Ossowscy, Tadeusz Kotarbiński. Agnieszka Osiecka pisze „Listy z Polski", Andrzej Dobosz kreśli sylwetki pisarzy tworzących kanon światowej literatury, zamieszczacie zupełnie niesocrealistyczne grafiki Mai Berezowskiej, drukujecie „Złego" Tyrmanda w odcinkach, literaturę amerykańską, Kafkę, Witkacego skazanego w socrealizmie na zapomnienie. Pismo zmienia szatę graficzną, kolor – z czerwonego na zielony. Na ostatniej stronie pojawiają się felietony, zjadliwe recenzje, fotki ładnych studentek. Wszystko pisane żwawym językiem, kompletnie innym na tle nowomowy pozostałych gazet, które wciąż jeszcze tkwią w stalinowskich rygorach. Powiew nowoczesności.

Idźmy po kolei, bo „Po prostu" to nie tylko gazeta, to pewne zjawisko społeczne i polityczne, które miało swoją dynamikę. Najpierw zaczęliśmy drukować teksty o zwykłym życiu studenckim, o brudnych stołówkach, gruźlicy, która była zmorą niedożywionych młodych ludzi, co było skrzętnie skrywane przez władze. Stawaliśmy w obronie studentów przeciw pseudomoralnemu rygoryzmowi władz uczelni, pisaliśmy o kłopotach absolwentów ze znalezieniem pracy. Ot, codzienne problemy, bez propagandowego nadęcia. Tylko że wszystkie te tematy stanowiły wówczas tabu. Chwyciło, pismo stawało się coraz bardziej buntownicze, przez to coraz bardziej poczytne.

Zmieniliście podtytuł z organu ZMP na „Pismo studentów i młodych inteligentów".

I faktycznie, staliśmy się głosem młodej inteligencji, wkrótce jej polityczną awangardą.

A co pan chciał osiągnąć politycznie?

Myśleliśmy wtedy o wielopartyjności, ale w obrębie prosocjalistycznych ugrupowań. O ograniczonym pluralizmie i odpowiadających temu wyborach.

Znalazłam sporo tekstów, w których i pan, i koledzy nawołujecie do tego, żeby fabrykami zarządzały samorządy robotnicze, uczelniami – samorządy studenckie.

Tak sobie wyobrażaliśmy demokrację, marzyła nam się jeszcze decentralizacja, czyli samodzielność powiatów, i inne tego typu utopie w tamtych warunkach politycznych. Opisywaliśmy wady systemu, oczywiście nie kontestowaliśmy go w całości, bo przecież wtedy nikomu to do głowy nie przychodziło.

Ale fenomen „Po prostu" nie polega tylko na tym, że była to lepsza od innych gazeta. Myśmy stworzyli środowisko, ruch, instytucję. Obradujemy do późna, od rana toczymy dyskusje polityczne, urzędujemy w jednym pokoju, czy to na Wiejskiej, gdzie najpierw mieści się redakcja, czy w Pałacu Kultury, dokąd się potem przenosimy, pijemy wódkę, piszemy po nocach. Romantyzm, zawrót głowy, poczucie wielkiej kariery, wielkiego poparcia społecznego, aplauzu. Jak się pojawiałem gdzieś w Polsce na spotkaniach, mnie, dwudziestoparolatka, witała burza oklasków. Ciągle się coś dzieje, są jakieś napięcia i zdarzenia, których kulminacja następuje po Październiku. Powstają kluby filmowe, które gromadzą setki ludzi. Gdy wyświetlaliśmy „Obywatela Kane'a" i zabrakło biletów, rozwścieczony tłum zaczął szturmować redakcję, musieliśmy wezwać na pomoc milicję.

Jak w tym wszystkim funkcjonują Kołakowski, Tyrmand, Hłasko?

Marek jest nawet szefem działu kultury i ma szukać młodych talentów, przyciągać je. Nie robi tego, bo od rana jest pijany. W końcu go wyrzuciliśmy. Irytowało nas, że ciągle zawala, natychmiast przepija pensję, snuje się po redakcji, pożycza forsę, nie oddaje. Pretekstem stało się pewne wydarzenie. Otóż kiedyś przed redakcją na Wiejskiej jakieś dziecko przez przypadek uderzyło go w nogi saneczkami. Hłasko dostał delirycznego szału, skopał saneczki, połamał je nogami. Jakoś nas to strasznie oburzyło i wyleciał.

Kołakowski w redakcji nie przesiadywał, tylko przynosił teksty. Wówczas był pewnym autorytetem, ale jeszcze nie żadną wielkością. Znałem go wcześniej z Łodzi, tak jak i jego żonę Tamarę z domu Dynenson. Moi rodzice byli zaprzyjaźnieni z jej matką. Poznałem więc Kołakowskiego jako zięcia pani doktorowej Dynenson, a jako że pani

Dynenson miała drobnomieszczańskie pretensje do świata, zięć był trochę kompromitujący. Po pierwsze, należał do komunistycznego Związku Walki Młodych. Po drugie – filozof, więc żaden zawód. Po trzecie, chodził o dwóch kulach i mówiło się, że ma gruźlicę kości. Na to nie było wtedy lekarstwa, zawsze się dziwiłem, że później był coraz zdrowszy i zdrowszy.

To był uroczy, wesoły człowiek. Kiedyś spędzaliśmy urlop w Zakopanem w domu Zaiksu. Wynajmowaliśmy sanie do spółki i jeździliśmy na wycieczki, bo obaj nie lubiliśmy chodzić. Z tego pobytu zapamiętałem dwa epizody. Zjawił się stary profesor, historyk literatury Konrad Górski. Kołakowski podjął z nim próbę swobodnej rozmowy po łacinie na tematy bieżące, towarzyskie, po prostu tematy kawiarniane. Zaśmiewali się przy tym, tłumacząc otoczeniu, że co chwilę nie ma terminu łacińskiego i muszą się dogadywać przez omawianie. To był imponujący popis. Innego wieczoru siedzieliśmy z Kołakowskimi przy kolacji, on opowiadał dowcipy, robił to często i świetnie. Nie mam pamięci do dowcipów, więc idąc do toalety, stanąłem za filarem i zacząłem je notować. Wówczas do Kołakowskiego podszedł kelner i powiedział: „Ostrożnie, bo ten typ, co z panem siedzi, wszystko zapisuje”.

W pewnym momencie na pierwszej stronie publikujecie apel do młodej inteligencji – lekarzy, inżynierów, nauczycieli, ekonomistów – by tworzyła w całej Polsce kluby pod waszymi auspicjami.

Odzew jest niesamowity – wkrótce powstaje ich ponad sto. Do redakcji przyjeżdżają przyjaciele i współpracownicy z całego kraju. Prowadzimy z nimi dyskusje polityczne i z tych dyskusji wynikają cykle publicystyczne. Wszystko było dynamiczne, spory, awantury, rywalizacje. Wybieraliśmy naczelnego, wówczas niewyobrażalne, bo naczelny w innych gazetach był z partyjnego nadania. Jednym słowem staliśmy się ośrodkiem politycznym. I to coraz silniejszym. Żeby to zobrazować, sięgnę do przykładu. W pewnym momencie pada gdzieś z terenu propozycja, żebyśmy zrobili seminarium dla wymiany doświadczeń klubów młodej inteligencji z całej Polski. Pomysł się nam spodobał, w KC za to wzbudził duże zdenerwowanie. Powierzają organizację pismu „Walka Młodych”, nad którym mają pełną kontrolę. My się upieramy, w końcu robimy to razem. Spływają zgłoszenia klubów i raptem widzimy, że do Warszawy jedzie

kilka tysięcy ludzi. Wtedy poczuliśmy naszą siłę, ale i przestrach, bo organizacyjnie była to przerażająca rzecz. Wynajmujemy Salę Kongresową, pamiętam, za 12 tysięcy złotych, ktoś załatwia z wojskiem, że oddają nam dla delegatów hotele robotnicze i internaty stanowiące rezerwę na wypadek mobilizacji. Jednym słowem *ad hoc* organizujemy wielki kongres. Zanim kongres się zebrał, dowiadujemy się, że odbędzie się wielki atak na „Po prostu". Atak przypuści łódzki Związek Młodzieży Demokratycznej, organizacja antysocjalistyczna. I przypuści go delegacja krakowska, której nie podoba się nasza zdrada marksistowskich ideałów. I lewacy propartyjni z „Walki Młodych" za urwanie się ze sznurka KC. No więc w nocy Ryszard Turski i ja bez uprzedzenia jedziemy do siedziby krakowskiej delegacji. Śpią w internacie na piętrowych łóżkach. Budzimy ich i zaspanym, ogłupiałym całą tą sytuacją każemy wyrażać prosto w oczy pretensje do „Po prostu". Na czele ich delegacji stoi watażka, felczer czy pielęgniarz, pyskacz typu młody Wałęsa. Coś bełkocze nieskładnie, przerażony. Pamiętam, że stał przy nim inteligencik w okularkach, szepcze mu coś do ucha, facet się uspokaja. Tym inteligencikiem, który był politrukiem delegacji krakowskiej, okazał się słynny potem reżyser Jerzy Grotowski. Następnego dnia odbywa się kongres, przewodniczy Jan Olszewski, przyszły premier, wówczas młody prawnik, biegły w procedurach. Następują jakieś przepychanki na mównicy, ktoś wchodzi, coś tam wygłasza. Wchodzę i ja, ogłaszam, że właśnie powstał Rewolucyjny Związek Młodzieży. Roman Zimand na gorąco improwizuje deklarację ideową tego związku, mocno antystalinowską. W loży siedzi sekretarz KC Morawski, który nie wie, jak się do tego wszystkiego ustosunkować. Przemawia minister oświaty Władysław Bieńkowski, równie ogłupiały. Pięknie mówi o niczym, jaka młodzież jest wspaniała. Potem wyłaniane są władze powołanego *ad hoc* Rewolucyjnego Związku, za chwilę władze idą na Smolną i zajmują budynek ZMP. Kończy się groteską – pobili się o dywany, których ci z ZMP za nic nie chcieli oddać. I tak po kilku dniach mój Rewolucyjny Związek przestaje istnieć, przegrywając z ZMP wojnę o dywany. Ale samo ZMP się rozwiązuje.

Opowiadam to pani dla namalowania wyjątkowej atmosfery. To wszystko narastało. Najpierw jesteśmy skromną redakcją, potem zaczynają do nas przychodzić wysłannicy Gomułki, który jest jeszcze prywatną osobą, dopiero co zwolniony z więzienia, mieszka gdzieś na Pradze. Szykuje się

do przejęcia władzy, ma różne przemyślenia i pułkowników z AL, których wysyła do nas z jakimiś kombatanckimi tematami. Pojawia się wysłannik paryskiej „Kultury”, zaprasza do Maisons-Laffitte. Przyjeżdża ktoś od Rowmunda Piłsudskiego, który ma swoje stronnictwo w Londynie i chce współpracy z krajem za naszym pośrednictwem. Zapraszają nas na rozmowy do Wolnej Europy w Monachium. Przychodzą sekretarze KC, którzy nas mitygują, żebyśmy im nie szkodzili. Okazuje się, że napisaliśmy o marnotrawstwie w handlu zagranicznym w taki sposób, że wysypaliśmy cały kanał finansowania przez PZPR różnych komunistycznych partii na Zachodzie. To było wbrew naszej intencji, tylko nie mieliśmy o tym pojęcia. Awantura na dużą skalę.

Czemu was już wtedy nie rozgonili?

Bo władza wówczas jest w rozsypce, są różne zwalczające się grupy, wiadomo, że będzie jakiś przełom, tylko nikt jeszcze nie wie, w którą stronę to pójdzie. Mówimy przecież o czasach sprzed referatu Chruszczowa, a w każdym razie przed Październikiem ’56.

Jaką rolę odgrywa pan wtedy w „Po prostu”?

Jestem szefem działu krajowego, przeze mnie przechodzą wszystkie teksty oprócz kultury i gospodarki. Współkształtuję pismo i politycznie, i dziennikarsko. Ta rola jest istotna, bo w redakcji jest sporo asystentów z filozofii i socjologii, którzy dotychczas nie mieli związku z dziennikarstwem. Na początku jeszcze pisałem, potem już sporadycznie, bo nie miałem za bardzo czasu.

Najpierw pisuje pan sporo – reportaże interwencyjne z terenu, w których obnaża pan prowincjonalne układy partyjne, szydzi pan z absurdów w zarządzaniu fabrykami, walczy z religijnym kołtuństwem na wsi i niemoralnym prowadzeniem się studentów w akademikach.

A tego to nie pamiętam.

Tak, tak, potępia pan orgie, tłumacząc z wigorem, że tak zachowują się studenci na amerykańskich kampusach, bo w ten sposób szukają

szczęścia, którego znaleźć nie mogą, wszak nie mają socjalizmu…

Mam tu w domu wszystkie roczniki „Po prostu”, ale nigdy nie chciało mi się do nich zajrzeć. I może dobrze.

Władysław Gomułka. *Był moim prześladowcą, dwukrotnie wydał na mnie wyrok – zakaz pisania. Ale uważam, że tylko dzięki Gomułce był możliwy przewrót w ’56 roku. To był największy skuteczny przewrót w sferze wpływów radzieckich z punktu widzenia stosunków wewnętrznych. Dziś jest to niedoceniane ze względu na politykę historyczną, ponieważ to nie był przewrót, w którym uczestniczyła*

prawica i Kościół. To był przewrót robiony przez zwolenników socjalizmu.

Znalazłam też pana słynny reportaż uczestniczący. Założył pan w Krakowie fikcyjne biuro matrymonialne. Do Hotelu Francuskiego przychodziły kobiety i opowiadały panu o swoich oczekiwaniach wobec męża. Miał być dobry, niekoniecznie bogaty, fajnie, jakby trafił się Amerykanin, broń Boże Izraelita.

Tak, to była pierwsza wcieleniówka w polskiej prasie, później specem w tym gatunku stał się Janusz Rolicki. Ten tekst prześladował mnie przez lata, chociaż dochowałem wszelkiej staranności, by te kobiety nie mogły być przez nikogo zidentyfikowane. Jednak wywołał zaskakujące oburzenie w kręgach władzy, wyzwolił jakieś kolosalne pokłady socjalistycznej pseudomoralności. Jeszcze kilkanaście lat później, gdy starałem się odkręcić zakaz pracy, jaki wydał na mnie Gomułka, usłyszałem w KC od Stefana Olszowskiego, że jestem szmatławym dziennikarzem właśnie za tę wcieleniówkę. Ale miałem też małą satysfakcję – mój reportaż przedrukował paryski miesięcznik Sartre'a „Les Temps modernes".

Na kilka miesięcy przed Październikiem zamieszczacie artykuł „Na spotkanie ludziom z AK" nawołujący do rehabilitacji żołnierzy Armii Krajowej. Legenda mówi, że za ten numer na czarnym rynku trzeba było zapłacić 500 zł. Tekst przełomowy, a i zestaw nazwisk autorów ciekawy z punktu widzenia późniejszej historii – Jan Olszewski, Walery Namiotkiewicz, potem sekretarz Gomułki, Jerzy Ambroziewicz. Tekstów Olszewskiego jest zresztą sporo. Przyjaźnicie się wówczas?

Nie, to nie jest historia typu: kochali się długo i szczęśliwie, póki Jaruzelski ich nie rozłączył. Znamy się wówczas dobrze, ale nie przyjaźnimy. On był wtedy bardzo hermetyczny. Wiem, że jego późniejsi znajomi malują go jako uroczego gawędziarza, człowieka interesującego, wnikliwego, ale ja żadnych tego śladów wtedy nie zauważyłem. Nie fraternizował się z nami. Olszewski był tajemniczą osobą. Odseparowany towarzysko, politycznie, nie wiadomo, skąd się wziął, nie wiadomo, z kim się zadaje. Nawet przez jakiś czas podejrzewaliśmy, niesłusznie, jak się okazało, że jest uchem. Politycznie był progomułkowskim zapaleńcem nawet wtedy, gdy ja już należałem do przeciwgomułkowskiej opozycji w redakcji.

Porozmawiajmy zatem o Gomułce. Dochodzi do władzy i…

Objawienie, wielkie emocje, oczekiwania. Wydawało nam się, że idziemy z Gomułką przeciwko modelowi radzieckiemu.

Żadnego kłopotu, choćby estetycznego?

Na początku nie, dopiero później stawał się obrzydliwy. Październik to była fala wznosząca, której się każdy poddawał. Potem zaczęły się jego ruchy wstecz i nasze rozczarowania. Ale na razie nie odbierałem go w kategoriach estetycznych, tylko jako twórcę sensownych decyzji politycznych, chociaż już wcześniej nie byłem zwolennikiem kontaktowania się z Gomułką. Tak zresztą jak z paryską „Kulturą" czy Wolną Europą. Tłumaczyłem, że z tego gabinetowego ględzenia nic nie wynika, najwyżej poszerzenie politycznych wyobrażeń. Nasza siła polega na tym, żeby wydawać gazetę, mieć czytelników, jednym słowem posiadać własne zaplecze. Z tego, że ktoś porozmawia z Giedroyciem, Nowakiem-Jeziorańskim nic nie wynika, to nie są istotne spotkania, a dają partii argumenty przeciw „Po prostu".

Październikowy kurs skończył się bardzo szybko, a my przestaliśmy być tym dla Gomułki, czym teraz „Gazeta Polska" jest dla Kaczyńskiego. Następuje zasadniczy rozłam w redakcji na narodowców, którzy chcą uznać Gomułkę i poprzeć to, co on zrobił, uspokoić się i zachować pismo. Nie można w tej chwili wyszarpać więcej – przekonują. Olszewski należał do tych progomułkowskich gotowców. Uważał, że trzeba się dostosować i przeczekać, że Gomułka więcej nie mógł. I że najważniejsze są kwestie narodowe, przeciwstawienie się Związkowi Radzieckiemu i rozszerzanie suwerenności Polski, a kwestie demokracji, ustroju wewnętrznego są wtórne. Byłem w drugiej grupie. Uważałem, że nie należy popuszczać, już wtedy nie miałem zamiłowania do czynnika narodowego. Widziałem wyraźnie, że Gomułka bardzo szybko likwiduje demokrację i trzeba ją ratować, przeciwstawiając się mu. I tak się to kotłuje.

Aż Gomułka zamyka „Po prostu", młodzi ludzie w proteście wychodzą na ulice. Zaledwie rok po Październiku i rozbudzonych nadziejach.

Najpierw konfiskują nam numer przygotowany na inaugurację sezonu po wakacjach, pełen nieprzejednanych tekstów w moim duchu,

potem usiłują wymóc zmianę linii pisma. Zamknęliśmy się w mieszkaniu u naczelnego i odbyliśmy dyskusję, czy pozwolić dać się zamknąć i odejść z honorem, czy powoli upodabniać się do innych pism, które mogą być tolerowane. Były dwie szkoły na ten temat.

Pan był w której?

Dać się zamknąć i lec z honorem. I na tym stanęło. Wtedy się ukazał komunikat, że uchwałą Sekretariatu KC „Po prostu” zostaje zamknięte. Śmiesznostka polegała na tym, że naszą dyskusję nagrywaliśmy na magnetofon szpulowy. Kiedy przekazywaliśmy dobra redakcji wydawcy, czyli RSW Prasie, z głupoty oddaliśmy magnetofon razem z tym nagraniem. Całe KC tego słuchało.

W ówczesnej „Trybunie Ludu” tak napisano o zamknięciu „Po prostu”: „Sekretariat KC PZPR stwierdza, że zespół »Po prostu« zszedł na pozycje fałszywych negacji, przedstawiał w fałszywym świetle polityczną i gospodarczą rzeczywistość kraju, szerzył niewiarę w realność budownictwa socjalizmu i w wielu sprawach głosił koncepcje burżuazyjne”. Te koncepcje musiały się podobać, skoro młodzi ludzie wyszli na ulicę, protestując przeciwko zamknięciu pisma. Cztery dni zadymy, pałowanie, 500 aresztowanych osób, jedna ofiara śmiertelna. Nigdy wcześniej ani później zamknięcie gazety nie wywołało takich zamieszek. Co pan wtedy czuł?

Adrenalinę. Rozruchy zaczęły się przed politechniką, sztab rozwiązanej redakcji siedział w pobliżu, w mieszkaniu moich rodziców na Emilii Plater, róg Hożej. Tamtędy też przejeżdżała milicja, rozpylali gazy, pałowali każdego, kto się nawinął. Wyszliśmy z naczelnym Eligiuszem Lasotą, pojechaliśmy fiacikiem dookoła ulic, gdzie się młodzież biła z milicją. Pamiętam taką scenę: milicja pędzi w naszą stronę tłum studentów. Na czele leciał jakiś dryblas ze zdobycznym hełmem i jak zobaczył Lasotę, który był znany w środowisku, podał mu ten hełm jako łup. Podjechaliśmy do punktu dowodzenia milicji, w sztabowym samochodzie siedział sam komendant główny, Lasota podszedł i oddał mu hełm jako zdobycz wojenną. Takie to były gry i zabawy młodych ludzi, mających przewrócone we łbie.

Staje się pan „poprościakiem”, jak was z pogardą określa Gomułka, i ma zakaz pracy w dziennikarstwie.

Nieformalny, bo nigdzie niezapisany, ale jak najbardziej realny. Nikt mnie nie chciał przyjąć do żadnej redakcji, tłumacząc, że bardzo by chcieli, ale nie wolno. Nawet jak powstawał jakiś miesięcznik familijny, to już wcześniej redaktor miał telefon, że mnie nie wolno przyjąć.

Kto dzwonił?

Instytucją, która dzwoniła jawnie, było Biuro Prasy KC i jego szef Artur Starewicz. Poprzysięgłem sobie, że jak go wyrzucą, to zrobię bankiet na sto osób w stowarzyszeniu dziennikarzy. Ale nie uchwyciłem momentu, kiedy on znikł. Tropili mnie wszędzie. Dostałem ryczałt w reklamie radiowej. To było bardzo dochodowe zajęcie. Redagowałem jakieś informacje typu: „Centrala tekstylna dysponuje krempliną A8, popeliną…” i tak dalej. Zupełna fikcja reklamowa, ale mieli fundusze i musieli je wydać. Po krótkim czasie i stamtąd kazali mnie wyrzucić, choć to była praca w reklamie, a nie dziennikarstwie.

Co zaszło między panem a Gomułką, że tak się stało?

Główną rolę odegrał tekst „Dziady narodowe” w skonfiskowanym numerze „Po prostu”. To był tekst o tym, że Gomułka urządza narodowe jasełka, celebracje, żeby pod ich płaszczykiem zniszczyć te elementy demokracji, jakie powstały. Napisałem go z szyderczą pogardą, cechującą mnie, jeśli chodzi o narodowe skłonności i obchody. I to go bardzo rozwścieczyło.

Dostał pan po łapach od władzy. Zabolało?

Nie to, że od władzy. Dotarło do mnie, że większość społeczeństwa uznała, że to, co proponuje Gomułka, jest w porządku, a my jesteśmy traktowani jako pożyteczny element minionego sezonu, kiedy chodziło o zmienianie władzy stalinowskiej na bardziej narodową i umiarkowaną, natomiast teraz nie wiadomo właściwie, czego chcemy. Żądamy demokracji, a nie wiadomo, co to znaczy. Zrozumiałem, że rozczarowanie Gomułką jest salonowym nastrojem warszawsko-krakowskim, że to są nastroje intelektualistów, którzy pragnęli wolności słowa, demokratyzacji

stosunków. Ja w przeciwieństwie do mojego środowiska miałem wrażenie, że to, co Gomułka zapewnił społeczeństwu, daje mu poparcie, i że tylko wąskie grupy chcą czegoś więcej. Przegraliśmy politycznie na całego i właśnie to zabolało.

Jak się wtedy panu żyło?

Wpierw skromnie, ale po krótkim czasie bogato. Pisałem w konspiracji, nie pod swoim nazwiskiem. W łódzkich „Odgłosach" ukazywał się co tydzień felieton, który nazwiskiem firmował naczelny tego pisma, czyli on miał sławę, a ja pieniądze. Pisałem też dla niego książkę jako murzyn. Różne fuchy robiłem, ale systematycznie pisałem teksty. Ten czas przyniósł dla mojego życia znakomite efekty. Sześć lat z zakazem pracy i pisania pod własnym nazwiskiem, w dwóch ratach, bo i z „Polityki" Gomułka mnie potem wywalił, dało mi poczucie samodzielności, wiedziałem, że zawsze sobie poradzę. Nie lękałem się żadnych zwierzchników, okoliczności. To czas, kiedy jestem od władzy kompletnie niezależny, a pomimo to prosperuję materialnie. Kołuję władze. Rzecz niespotykana, gdyż niełaska prowadziła wtedy do biedy.

Dwadzieścia lat później użyje pan słowa „gorączka", określając w ten negatywny sposób zachowanie i stan ducha ludzi, których uwiodła „Solidarność", również pana kolegów dziennikarzy, którzy ją poparli. Gdy słucham pana opowieści, widzę dużo wyższą gorączkę u pana. Może więc trzeba było z większą tolerancją patrzeć na gorączkę solidarnościowych emocji, wychodząc z własnych doświadczeń?

Ależ właśnie dlatego, że przeszedłem tę chorobę, trwale się zaszczepiłem przeciwko wszelkim utopijnym, krzykliwym próbom naprawiania świata. Ma pani rację, „Po prostu" to był czas życia w jakimś amoku oderwanym od rzeczywistości, tylko że ja sam przed sobą zrobiłem rozrachunek i nie zamierzałem popełniać tego samego błędu.

Umiar

Po trzech latach publicznego niebytu zjawia się pan w „Polityce” i od tego momentu, aż do zaskakującego przejścia na stronę władzy w 1980 roku, staje się pan jednym z najbardziej znanych i cenionych dziennikarzy krytykujących tę władzę. Zdobywa pan ogromną popularność i sympatię, również za felietony w „Szpilkach” i „Kulisach”. Ale zacznijmy od początku. Fundamentem założycielskim „Polityki” było zniszczenie „Po prostu” i wszystkiego tego, czego się domagaliście, czyli poszerzenia demokracji. Nie miał pan poczucia, że idąc do „Polityki”, dokonuje pan zdrady?

Nie. Zanim wyjaśnię dlaczego, uporządkujmy fakty i moje emocje. Rzeczywiście, dopóki istniało „Po prostu” i równolegle powstała „Polityka”, czyli w połowie ’57 roku, traktowaliśmy się wrogo. Nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków towarzyskich, chociaż sąsiadowaliśmy w Pałacu Kultury, gdzie mieściły się obie redakcje. Pamiętam, że kiedyś chcieli pożyczyć od nas szklanki, zebrało się nasze kolegium i uznało, że nie będziemy pożyczać.

Tam wtedy w redakcji siedzi dziewięciu członków KC, stare repy, których my nie znamy wcale. Żółkiewski, Granasowa, Werblan. Piszą słuszne teksty, cyzelujące partyjną linię, a jest to czas pełnego odwrotu od Października. Bardziej to przypomina wykładnię linii partii niż gazetę. Ja przychodzę w momencie, kiedy ich już nie ma. Naczelnym jest Rakowski, Radgowski zastępcą, Fikus sekretarzem redakcji. To już jest dziennikarska robota. Ale pamięć o wrogości oczywiście istnieje, więc przy pierwszym spotkaniu Rakowski zapytał, czy naprawdę jestem gotów pracować w „Polityce”, bo przecież „Po prostu” było tak wobec nich napastliwe. Odpowiedziałem, że owszem, ale niechęć była obustronna, a poza tym ja wiele przemyślałem i to, co w „Po prostu” uważałem za budowanie innego socjalizmu i wspaniałe pomysły ustrojowe, teraz wydaje mi się naiwnością. Wyrosłem z tych butów. Chyba nawet napisałem, z własnej woli oczywiście, tego typu liścik. Nie pamiętam. Pamiętam co innego. Są lata

osiemdziesiąte, Rakowski jest premierem, ja jestem członkiem jego rządu i piszę do niego list, że cofam to, co napisałem, czy powiedziałem w sprawie „Po prostu”. Dochodzę teraz do wniosku, że niesłusznie się odcinałem. Czyli odkręcam sytuację sprzed kilkudziesięciu lat, traktując to jako rodzaj żartu, ale też deklaracji politycznej, bo byliśmy akurat w takim ferworze dyskusji, że hej. Rakowski złapał się za głowę, wykrzykując dramatycznie, że zwariowałem i ma już dość pracy z samymi wariatami. Nie pamiętał oczywiście moich deklaracji sprzed dwudziestu lat.

Po tej dygresji wracam do ’61 roku, kiedy w klubie dziennikarzy podszedł do mnie Rakowski z pytaniem, czy bym nie zaczął współpracy z „Polityką”. Wcześniej wziąłem udział w zamkniętym konkursie łódzkich „Odgłosów” na reportaż, dawali wadium, co było nie bez znaczenia w mojej sytuacji bytowej. Opisałem dzieje jednej kamienicy przy Piotrkowskiej, w której skumulowała się historia Łodzi. Rakowski był w jury konkursu, spodobał się mu tekst i stąd propozycja współpracy. Byłem wtedy jak panna do wzięcia, miałem już dość błąkania się z wilczym biletem po różnych miejscach, urodziła mi się córka, żona pracowała za grosze na uniwersytecie jako asystentka Jana Kotta, jednym słowem potrzebowałem stabilizacji. Akurat dostałem propozycję pracy w „Nowej Kulturze”, więc powiedziałem Rakowskiemu, że mogę iść tam albo do niego, ale musi mi dać etat. Dał. Wkrótce po Jacku Maziarskim dziedziczę kierowanie działem krajowym, wchodzę do redakcyjnego kolegium. Ten dział potem liczył szesnaście osób, to jak na dzisiejsze czasy cała redakcja. Tam byli znakomici dziennikarze – Krallówna, Szejnert, Wróblewski, Podemski. Mój dział zapełniał znaczną część pisma.

Jaka to była wtedy redakcja?

Radykalnie inna niż „Po prostu”. Różnica polegała na tym, że „Po prostu” było grupą przyjaciół, którzy tworzyli zarazem centrum polityczno-organizacyjne. Każdy miał kontakt z województwami, z jakimiś instytucjami politycznymi w różnych miejscach Polski. Jedne organizacje nas popierały, inne się dystansowały, jeszcze inne zwalczały. Byliśmy dla KC partnerami, bo stanowiliśmy siłę i w pewnym momencie trzeba było ją zniszczyć, żeby zniszczyć to wszystko, co popierało październikowe hasła. A nasza siła była na tyle potężna, że zamknięcie pisma wyprowadziło na

ulice studentów i chuliganów. Jednym słowem „Po prostu” to była sekta, grupa o wysokiej temperaturze ideowej, o wysokim stopniu zespolenia i odgrodzenia od innych. W „Polityce” wszystko było bardziej rozumne, bardziej umiarkowane w swoich pasjach. Nie takie mesjanistyczne, nikt nie miał świętego przekonania, że wszystko wiemy i cały świat uzdrowimy. Jednym słowem umiar i elegancja myślowa. To mi bardziej odpowiadało. Zawarłem tam przyjaźnie i przejąłem poglądy, których najważniejsza część była taka, że w Polsce należy coś zmieniać, ale drobnymi, reformatorskimi krokami, zmieniać od wewnątrz establishment, inteligencję, że trzeba tworzyć bazę myślową dla tych zmian i właśnie my tę bazę tworzymy. Naszą ambicją było mieć wpływ na inteligentniejszą część władzy, na technokratów, dyrektorów fabryk, inżynierów, mówiąc w uproszczeniu na nomenklaturę zawodową.

Redakcja „Polityki”. *Dla reszty prasy uchodziliśmy za ludzi godnych zazdrości, bo stosunkowo najbardziej wolnych w swoich poczynaniach zawodowych. Uznawano nas za najlepsze pismo w całym obozie, mające kontakty światowe, bardzo prestiżowe i dające znakomity status społeczny i zawodowy. Nazywano nas „bandą Rakowskiego”. Byliśmy silni, zwarci i gotowi, przeciw wszystkim na zewnątrz. Na zdjęciu siedzą od lewej: Adam Krzemiński, Tadeusz Drewnowski, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Mieczysław Rakowski, Daniel Passent, Henryk Zdanowski, ja, Jerzy Kleer.*

W pamięci mojego pokolenia i środowiska został obraz „Polityki” z lat 80., kiedy była pismem kolaborującym z ekipą Jaruzelskiego i to w momencie, kiedy odwaga już mocno staniała. Sięgnęłam po stare zszywki z lat 60. i 70. Jak się odrzuci oczywiste serwituty polityczne, pismo robi wrażenie. Przede wszystkim tym, że znaleźliście swój język do krytycznego opisu PRL-u. Stefan Kisielewski w swoich „Dziennikach” pisze, że czytając „Politykę”, można zobaczyć, że w PRL-u nie dzieje się dobrze. Redagujecie pismo z rozmachem niespotykanym w peerelowskiej prasie. Świetne reportaże, również ze świata, przedruki z zagranicznych gazet, znakomite wywiady z ludźmi kultury. Mnóstwo redakcyjnych akcji, jak choćby „Obywatelu, nie jąkaj się”, czyli ucz się języków obcych. Dyskusje z udziałem czytelników – czy na temat Beatlesów, kiedy nikt jeszcze o nich nie pisze, czy pana cykl o kondycji pracowników na wyższych uczelniach z mocną krytyką awansów według partyjnego i towarzyskiego klucza, na co nikt inny się nie odważał. Dlaczego „Polityka” mogła więcej niż inne gazety?

Tu się szczęśliwie spotkały dwie rzeczy. Zespół ludzi, którym się chciało myśleć i pisać. Ludzi o temperamentach politycznych, o społecznym słuchu. Dziś już określenie „dziennikarz niepokorny” jest ośmieszone przez prawicowych publicystów, ale na tamte czasy myśmy realnie byli niepokorni. Oczywiście bezpiecznikiem był Rakowski. Stał jakby na dwóch nogach środowiskowych, towarzyskich w Warszawie. Jedna to jego koneksje polityczne. Był młodym pupilkiem starych ciot partyjnych typu Romana Granas, został w końcu członkiem KC. Z drugiej strony, przez małżeństwo z Wandą Wiłkomirską, a potem Elżbietą Kępińską, wszedł w środowisko artystyczne, inteligenckie i był tam lubiany. Jedno i drugie mu imponowało. Chociaż rodziło też niepokój egzystencjalny i w istocie jego szamotanina przez całe życie aż do premierostwa polegała na tym, że chciał do pewnego stopnia raz być władzą, raz opozycją, z pewną zmiennością tych chęci. Ta dwoistość środowiskowa okazała się jednak zbawienna i parę razy pomogła jemu, a przy okazji nam, wywinąć się z poważnych kłopotów. Władza bała się, że odwołanie Rakowskiego ze stanowiska naczelnego wywołałoby huk

w kręgach inteligenckich, w których „Polityka” miała bardzo mocną pozycję i duży wpływ na świadomość. Tego starali się unikać jak ognia, każda władza w jakimś stopniu mizdrzy się do inteligencji i stara się zdobyć jej przychylność, z różnym skutkiem, ale przynajmniej o to zabiega.

Czysto polityczne wstępniaki pisze w zasadzie tylko on. Nie ma do was zaufania?

To nie tak. Brał to na siebie z różnych względów. Również i takich, żeby dać sygnał partii, że co prawda zespół jest rozhulany, ale on, członek KC, ma ogląd trafny i bliski przynajmniej części władzy. Ale też sam miał ambicje, żeby wytyczać pewne kierunki. Albo uważał, że trzeba odezwać się w jakiejś sprawie, na przykład polityki wobec Niemiec Zachodnich, co było jego konikiem. Innym razem był to serwitut związany z tym, że idzie jakiś zjazd czy plenum i pismo nie może milczeć w tak doniosłej sprawie. Czasem pisał naprawdę przełomowe teksty, na przykład „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny” albo „Szanować partnera” w stosunku do „Solidarności”. Te teksty ustawiały go wobec rzeczywistości. On uprawiał politykę w „Polityce” i nigdy nie ukrywał, że zamierza robić karierę polityczną, chociaż zapewniał niejednokrotnie, że nie chce odejść z „Polityki”, że jest z nami związany. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że mierzy wyżej. Gdyby odszedł, stracilibyśmy coś w rodzaju parasola ochronnego, bo nikt z nas nie był umocowany politycznie, nie miał żadnej pozycji w KC ani tam nie bywał.

A on częściej bywał w KC czy w redakcji?

Pracowitość nie należała do jego cnót. Jak było ładne lato, siedział cały czas w swoim domu na Mazurach. Miał duże zaufanie do swoich zastępców, Radgowskiego czy potem Bijaka. Drugie zajęcie Rakowskiego to wyjazdy zagraniczne. Był na nie bardzo łasy, ale też władza chętnie go wysyłała jako emisariusza politycznego, na przykład na rozmowy z Niemcami Zachodnimi czy Stanami Zjednoczonymi. Świetnie nadawał się na zachodnie salony. Mówił w obcych językach, dobrze wyglądał, zdobywał zaufanie. Czasem jechał w konkretnej misji, żeby przekazać coś, czego nie mógł oficjalnie powiedzieć minister spraw zagranicznych, czasem tylko dla ocieplenia wizerunku Polski Ludowej. Słynny był jego

wyjazd do USA i spotkanie z urzędującym prezydentem Kennedym, który zaprosił go na weekend do swojej posiadłości. Pamiętam, że w redakcji dociekano na korytarzach, czy zdołał uwieść Jacqueline, z którą samotnie pływał łódką po jakimś jeziorze. To w warstwie anegdotycznej. A tak naprawdę światowość Rakowskiego robiła wrażenie. Przecież o spotkaniu z prezydentem Ameryki nie mogli nawet marzyć najwyżsi przywódcy komunistycznego świata. Wzbudziło to w kręgach władzy dużą zawiść, ale dla naszego pisma stanowiło to, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, znakomity pijar.

Trzecie jego zajęcie to było chodzenie do KC bądź wieczorne życie towarzyskie z sekretarzami. A w redakcji bywał wtedy, kiedy nie miał innych zajęć. Bywał niedługo, nie wtrącał się w codzienne funkcjonowanie zespołu, oprócz momentów newralgicznych, jak Marzec ’68, ataki polityczne KC – wtedy siedział w redakcji i pilnował tekstów politycznych. Reszta go nie interesowała. Był politycznym kierownikiem pisma.

Jest jakaś dziwna dwoistość tej sytuacji – naczelny jest przedstawicielem władzy, którą jego gazeta nieustannie krytykuje i poucza. Czytając wasze teksty, mam wrażenie, że wy chcecie sobie wychować przywódcę według waszych przekonań. Przecież to musiało rodzić napięcia.

Owszem, czasami wracał z KC jak zbity pies przez nasze teksty, ale był lojalny wobec zespołu. Rakowski miał ambicje, żeby nakreślać stosunek redakcji do poszczególnych wydarzeń. Oczywiście działało to też w drugą stronę. Chodził po tym KC i tam mu mówili, co partia myśli i co „Polityka” powinna zrobić. Mówili prywatnie, bo trzeba było na przykład kogoś podgryźć. On pewne rzeczy przyjmował, przekonywał nas na kolegium, że trzeba powściągnąć krytykę w jakiejś sprawie albo nasilić ją, albo skierować inaczej, powołując się na konieczności polityczne. Ale na kolegiach była swobodna wymiana poglądów.

A jeśli ktoś się nie zgadzał i mówił: „Mietek, nie możemy tego zrobić…”?

On wtedy krzyczał, bo naturę miał kobiecą, lekko histeryczną. Można było jednak stawiać bierny opór, można było stawiać czynny opór,

bo Rakowski był bardzo liberalny. Jak nie udawało mu się nikogo przekonać, siadał i sam pisał.

Zaskoczyła mnie konsekwencja, z jaką przez lata powtarzacie jak mantrę słowa „modernizacja” i „reformy”. I to już na długo przed Gierkiem. Kisiel w swoich „Dziennikach” poświęca wam sporo miejsca, widać, że jest pod wrażeniem waszego lawirowania między władzą a misją cywilizowania PRL. Pisze np. tak: „Podoba mi się »Polityka«. Postawili na Gomułkę, bo co mają robić, ale walczą jak lwy w obronie reform gospodarczych, spożycia indywidualnego, prymatu techniki i rozsądku, nie dają się zastraszyć żadną demagogią”. W pewnym momencie nazywa was wręcz „opozycją gospodarczą”.

Wie pani, to takie modne słowo „opozycja”, tylko że ono fałszywie upraszcza problem. Ja opozycją się nie czułem, tkwiłem przecież w środku tego systemu, z tym że znalazłem się w grupie ludzi, których łączył ten sam sposób myślenia, czyli przekonanie, że ten ustrój da się zreformować w duchu liberalizmu politycznego, obyczajowego i jak na owe czasy także gospodarczego, łącznie z uszanowaniem drobnej prywatnej własności. Ale żeby nie popadać w utopię, można to zrobić tylko od wewnątrz, ponieważ wszystkie akcje zewnętrzne tylko wzmacniają siły konserwatywne w partii, że zmiany powinny być ostrożne, powolne. Że ewolucja przebiega co prawda zygzakiem, ale ku coraz lepszym formom funkcjonowania państwa i społeczeństwa. Dlatego bliska nam była idea Bratkowskiego i Dziewanowskiego, którzy w latach 70. założyli półopozycyjny klub Doświadczenie i Przyszłość. Chcieliśmy ich poprzeć, bo to był również nasz sposób myślenia, czyli krytyka i przebudowa tego, co jest. Rakowski nawet poszedł na ich spotkanie, ale w KC zrobili mu o to awanturę i musiał się wycofać.

Liberalizm gospodarczy jest wręcz ostentacyjny jak na tamte czasy. Nawet dziś z ciekawością czyta się wasz cykl „Opinie i rady dla menedżerów”, łącznie z przedrukami z zagranicznej prasy o metodach dobrego zarządzania. Aż wreszcie w ’68 roku „Trybuna Ludu” przypuszcza na „Politykę” dziki atak, zarzucając, że szerzy „ideologię

menedżerską”, popiera konsumpcję i jest „antyegalitarystyczna”. Dziś to brzmi jak komplement.

Ale wtedy był to śmiertelnie poważny zarzut i atak na towarzystwo, które robi żydowsko-liberalne pismo. Mnie akurat wtedy w redakcji nie było, bo miałem kolejny zakaz pracy od Gomułki, ale oczywiście jako osoba związana z zespołem towarzysko i ideowo obserwowałem to w dużym stopniu od środka. Irytacja władzy samodzielnością w myśleniu „Polityki” narastała, Rakowski dryfował między KC a redakcją. Aż nadszedł Marzec i doszedł kontekst antysemicki. Redakcja odmówiła druku przedwojennego tekstu Słonimskiego, felietonu przedrzeźniającego Żydów. Kliszko, ważna wówczas osoba w KC, nakazał nam druk. Rakowski wołał w KC, że żarty pana Antoniego dzielą od naszych czasów trzy miliony żydowskich trupów. W „Trybunie Ludu”, organie KC, ukazał się artykuł potępiający całą linię programową „Polityki”. Ten tekst był zamówioną przez środowisko marcowe kampanią, która miała doprowadzić do likwidacji „Polityki”. Nie tytuł miał zniknąć, ale zespół. „Trybuna” tym artykułem wysłała sygnał do towarzyszy, że w ówczesnych stosunkach jest to pismo błędne, które nie powinno istnieć, więc dziennikarzy tego pisma należy traktować jak zadżumionych. W praktyce miało wyglądać to tak, że gdyby przyjechał redaktor z „Polityki” do, dajmy na to, sekretarza powiatowego, ten nie udzieliłby mu informacji, bojąc się, że jego wypowiedź znajdzie się na łamach i tym samym sam sobie ukręci stryczek. Gdyby chciał zrobić wywiad, tym gorzej. Rozmawiałby z nim jak z proboszczem, a nie z sojusznikiem, współtowarzyszem należącym do tego samego systemu. Fakt, że „Polityka” odpowiedziała na ten tekst ostro i zdecydowanie, znowu odkręcał sytuację. To znaczyło, że tekst nie reprezentował wytycznych całej partii, bo można było odpowiedzieć. Trwała wtedy śmiertelna walka na szczytach władzy i taka wymiana ciosów między „Trybuną” a „Polityką” stanowiła element wojny politycznej na górze. Takie to były gry w tamtym okresie, dziś śmieszne, wówczas groźne.

„Polityka” gra dużo ostrzej niż inne gazety. Oczywiście dziś niełatwo przebrnąć przez te teksty pełne aluzji, ale nawet po latach są czytelną krytyką PRL. Na przykład pana artykuł „Dziura”. Niby niewinny reportaż o oczku wodnym, które powstaje na pana osiedlu. Wiadomo

jednak, że tak naprawdę pokazuje pan jak w soczewce całą patologię systemu gospodarczego i biurokratycznego PRL.

O ten tekst miałem potem istne piekło w wydziale prasy KC, gdzie usłyszałem wrzask, że szkaluję „ludową ojczyznę", a tu trzeba „konstruktywnie".

Wszystkie wasze krytyczne teksty są pisane aluzyjnie, ale te aluzje są tak oczywiste, że tylko idiota cenzor mógł ich nie zrozumieć. Dlaczego przepuszczał?

Bo wojowaliśmy, oczywiście gdzieś tam zawsze mając świadomość, że jakby co Rakowski pomoże. Nie zawsze się udawało, wielki jest cmentarz tekstów poległych. Ale cenzura dla mnie nie była największym nieszczęściem, bo dopóki istniała jako instytucja zewnętrzna, można się było kłócić, perswadować. Lepiej, że cenzor siedział na Mysiej, niż siedziałby jako redaktor naczelny zamiast Rakowskiego. Umocniła mnie w tym przekonaniu wizyta redaktora naczelnego bułgarskiego czasopisma, który się oburzał, że u nas jest cenzura, a u nich nie ma, wszak cenzura jest hańbą cywilizacji. Zapewne słyszała pani o słynnej wolności prasy bułgarskiej. To mnie upewniło, że nie w instytucji cenzury tkwi problem. Zapisy cenzury akceptowaliśmy tylko wtedy, jeśli szło o Związek Radziecki i naruszanie tego tabu. Natomiast w innych sprawach negocjowaliśmy. To był półantagonistyczny układ, dużo zależało od człowieka. Cenzor był zawieszony pomiędzy niewiadomymi szczeblami władz politycznych, które będą miały pretensje, a argumentującą redakcją. Często był sojusznikiem redakcji, uważał, że jego zwierzchnicy nie mają racji, ale musiał wykonywać polecenia.

Nie w cenzurze tkwił więc główny problem, władzę nad dziennikarzami dzierżyła instytucja dużo wówczas groźniejsza, bo nieprzewidywalna, czyli wydział prasy KC, wykonawca wyroków pierwszego sekretarza. Moje boje z tą instytucją trwały przez wiele lat, historię biura matrymonialnego opowiadałem, dopadali mnie też w „Polityce" z różnymi dla mnie konsekwencjami. „Dziura" skończyła się tylko awanturą. Kolejna moja przygoda z wydziałem prasy KC mogła się skończyć gorzej. To już było za Gierka. Zaproponowałem Małgorzacie Szejnert reportaż o arystokracji. Wymowa tekstu była taka, że arystokracja

po początkowych kłopotach dobrze się uplasowała w PRL. Że wykształciła dzieci, zajęła godne pozycje zawodowe, podróżuje po świecie, żyje bez krzywdy. W moim rozumieniu to dobrze świadczyło o Polsce Ludowej. Natomiast partia potraktowała tekst jako donos na liberalizm partii, która najgorszych wrogów klasowych przytuliła do piersi i hołubi. I to, co według mnie miało świadczyć o tym, że w Polsce przechodzi się do porządku dziennego nad zaszłościami historycznymi, potraktowano jako brak pryncypialności partyjnej. Tekst się ukazał, aż tu wpada Rakowski z KC i mówi, że „cała partia stanęła dęba". Powołując się na protesty załóg, zrobiono z tego wielki skandal i zagrożono Rakowskiemu dymisją. Musiał jakoś odszczekiwać, błąd redakcji i tak dalej. Kosztowało go sporo zachodu, żeby tekst o arystokracji rozszedł się po kościach.

Exemplum funkcjonowania władzy w moim przypadku to była decyzja Gomułki o wyrzuceniu mnie z „Polityki" z wilczym biletem za tekst prawie apolityczny „Jego totalność dr Marcinkowski" o fanatycznym działaczu antyalkoholowym z Krakowa. Bolesne było to dla mnie jeszcze z tej przyczyny, że akurat, po raz pierwszy i ostatni, wygrałem z Passentem w ankiecie czytelników na najpopularniejszego autora „Polityki". Wynik już się nie ukazał na łamach, za to ukazało się oświadczenie Rakowskiego, że zostaję uroczyście wyrzucony. Sam ledwie nie wyleciał ze mną.

Zdumiewające. Czytałam ten tekst i w żaden sposób nie potrafię zrozumieć, dlaczego akurat ten rozwścieczył do tego stopnia Gomułkę. To przecież zaledwie zgrabny pamflet na jakiegoś lokalnego dziwaka. Co prawda zręcznie pan drwi z ekstremizmów typu prohibicja, kara śmierci i innych totalitarnych zapędów, ale przecież równie szyderczych tekstów pisał pan sporo.

No właśnie, ja też do dziś tego nie rozumiem. Gomułka szalał, wykrzykiwał do Rakowskiego: „Te poprościaki znowu zaczynają swoje", jako drugi delikt wskazując na tekst Krystyny Zielińskiej o tym, że ktoś napisał w Nowej Hucie na drzwiach klozetu o sekretarzu „chuj", wyjęli te drzwi i zawieźli do grafologa, żeby znaleźć autora. Zielińska była żoną Janusza Zarzyckiego, ówczesnego prezydenta Warszawy, jakoś się wywinęła. A mnie Gomułka podczas plenum potępił oficjalnie z nazwiska jako dziennikarza zwalczającego ofiarnych działaczy społecznych.

Wykonawcą wyroku znów był wydział prasy, który wydał zakaz publikowania mnie oraz zatrudniania i z wielką konsekwencją tropił po wszystkich posadach, jakie udało mi się podłapać. I tak to trwało do końca ’68 roku, kiedy Gomułka łaskawie zezwolił na mój powrót do „Polityki” po pięciu latach przerwy.

Co pan robił przez te pięć lat?

Znowu miałem rozliczne fuchy, na przykład robiłem prognozę rynkową, wielkie opracowanie dla przemysłu elektronicznego, na którym oczywiście ni w ząb się nie znałem, ale prognozowałem, że telewizory będą miały większe wzięcie niż radia. Dzięki dyskrecji kolegów pisywałem w „Polityce” pod pseudonimem Wanda Borkowicz, w „Kulisach” jako Kibic.

Nie miał pan już dość ukrywania się pod pseudonimami?

Oczywiście, i próbowałem walczyć, tylko że nie miałem zbyt wielu możliwości. Wciąż prosiłem Rakowskiego, żeby spróbował odkręcić wyrok Gomułki. Rakowski to bagatelizował. „Ty nic nie rób, ja za ciebie wszystko załatwię” – mówił. Minęło kilka lat i niczego nie załatwiał. Miałem o to pretensje, bo rzeczywiście nie czyniłem żadnych starań, żeby gdzieś dostać stałą pracę, licząc na powrót do „Polityki”. On nie rozumiał moich podstawowych problemów dotyczących egzystencji, patrzył tylko przez pryzmat rozgrywek politycznych. Wtedy ta jego wielkopańskość mnie do niego trochę zraziła. Mijał rok za rokiem i nic. Aż wreszcie przyjaciel Rakowskiego, Ryszard Frelek, sekretarz Kliszki, powiedział, że on się za mną wstawi u Kliszki, a była to postać niezwykle wpływowa. Przez rok dzwoniłem do Frelka codziennie, on cierpliwie odbierał telefon i mówił, że już wkrótce porozmawia z Kliszką, że już rozmawiał, teraz Kliszko musi iść z tym do Gomułki, a Gomułka wyjechał. Uznałem go za świętego człowieka, w końcu dzwoniłem dzień w dzień, obawiając się, że jak ten kontakt zniknie, to ostatecznie znikną moje możliwości. Wreszcie Frelek spotkał się z Kliszką w mojej sprawie i ten dał cichą zgodę na to, że jeśli znajdzie się jakiś redaktor drugorzędnego pisma, który mnie zechce przyjąć na etat, to mogę tam iść. Ale nadal pod warunkiem, że nie będę się podpisywał swoim nazwiskiem, bo nie może dojść do Gomułki, że pracuję

gdzieś na stałe. Wtedy wziął mnie Jan Główczyk, naczelny „Życia Gospodarczego”. Siedziałem tam, podpisując się Jan Rem, przez trzy lata, do jesieni ’68 roku.

Czyli tam zastaje pana Marzec. Jak pan reaguje?

Bałem się. Głupio, ale uciekłem z Warszawy zaraz na początku, wkrótce po wiecu na uniwersytecie. Mój strach spowodowało kilka zdarzeń. Jechałem do knajpy taksówką razem z bardzo ważną prokurator Prokuratury Generalnej. Na Nowym Świecie esbecy wyciągnęli nas z taksówki, wyjęli z rękawów krótkie nahajki i ją stłukli, mimo że krzyczała, że ma immunitet, że jest prokuratorem. Odniosłem wrażenie jakiejś strasznej anarchii. Następnie na tym samym Nowym Świecie esbecy wzięli mojego przyjaciela Berkowicza i zażądali, żeby podał mój adres. Ponieważ mój adres figurował oficjalnie w książce telefonicznej, uznałem, że będą brać Żydów z łapanki. Nie wpadło mi do głowy, że to jest typowe straszenie, które nie ma ciągu dalszego. Natychmiast spakowałem się i wyjechałem do Kudowy. Moim zamiarem było wynająć pokój w górach u chłopów i mieszkać tam pod granicą czeską jako zwykły turysta, nie do odnalezienia przez SB. W razie czego przejdę przez granicę do Czechosłowacji, tam już trwała praska wiosna. Ale jak zobaczyłem stan tych wiejskich chałup, wygodnictwo wzięło górę. Ulokowałem się więc w hotelu. Jednym słowem cała konspiracja wzięła w łeb, bo byłem zameldowany i w każdej chwili osiągalny. Poznałem jakąś fryzjerkę ze Śląska i zaczęliśmy balować w Kudowie, co było całkiem przyjemne. Wreszcie wróciłem do Warszawy, kiedy Gomułka wygłosił w kwietniu przemówienie, w którym hamował ostrość tendencji marcowych, sala krzyczała: „Śmielej, Wiesław, śmielej”, a on salę uspokajał. To był przełomowy moment, kiedy Gomułka się wystraszył i ja przestałem się bać, bo zobaczyłem, że to się rozłazi po kościach, jak to w Polsce.

Zresztą rok ’68 postrzegałem inaczej niż moje środowisko żydowskie czy środowisko dysydenckie. Uważałem, że nie kwestia żydowska jest tutaj istotą, bo stanowi tylko objaw przejściowy, że istotą jest próba zrobienia komunizmu nacjonalistycznego, bardziej represyjnego niż reżim Gomułki. Jednym słowem, że to jest bunt młodzieży przeciw poprzednim pokoleniom, analogiczny do buntu aparatu partyjnego w latach

1929–1930 w ZSRR, który poparł Stalina. Bo Stalin też stopniowo pozbywał się starej gwardii pod naciskiem i za poparciem nowego pokolenia. I uważałem, że ta cała sprawa żydowska jest, oczywiście paskudnym, ale tylko instrumentem do obalenia Gomułki. No, ale to już żadnej sympatii do niego we mnie nie wywoływało.

Nie myślał pan o wyjeździe?

Nigdy. Ja niczego nie umiem, jestem związany z Polską językiem w sensie zawodowym, w żadnym innym języku nie napiszę niczego, nie porozmawiam. Jestem więźniem polszczyzny.

Odradzałem emigrację znajomym, na przykład Kołakowskiemu. Spotkałem go po powrocie z Kudowy, był wystraszony, mówił mi, że jeżdżą za nim krok w krok, że trudno mu to wszystko wytrzymać i chyba wyjedzie. Perswadowałem mu, że skoro za nim jeżdżą krok w krok, to znaczy, że go straszą, a nie śledzą. Jakby go śledzili, to nic by o tym nie wiedział. I że to są demonstracje, które mają na celu wypchnięcie go z Polski, żeby nie wyjeżdżał, bo właśnie tego chcą. No ale on wyemigrował i to była nasza ostatnia rozmowa.

Wkrótce Gomułka, pana prześladowca, traci władzę. Jak go pan ocenia teraz, z perspektywy wielu lat, kiedy pana emocje już opadły?

Będzie to ocena zniuansowana. Uważam, że przewrót w ’56 roku był możliwy tylko dzięki Gomułce, jego postawie wobec Związku Radzieckiego, na którym chciał wymóc poszerzenie skali polskiej autonomii. To był wielki okres Gomułki i na tym się jego wielkość skończyła. Potem już ochoczo pacyfikował Czechosłowację. Jednak ’56 rok jest dziś niedocenianym przewrotem, on o wiele więcej zmienił niż przewrót gierkowski. Trudno to porównać ze zmianą ustroju w ’89 roku, ale to był największy skuteczny przewrót w sferze wpływów radzieckich z punktu widzenia stosunków wewnętrznych. Dziś jest to niedoceniane ze względu na politykę historyczną, ponieważ to nie był przewrót, w którym uczestniczyła prawica i Kościół. To był przewrót robiony przez zwolenników socjalizmu, którzy stali się obywatelami dzięki socjalizmowi i zaczęło im się mnóstwo rzeczy nie podobać. To była rebelia tych, którym socjalizm dał wykształcenie i pracę, ale nic więcej. Rozbudził aspiracje

i nie zaspokoił apetytów. Ale przewrót w życiu był zasadniczy. Minął strach, ludzie odetchnęli. Z punktu widzenia normalnego życia zniknął ciężar totalitarnego państwa. A to jest jednak istotne kryterium.

Tylko że Gomułka miał bardzo złą wizję państwa. To była wizja państwa równościowo ubogiego, czyli wszyscy mają żyć równie ubodzy. W jego rozumieniu to był wystarczający ludziom standard. To była wizja państwa rządzonego autokratycznie, on sam chciał robić wszystko. Ślęczał sam nad jakimiś tabelami, sam robił wyliczenia, był bowiem podejrzliwy, nikomu nie ufał poza dwoma, trzema kumplami, którzy przeszli z nim wszystkie etapy. Miał wizję państwa niepolicyjnego, natomiast represyjnego wedle kaprysów. To były straszne rzeczy. Do historii przeszła afera mięsna, ja natomiast pamiętam coś dużo bardziej obłędnego. Pewnego dnia gdzieś w jakimś miasteczku koło Dęblina, na jakichś wałach chłopiec zgwałcił i zamordował dziewczynę. Po czym okazało się, że jego kolega też kogoś zgwałcił i jeszcze jeden. Zrodziła się psychoza. I poszła dyrektywa, że w całej Polsce trzeba ścigać gwałty. Prokuratorzy mi opowiadali, że muszą „wyrobić” gwałty, bo są pod presją statystyk. Gomułka uznał, że to jest główny problem Polski. Minęły gwałty, zaczęły się afery mięsne, Wawrzecki poszedł wisieć. Skończyło się mięso, zaczęły się skóry, w aferach skórzanych ludzie dostawali dożywocia. W tym sensie to był ustrój represyjny, ale też represyjność Gomułki była trudna do logicznego ogarnięcia. Na przykład wsadzili do więzienia Wańkowicza, ale urządzili mu tam elegancki pokój, po czym odwiedzał go Moczar, mówiący mu „mistrzu”. Ustrój się robił konserwatywno-komiczny, kapitalny dla dziennikarza, bo tematy aż pchały się w ręce, tylko że takie ustroje są antyproduktywne. Sam Gomułka był ascetyczny, palił najtańsze polskie papierosy, jak opowiadają, przecinał je żyletką na połówki. Wywodził się z jakiejś wschodniej galicyjskiej nędzy. Uważał, że wszystko powyżej tej nędzy to jest dobrostan i szczęście, które przyniósł socjalizm. W ten sposób rozmijał się z aspiracjami społecznymi i aspiracjami swojego własnego aparatu, który też był duszony tym skąpstwem, niepokojem o głębokość dekoltu Kaliny Jędrusik. W swojej surowości nie zauważył, że ludzie chcieli już mieć telewizor, pralkę Franię, meblościankę. Mieli marzenia. Również i takie – w kinach szedł amerykański film z Elizabeth Taylor „Kleopatra”. Waliły nań tłumy, poszła również kierowniczka baru mlecznego w Białymstoku. W filmie jest scena, jak Kleopatra kąpie się

w mleku. Ta scena zrobiła takie wrażenie na naszej kierowniczce, że codziennie kazała sobie wlewać do wanny podgrzane mleko z przywożonych do baru kadzi, kąpała się w nim, a potem gotowano na nim zupę mleczną. Aż pewien klient baru znalazł w swoim talerzu włos. Na dodatek łonowy. Wybuchł skandal, sprawa poszła do sądu, obrońcą Kleopatry z baru mlecznego był mój teść. Opowiadam tę anegdotę, bo ona świetnie pokazuje, jak bardzo Gomułka nie rozumiał, że aspiracje tysięcy ludzi, wydźwigniętych przez socjalizm ze wsi, nie skończyły się tylko na podłych mieszkaniach ze ślepą kuchnią i hodowaniu świń w wannie.

Wraca pan do „Polityki” w momencie, kiedy jeszcze nie wiadomo, że Gomułka odda władzę tak krwawo. W połowie grudnia ukazuje się notka na 26 wierszy, że „w dniach 14 bm. w Gdańsku miały miejsce poważne zajścia uliczne” i dalej o elementach chuligańskich i awanturniczych, które nie miały nic wspólnego z klasą robotniczą.

Przecież nie mogliśmy wydrukować nic ponad oficjalny komunikat PAP zatwierdzony przez KC.

Tak, rozumiem, ale co się wówczas działo w redakcji?

Oczywiście jest wściekłość, niepokój. Wszystkie ludzkie odruchy. Dociekamy, ile osób naprawdę zabito, bo oficjalny komunikat mówi o sześciu ofiarach. Wtedy łączność była ułomna. Nasza wiedza też była ułomna, panowała dezinformacja, nerwówka, wszyscy czekali, czy wybuchnie Warszawa, bo jeśli tak, to pewnie wejdą Ruscy. Napięcie niesamowite. Opowiem pani historię, która świetnie pokazuje ówczesny stan niepewności i niewiedzy. Otóż wpada Rakowski z KC i mówi mi rozgorączkowany, że Kazimierz Kąkol pisze jakieś odezwy na wypadek wprowadzenia stanu wojennego i interwencji radzieckiej. KC zleciło to samo Rakowskiemu, a on mnie. Siedziałem po nocach i pisałem odezwę do ludności na wypadek wejścia Armii Radzieckiej.

Co pan pisał?

Do wojska, żeby nie wychodziło z koszar i nie podejmowało walki, do ludności, żeby nie prowokowała, bo to się skończy jatką. Jednym słowem w duchu uspokajającym, wzór czeski. Nie wiedzieliśmy, co pisze

Kąkol, bo mógł zarówno wzywać do witania wojsk radzieckich kwiatami, jak i do strzelania.

Dziennikarz piszący odezwę do narodu na zlecenie władzy – czy to było dla pana normalne?

Ależ proszę pani, ja byłem dumny, miałem poczucie, że dokonuję ważnych, historycznych czynności. Zresztą nie po raz pierwszy. Wcześniej wraz z kolegami z redakcji pisałem „Program rozwoju kraju”, w którym każdy z nas zawierał reformatorskie wizje ze swojej działki. Jako że nie my, a tylko partia mogła programować rozwój kraju, Marian Turski pojechał z tym do Gierka, który jeszcze siedział w Katowicach, ale już się czuło, że idzie do władzy. Przeczytał, podziękował, po czym jak został pierwszym sekretarzem, wiele z tego, co myśmy projektowali, w pierwszym odruchu liberalno-demokratycznego Gierka zostało wykorzystane. Pomyślałem sobie, że warto ten program rozwinąć w autorskiej książce i tak też uczyniłem. Nazywało się to „Czas przyszły niedokonany”, wydał PIW, ale cały nakład trafił do kosza zdjęty przez cenzurę. Poszło o to, że nawoływałem do otwarcia granic i do emigracji zarobkowej na Zachód, argumentując, że w ten sposób przysporzy się Polsce dewiz, które można będzie wykorzystać do budowy nowoczesnego przemysłu.

Tak pan sobie wyobrażał socjalizm idealny?

Tak, i przez pierwsze lata wydawało mi się, że Gierek idzie właśnie w tę stronę. Był pierwszym przywódcą, który mieszkał kiedyś na Zachodzie.

Przecież ten Zachód to była tylko praca w Belgii w kopalni.

Ale to miało bardzo duże znaczenie. Nie wychowywał się w szkołach Kominternu, ani pośrednio, ani bezpośrednio jak Gomułka, który tkwił w systemie, który stamtąd się wywodził. Gierek miał autentyczne ambicje modernizacyjne. Chciał Polskę wprowadzić cywilizacyjnie do Europy, upodobniać do krajów zachodnich. Z początku przejmował się tym, że jest przywódcą, który został społecznie zaaprobowany w sprzeciwie wobec Gomułki, że on niesie postęp, wolność.

To wszystko bardzo pięknie brzmiało na jego pierwszym zjeździe, na którym obficie korzystał z programu, który mu zawieźliśmy do Katowic.

I było bardzo bliskie temu, o czym pisaliście w „Polityce”.

Dlatego tak silnie go poparliśmy. Mieliśmy satysfakcję, że nasze jest na wierzchu, że moczaryzm poszedł w diabły i zaczynamy nowe życie. Rakowski był szczególnie zauroczony Gierkiem również z tego powodu, że miał fatalne doświadczenia z poprzednikiem. Miesiącami czekał na audiencje, podczas których najczęściej Gomułka na niego wrzeszczał, a teraz drzwi pierwszego sekretarza zawsze otwarte, kulturalny pan wysłuchuje go, pokiwa głową. Narcyz Rakowski był dopieszczony.

Przez pierwsze lata epoki Gierka widać, że gazeta daje mu duży kredyt zaufania. Pomagacie. „Polityka” staje się bardziej magazynem społeczno-kulturalnym, wolicie dyskutować o książkach, filmach i tolerancji wobec mini i długich włosów młodzieży. Traci polityczny pazur, chociaż nie liberalne przekonania.

No tak, bo takie są nastroje społeczne, od dołu po sam establishment, na początku nic nie wskazuje na gospodarczą katastrofę. Identyfikowałem się z polityką Gierka, bo wydawała mi się pragmatyczna, czuło się otwarcie na świat, uwierzyłem, że jest możliwy postęp cywilizacyjny. Podobało nam się, że otworzył granice, można było wyjeżdżać. Młodzi ludzie, naukowcy, inżynierowie zaczęli praktykować na Zachodzie. Otworzył Polskę na kapitał i technologię zachodnią. I o ile całe moje środowisko później obrażało się, że sojusz ze Związkiem Radzieckim i przewodnia rola partii zostały wpisane do konstytucji, to ja uważałem, że nie ma powodów do wzburzenia, bo jeśli Gierek w ten sposób płaci trybut za to, że może brać coraz większe kredyty zachodnie, to w końcu to się opłaca. Konstytucja i tak nie miała wielkiego znaczenia. Nikt jej nie znał, nie czytał, nikt się nie przejmował zapisami, ani władza, ani obywatel. Toczyłem o to spory z Rakowskim, który ostro krytykował proradzieckie zmiany w konstytucji w partyjnym towarzystwie, czym przysparzał sobie oczywiście kolejnych wrogów.

Propaganda sukcesu uwiodła nawet Andrzeja Wajdę, z którym zrobił pan wielki wywiad. Reżyser zachwyca się dokonaniami Gierka. „Nie mam wątpliwości, że znajdziemy się w gospodarczej czołówce” – mówi. I martwi się, czy „społeczeństwo syte nie stanie się społeczeństwem sfrustrowanym”. Czuje się pan syty?

Jak na tamte czasy tak. Mam dobre samopoczucie. Zarabiam spore pieniądze, w sensie zawodowym należę do elity. Nie ja chodzę po redakcjach i nie proszę, żeby coś mi wydrukowali, tylko przychodzą do mnie. Myśmy byli uznawani za arystokrację, taki status dawał tylko „Tygodnik Powszechny” w Krakowie, dla reszty prasy uchodziliśmy za ludzi godnych zazdrości, bo stosunkowo najbardziej wolnych w swoich poczynaniach zawodowych. Byliśmy uznawani za najlepsze pismo w całym obozie, mające kontakty światowe, bardzo prestiżowe i dające znakomity status społeczny i zawodowy. Wytwarza się rodzaj patriotyzmu pisma. Jesteśmy silni, zwarci i gotowi, przeciw wszystkim na zewnątrz. Arystokracja kierownicza razem się przyjaźniła, piła i zmawiała.

Nazywają was „bandą Rakowskiego”.

Przez to młodzi dziennikarze czuli się niezbyt dobrze i odchodzili. Na przykład Wierzyński, Rolicki. Po jakimś czasie poszli do „Kultury”, uważali bowiem, że tutaj jest podział warstwowy i panują złe stosunki. W jakimś sensie mieli rację. Pamiętam, jak po piętnastu latach pracy Barbary Olszewskiej w redakcji Rakowski powiedział o niej „pani Olszowska”. Ona się strasznie obraziła. Ale Rolickiemu odejście z redakcji wyszło na dobre, został potem szefem programów artystycznych w telewizji Szczepańskiego i robił fantastyczne programy. To był najlepszy okres w dziejach TVP i jego w tym znaczna zasługa.

Wspomniał pan o szczególnym statusie społecznym dziennikarzy „Polityki”. W czym się to objawiało?

To są rzeczy nieuchwytne, na przykład atrakcyjność towarzyska. Ale też zdarzyła mi się dziwna historia, do dziś nie znam jej podłoża, wiążę ją jednak z prestiżem, jaki dawała praca w „Polityce”. Otóż dyrektor hotelu Forum zaprosił mnie do siebie i powiedział, że mogę się u nich zaopatrywać w mięso, sardynki, szynkę, ot, takie luksusy na owe czasy. I po

dziś nie wiem, czy to była uprzejmość tego dyrektora, czy to był zakamuflowany sklep za żółtymi firankami. Oczywiście korzystałem.

A inne przywileje?

Co cztery lata przydział samochodu. To był rzeczywiście przywilej. Domy dziennikarskie w Kazimierzu Dolnym i w Bułgarii, marne, ale za niewielkie pieniądze.

Paszporty od ręki?

Nie, tylko służbowe, jak się jechało w delegację. Po powrocie trzeba było oddać. Raz mi na rok anulowano paszport. Chodziło o nieprawdziwy donos, że będąc w Szwecji, przyjąłem pieniądze od emigracyjnej organizacji. Nie wiem, czy zaliczy pani do przywileju, czy nie, mój wyjazd służbowy na festiwal filmowy do San Sebastian. Dwa tygodnie w pięknym kurorcie, karmili mnie, wszystko było fajnie. Po powrocie wziąłem listę festiwali filmowych i okazało się, że na świecie jest ich kilkaset. Wysłaliśmy więc pismo do wszystkich festiwali, że prowadzimy dział filmowy i jesteśmy zainteresowani, ale nie mamy pieniędzy, więc interesują nas tylko zaproszenia z hotelem i utrzymaniem. Przyszło kilkadziesiąt zaproszeń, można było je rozdzielać sprawiedliwie i wyjeżdżać. Pojechałem jeszcze do San Remo. Tam razem z Toeplitzem i jakimś dygnitarzem z telewizji składaliśmy się na jednego dolara, żeby kupić wielką butlę wina. Usiedliśmy w pokoju hotelowym, wino za taką sumę było oczywiście nie do picia, i zaczęliśmy się strasznie śmiać, że trzech dżentelmenów składa się na jednego dolara. Potem mi się znudziło oglądanie filmów. Popłynąłem z kandydatką na żonę w dwumiesięczny rejs statkiem handlowym wokół Morza Śródziemnego.

Sława?

Tylko środowiskowa. Sławę daje telewizja, a ja nie mogłem występować, miałem zakaz. Z tym zresztą związana jest dziwna historia. Kiedyś w „Szpilkach” napisałem felieton, że coś mówiono w radiu, ale nie było to radio Szczepańskiego. Dawałem do zrozumienia, że chodziło o Wolną Europę. Szczepański uznał, nie wiadomo dlaczego, że ten tekst go deprecjonował. I wtedy wezwał mnie jego korespondent w Londynie, który

akurat przyjechał do Warszawy. Zaprosił mnie do jakiegoś apartamentu w hotelu, gdzie były przygotowane przekąski i alkohole w dużych ilościach, i zaczął coś mówić o chęci pogodzenia mnie ze Szczepańskim. Byłem tym wszystkim zdumiony, tą ostentacją, dziwnym trybem spotkania. Nic z tego nie wyszło, nie chciałem jeść, pić ani rozmawiać. Wyszedłem i w towarzystwie ośmieszyłem Szczepańskiego, że wysłał do mnie korespondenta z Londynu, żeby porozmawiać w Warszawie. Wtedy sformalizowano zakaz zapraszania mnie do telewizji. Ja zresztą wciąż funkcjonowałem na zasadzie obcego ciała. Budziłem nieufność, drażniłem. Byłem dla nich nieoczywisty. Raz traktowali mnie jak sprzymierzeńca, częściej jak bezczelnego publicystę, którego krytyka jest szczególnie dolegliwa. Na 20-lecie „Polityki" sekretarz KC dekorował mnie medalem, mówiąc, że świat się kończy, skoro Urban dostaje order. Byłem wzywany na dywanik do wydziału prasy KC w związku z felietonami w „Szpilkach", bo podgryzam ustrój. Dochodził do tego prawdopodobnie czynnik antysemicki, bo przecież moczarowcy, choć już osłabieni, wciąż tkwili w KC.

No właśnie, dlaczego pan wciąż „podgryzał ustrój"? PRL w wydaniu Gierka powinien się panu podobać.

Bo Gierek zaczął objawiać swoje wady. Nie był jak Gomułka drobiazgowy, nie wtrącał się we wszystko, był na to za leniwym panem. Snobem, dla którego najważniejsze to pokazać się w telewizji, w Pałacu Elizejskim czy w Londynie, odbębnić gospodarskie wizyty. Obserwowałem, jak się zakochuje sam w sobie. Zaczął otaczać się dworem, specami od efekciarskich zachowań, nie w takiej skali jak w dzisiejszej polityce, ale już szło to w tym kierunku. Oni bardziej byli zajęci sobą niż jakimiś celami. Dacze, słodkie życie, którego wcześniej nie było. Oczywiście na bardzo skromnym poziomie. Jak nasza ekipa przyszła w ’80 roku i wytoczyła osiemset procesów gierkowcom za prywatę, to gdyby dziś pokazać akta tych spraw, społeczeństwo śmiałoby się do rozpuku. Ja dostałem mieszkanie po ministrze budownictwa, który palnął sobie w łeb, ponieważ miał zarzut, że boazerię pierwszej klasy sprzedano mu jako boazerię drugiej klasy. Za takie rzeczy sypały się wyroki, żeby naród był zachwycony. No, ale to było później. Na razie widzę, że Gierek pławi się

w samozachwycie, że tak naprawdę znudził się już reformami, że jest za głupi na kierowanie gospodarką państwa.

W którym momencie dostrzega pan, że zbliża się krach?

W połowie lat 70. Gierek się potknął na tym, na czym potknąć się musiał. Otóż on sobie wymyślił, że będzie brał kredyty i kupi za nie dwie rzeczy. Po pierwsze, spokój społeczny, czyli odda część kredytów na przejedzenie. Po drugie, technologie zachodnie, będzie produkował nowoczesne produkty i nimi spłaci te kredyty. Tylko że Polsce wciskano technologie schodzące, a nie wschodzące, wykorzystując to, że nie mieliśmy fachowców, żeby to ocenić. Na dodatek polski przemysł nie potrafił adaptować tych technologii. Cóż więc atrakcyjnego można było sprzedać Zachodowi? Nic, bo dla nich wszystko to było przestarzałe. I długi stały się niespłacalne. Spowodowała to nie tylko ignorancja, ale także, jak to i dziś jest, antagonizm między intencją polityka a interesami ludzi gospodarki. Interesem ludzi gospodarki było zahaczyć się o zachodnią licencję, na przykład z Fiatem. Jeździć tam, uzyskać fundusze w dolarach. Z tej współpracy oni mieli coś dla siebie, mogli podnieść płace, oczywiście również sobie, spędzić z żoną urlop we Włoszech. Chcieli więzi z Zachodem niezależnie od rachunku. A rachunek się nie spinał. W istocie to ta nowa klasa menedżerów, którą stworzył Gierek, go położyła.

O tym, że zbliża się krach gospodarczy, wiedział też oczywiście Rakowski, który nawet napisał jakiś memoriał, w którym tłumaczył Gierkowi, co musi zrobić, żeby go uniknąć. Ale panisko już nie słuchało, w związku z czym, jak wybuchł protest w Radomiu i Ursusie, jego reakcja była gomułkowska – zdusić, zamiast dojść do wniosku, że trzeba zmienić politykę gospodarczą, jakoś uciec do przodu, przypomnieć sobie, na czym polegało jego powodzenie, i wrócić do korzeni. Rakowski namawiał go, żeby opublikował w „Polityce” taką deklarację. Ale on wybrał najprostsze rozwiązanie – zamknąć strajkujących i spałować. A gdy zrobił kontrmanifestacje, podczas których wszyscy krzyczeli: „Gierek, Gierek, precz z warchołami”, był to dla mnie dowód, że uwierzył we własne sztuczki propagandowe i nimi czuł się mocny. Nie zauważył, że tak naprawdę nikt się go nie boi, czego przykładem jest powstanie KOR-u. Gdyby w ’52 roku powstał jakiś KOR w obronie więzionych dowódców

AK, to nie zdążyłby się zebrać, bo już siedziałby z udowodnionym szpiegostwem na rzecz Ameryki. KOR mógł istnieć za Gierka i osiągać sukcesy, ale to pokazywało, że Gierek nie był zdolny ani do prawdziwych represji, ani do prawdziwych reform. Był już Ludwikiem XVI.

Ale na łamach „Polityki" nie widać zbrzydzenia Gierkiem. Drukujecie paskudny tekst o hołocie, która rabuje sklepy w Radomiu, bez słowa o kontekście politycznym.

Za ten tekst, pisał go Giełżyński, jesteśmy bardzo ostro osądzani przez środowisko, w samej redakcji część zespołu też była zniesmaczona. Widać zabrakło nam wyczucia chwili.

I tego, że nieuchronnie zmienia się epoka. Powstają KOR, gazetki podziemne. Ludzie krytyczni wobec systemu mają nowy obieg informacji.

Dla mnie zmiana epoki zaczyna się od tego, że w „Polityce" powoli pęka marcowe spoiwo. Najpierw na drugą stronę przechodzi mentalnie Radgowski. Rezygnuje z funkcji wicenaczelnego, tłumacząc, że ma dość tego nurtu „Polityki", w którym tkwi. Pisuje już tylko felietony na neutralne tematy. A to była ważna postać, miał dla pisma wielkie umysłowe znaczenie. Mój przyjaciel Fikus zamieszcza w podziemnych pisemkach teksty zdjęte przez cenzurę, oczywiście z adnotacją, że zamieszczone bez wiedzy autora. Krallówna chodzi gdzieś tam po księżach z Kieślowskim. Kałużyński pisze teksty przeciw Kieślowskiemu, bo ma artystyczne obrzydzenie do kina moralnego niepokoju. Nabiera to jednak wymiaru politycznego. Rakowski zawiera więc pakt z grupą moralnego niepokoju, z Kieślowskim i Holland, i obiecuje, że nie będzie ich krytykował. Kałużyński się buntuje, na jakiś czas odchodzi, redakcja dzieli się na zwolenników Kieślowskiego i zwolenników Kałużyńskiego. I znów jest to odbierane w kontekście politycznym. I tak przy różnych zdarzeniach narastają podziały. Ludzie zaczynają żyć w szerszej przestrzeni niż redakcja i środowisko dziennikarskie. Przestaje istnieć duża spójność poglądów redakcji. To wszystko jeszcze przebiega łagodnie, prawdziwy rozłam zaczyna się w ’80 roku.

Życie towarzyskie

Jako znany dziennikarz należy pan do elity towarzyskiej Warszawy. Kto jest w kręgu pana znajomych?

Wszystko się kotłuje w różnych konfiguracjach przez lata, będę więc mieszał epoki. Znajomi przesiadują w tych samych knajpach i do dobrego tonu należy codziennie tam wpaść co najmniej na chwilę. Do SPATiF-u, Kameralnej, Bristolu, do dziennikarzy na Foksal, do filmowców, czyli do Ścieku na Trębacką. Tam Dygat z Jędrusik, za chwilę Jędrusik z jakimś młodym kochankiem, którego przedstawia Dygatowi, Andrzejewski bełkoczący przy barze, Hłasko popisujący się przed całą salą, Słonimski, Bereza, Stryjkowski, Ważyk, Paweł Hertz, w tym wszystkim śliczne studentki z ASP czyhające na okazję, no i rzecz jasna jakieś kokoty i tajniacy. Kultowym miejscem była też kawiarnia PIW-u. Mały lokal, a dwa światy – ładnych panienek z prowincji, które chciały się zahaczyć w wielkim mieście, podrywaczy, głównie z pisma „Dookoła Świata”, oraz opozycjonistów. Słonimskiego, Michnika, Jasienicy, którzy siedzieli zawsze przy tym samym stoliku, nie obchodziły panienki, a z kolei moich kolegów i mnie owszem. Wszyscy rozgorączkowani wódką, seksem. Pamiętam taką noc, kiedy wróciłem z terenu z jakiegoś reportażu i padłem w domu ze zmęczenia. Ale o pierwszej w nocy przebudził mnie niepokój – ja tu śpię, a w Bristolu pewnie dzieją się rzeczy ciekawe bez mojego udziału. Wsiadłem do taksówki i pojechałem. Z nonszalancją niszczyliśmy zdrowie, niektórzy talent. No, młodość po prostu.

Różni ludzie, którzy dziś są legendą, przemykali towarzysko przez moje życie jak w fotoplastykonie. Chociażby Cybulski. Kiedyś piliśmy razem w większym towarzystwie w jakimś wesołym domu. Znudziło mi się, wyciągam go stamtąd do baru w pobliżu. On się opiera, tłumacząc, że tam tłum zacznie na niego napierać. Drwię z niego, że mu się w głowie przewróciło, aktorzyna, co zagrał raptem w dwóch filmach. Wyszliśmy na Marszałkowską, natychmiast pojawili się ludzie z prośbą o autograf. Weszliśmy do baru, a za nami tłum coraz to liczniejszy, każdy chce mu

stawiać. Przyduszany przez ten tłum do bufetu wpadłem w panikę, że stamtąd żywy nie wyjdę. Jakoś uciekłem, zostawiając Cybulskiego na pastwę wielbicieli.

Kto miał największe wzięcie towarzyskie?

Na pewno w pewnym okresie miał swoją chwilę Janusz Minkiewicz. Przysiadało się do jego stolika i czekało na jego dowcipne powiedzonka. On popijał jarzębiak z piersiówki – pozwalano mu na to we wszystkich warszawskich knajpach, bo był uwielbiany przez personel – i brylował. Przy nim często przesiadywała Agnieszka Osiecka wbrew swojej naturze milcząca, czekająca, aż jej też milczący współbiesiadnik wycedzi coś dowcipnego. Kiedyś wycedził coś zgoła nieprzewidywalnego. Przez zaciśnięte usta zwymiotował w barze nocnej Kameralnej, po czym skomentował ten eksces: „Mięsa nie puszczę”. Mięso uchodziło wtedy za cenne żarcie.

Zbyszek Cybulski. *Różni ludzie, którzy dziś są legendą, przemykali towarzysko przez moje życie jak w fotoplastykonie. Chociażby Cybulski. Nie doceniałem jego popularności po roli Maćka Chełmickiego w „Popiele i diamencie” dopóty, dopóki napierający tłum jego wielbicieli niemal nie zmiażdżył mnie przy barze w jakiejś knajpie, do której go wyciągnąłem.*

Agnieszka Osiecka była pana koleżanką ze studiów.

I tak, i nie. Trudno to nazwać wspólnym studiowaniem, bo po pierwsze moje trwało bardzo krótko, a poza tym byłem rok starszy, chodziliśmy razem tylko na wykłady z logiki do profesor Janiny Kotarbińskiej. Ale przede wszystkim na uniwersytecie ona była ta najładniejsza, a ja się nie zadawałem z najładniejszymi, bo miałem za duże kompleksy. Patrzyłem tylko na nią z wielką przyjemnością, tym bardziej że na dziennikarstwie, jak wszędzie, obowiązywały kryteria klasowe. Były więc dziewczyny krępe, niskie i nabite. A ona smukła i jasna, niczym panienka z polskiego dworu. Budziła mój czysty, milczący podziw, ale to nie była panienka z mojej półki. Poznałem ją później w stowarzyszeniu dziennikarzy, gdzie jako ta piękność bywała dopraszana do towarzystwa dla ozdoby i w ogóle się nie odzywała, co jest dziwnym rzeczy początkiem, zważywszy na to, że potem na sobie skupiała uwagę wszystkich swoimi opowieściami, wdziękiem i inteligencją. A wtedy robiła wrażenie, że otoczenie w ogóle jej nie interesuje, była jakaś wyniosła, nieobecna. Może dlatego, że wówczas jeszcze nie piła, a tam się zaczynało wcześnie, już do obiadu zamawiało się ćwiartkę na łeb.

Kiedy Osiecka stała się towarzyskim centrum?

To działo się z wolna. W bardzo wąskim środowisku była ceniona za teksty piosenek dla STS-u. „Kochankowie z ulicy Kamiennej”, „Okularnicy” to były przeboje środowiskowe, jeszcze naród ich nie znał i nie śpiewał. Dopiero „Małgośka” wykonywana przez Marylę Rodowicz poniosła ją ku większej karierze.

Lubił pan ją?

Na początku bardzo. Miała niezwykłą cechę, mianowicie każdego wysłuchiwała z życzliwością i każdy nie wiadomo kiedy zwierzał się jej z najbardziej intymnych swoich spraw. Uwodziła tym, niekoniecznie w sensie erotycznym. Była intensywna w obcowaniu z ludźmi. Miała przez to niezliczone grono przyjaciół, którzy traktowali ją jako doradcę, spowiednika niemal. Nawet ja, nieskłonny do zwierzeń, po chwili rozmowy z nią czułem, jak cała jest nastawiona na wysłuchanie opowieści o moich

problemach, skupiona nie na sobie, a na mnie. O nikim nie mówiła źle, każdego starała się dowartościować. W tym towarzystwie, gdzie rywalizacja budziła duże napięcia między ludźmi, intrygi, ona zdawała się być aniołem. Potrafiła niezwykle barwnie opowiadać, miało się wrażenie, że każdą historyjkę starannie przygotowuje, wręcz reżyseruje, żeby słuchaczy nie znudzić. W jej opowieściach wszystko miało swoje właściwe miejsce – spostrzeżenia, kulminacja, puenta. Wokół niej wytwarzała się atmosfera radości życia i zabawy. Szczególnie w parze z Rodowicz, która wtedy była bardzo fajna, naturalnie życzliwa, obcowanie z nią było przyjemnością. Obie z Osiecką potrafiły bawić się na całego. Pamiętam, jak przypadkiem spotkaliśmy się w Bułgarii, byłem tam na wczasach, zaprosiłem obie panie na lunch, jakbyśmy dziś to nazwali. Wywiązała się szalona zabawa, postanowiliśmy urządzić bal w knajpie na statku niby-pirackim. Jechaliśmy otwartym powozem, ludzie na deptaku pozdrawiali Rodowicz, która była tam szalenie popularna, nazywali ją „polską bułeczką”. Obie panie miały jakieś fantazyjne stroje, wciąż gotowe były na różne draki. Co wieczór to tak funkcjonowało. W knajpianej orkiestrze grał polski flecista. Nad ranem on kończył pracę, a myśmy kończyli picie, wchodził do morza i grał na flecie, wyłaniając się z wody. Takie były nastroje w tych czasach zwanych ponurymi. Zresztą czuliśmy swobodę jeszcze z tego powodu, że nam, cudzoziemcom, wolno było tańczyć do jakichś zachodnich kawałków, a Bułgarzy mieli zakaz. Służby ich wyłapywały i sprowadzały z parkietu. Nie na tym koniec absurdów naszych bułgarskich wakacji. Otóż flecista mieszkał w pokoiku z oficerem ich bezpieki, który chodził od stolika do stolika i wycinał gościom ich papierowe profile, co było przykrywką do podsłuchiwania. Wracał w nocy do ich wspólnego pokoju i chwytał się za głowę, że nie ma co napisać w raportach, bo wszyscy gadają tylko o opalaniu się albo jedzeniu. Nasz flecista wymyślał mu więc, że jakaś tam Niemka narzekała, że herbata w Bułgarii jest ohydna i takie tam głupoty. To nas ogromnie bawiło, sami zaczęliśmy podrzucać jakieś bzdurne opowieści dla wycinacza serwetek.

Moje kontakty z Osiecką miały różne fazy intensywności, stały się bardzo częste, gdy została żoną mojego przyjaciela Daniela Passenta. Byłem przy narodzinach tego związku. Spotkałem ją u niego na jakimś przyjęciu. Wychodziliśmy razem, Passent ją odprowadził do domu. On nie ma w zwyczaju odprowadzania gości, więc dało to mnie i reszcie

towarzystwa do myślenia. Potem już wszyscy wiedzą, że są parą, tylko Passent uważa, że nikt nie wie. Pewnego dnia zaprosił mnie na obiad w najelegantszym wówczas miejscu, czyli do restauracji w wieżowcu Intraco, i tam uroczyście oznajmił, że rozchodzi się z żoną i schodzi z Osiecką. Bardzo się stropił, jak mu powiedziałem, że o jego romansie z Osiecką wie całe miasto. Zamieszkali w Falenicy za Warszawą. Wkrótce urodziło się im dziecko, Passent oszalał na punkcie Agatki, a Osiecka nie potrafiła być klasyczną matką. Przenieśli się do domu na Żoliborz, zaczęły się nocne pijaństwa, przychodziły tabuny amantów, bo była gęsto romansowa. To nie było życie dla mieszczańskiego Passenta, osoby bardzo uporządkowanej.

Marek Hłasko. *W latach 60. dość intensywnie przyjaźniliśmy się. Hłasko uważał, że jego obowiązkiem jest nieustanny popis wobec otoczenia. Jak więc przychodził do Kameralnej, wiedział, że musi dać show. Zawsze miał obmyślony jakiś inny. Raz jadł kieliszki, chrupał, połykał. Innym razem udawał bardziej pijanego, niż był, chodził z kwiatem i bił nim kobiety po twarzy. Byłem pod jego urokiem, ale po jakimś czasie to stawało się męczące.*

Ale ja też już miewałem dość Osieckiej, bo w miarę jak coraz więcej piła, zatracała talent do opowieści i przez kilka godzin powtarzała w kółko jedno zdanie. W niczym już nie była ciekawa, stała się tylko męcząca. Chociaż ten jej alkoholizm miał różne okresy. Piła, piła, ale też solidnie pracowała. Bardzo pilnowała pracy i bardzo serio ją traktowała. To nie była jakaś rozhulana dziewczyna, jak się bawiła, to się bawiła, a jak pracowała, to pracowała. Jak wchodziła w rolę matki, to chciała ją spełniać, tylko każda rola ją po pewnym czasie nudziła. W istocie rzeczy żyła, jak chciała, a żyła bardzo ładnie i umiejętnie, twórczo i wesoło, pijano i trzeźwo. I umarła też na własne życzenie, nie poddając się leczeniu.

W dziejach Osieckiej mam jedno tylko znaczenie i pierwszeństwo. Otóż w felietonie w „Szpilkach” napisałem, że lekceważąco mówi się o niej jako o „tekściarce”, a moim zdaniem to jest wielka poetka i przyjdą czasy, kiedy zostanie zapomniany Staff, Tuwim, których nikt nie będzie czytać, a zostanie Osiecka. Bo ona naprawdę wzrusza, nie Miłosz czy Herbert.

Agnieszka Osiecka. *Moje kontakty z Osiecką miały różne fazy intensywności, stały się bardzo częste, gdy została żoną mojego przyjaciela Daniela Passenta. Miała niezwykłą cechę, mianowicie każdego wysłuchiwała z życzliwością i każdy nie wiadomo kiedy zwierzał się jej z najbardziej intymnych swoich spraw. Nawet ja, nieskłonny do zwierzeń, po chwili rozmowy z nią czułem, jak cała jest nastawiona na wysłuchanie opowieści o moich problemach, skupiona nie na sobie, a na mnie.*

Kolejna legenda tamtych lat, czyli Marek Hłasko. Przyjaźniliście się.

Owszem, w latach 60. dość intensywnie. Po jakimś czasie też byłem nim jednak zmęczony, bo Hłasko uważał, że jego obowiązkiem jest nieustanny popis wobec otoczenia. Tak mają niektórzy aktorzy, ale on stosował to w sposób wyolbrzymiony i trochę jednak oderwany od zawodu. Jak więc przychodził do Kameralnej, wiedział, że musi dać show. Zawsze miał obmyślony jakiś inny. Raz jadł kieliszki, chrupał, połykał. To znana sztuka z pokazów cyrkowych, doprowadził ją do perfekcji. Innym razem udawał bardziej pijanego, niż był, chodził z kwiatem i bił nim kobiety po twarzy. Kiedy indziej poderwał jakąś młodą panienkę, urzędniczkę czy sekretarkę ze studia filmowego, uroczą dziewczynę. I wszystkim, którzy się dosiadali do ich stolika, opowiadał, że przeczekają tutaj do rana, a rano wezmą ślub. Ona cała rozanielona, dostała nawet od Marka pierścionek. W pewnym momencie nad ranem Hłasko zaczyna ni stąd, ni zowąd awanturę: „A co ty za jedna, kto cię tu wprowadził, dlaczego tu siedzisz, idź stąd, brzydactwo”. Ona w płacz, efekt szalony. Kolejny wieczór: od drzwi wykrzykuje, że dostał honorarium za książkę, pokazuje wszystkim pliki pieniędzy i zaczyna je rozrzucać.

Jak w „Mistrzu i Małgorzacie”…

Faktycznie, mógł to zerżnąć z Bułhakowa… Przed wyjściem Marek zaczyna oczywiście zbierać te pieniądze i skrupulatnie przeliczać, czy mu się wszystko zgadza. Tak więc wszyscy się świetnie bawią, wiadomo, przyjdzie Hłasko, będą atrakcje. Ale nagle czują się głęboko znudzeni. Poza tym Hłasko robił popisy nie tylko typu show. Na przykład nocami wydzwaniał do Matwina, był taki młody sekretarz KC, budził go, ostentacyjnie mówił mu po imieniu: „Władek, no i kiedy ja to mieszkanie dostanę. Mam je mieć i dopilnuj tego, bo będę co noc cię budził”. To był popis dla tych, co go odprowadzali do domu. Miał wewnętrzny przymus koncentrowania na sobie uwagi.

Za dużo tego było. Najpierw cała warszawka zachwycała się: „Ach, jakiż on ma wdzięk”, a potem już mówiono tylko: „Kabotyn”. Przez jakiś czas byłem pod dużym wpływem jego uroku, ale irytowały mnie jego drobnomieszczańskie również pozy. Jak chociażby ukrywanie szalonego

romansu z ówczesną pięknością Hanią Golde, mężatką, matką dwójki dzieci. Cała Warszawa huczała o tym. Hłasko pojechał z nią do Kazimierza nad Wisłą. To było wydarzenie na miarę tych, jakie teraz się odnotowuje w kolorowych magazynach. O niczym innym się nie mówi. Oni dają jakieś pokazy liryczne w Domu Dziennikarza w Kazimierzu. Potem wracają i Marek umawia się ze mną w Kameralnej. Odgrywa takie przedstawienie: siedzimy, wchodzi Hania Golde, on i ona udają wielkie zaskoczenie, że się dawno nie widzieli, że niby się przypadkowo spotkali. Komiczne.

Ale Marka autentycznie lubiłem w przeciwieństwie do innego bywalca tych samych knajp, czyli Iredyńskiego, którego zresztą nigdy trzeźwego nie widziałem. Pewnego dnia wróciłem w nocy z terenu i żony, chodzi o pierwszą żonę, nie było w domu. Poszedłem do Bristolu, zastałem ją tam z Iredyńskim. Dołączyłem do towarzystwa. Kiedy zabierałem żonę do domu, Iredyński zapytał, czy może do nas wpaść i zabrać swoją szczoteczkę do zębów. Od razu znielubiłem jego i po trosze żonę. Potem w tymże Bristolu byłem z moim kolegą szkolnym. I zdarzyła się rzecz, której w życiu nie widziałem. Siedzieliśmy przy stoliku, rozmawialiśmy, nagle Iredyński bez żadnego wstępu, bez żadnej różnicy zdań podszedł i uderzył mojego kolegę w twarz tak mocno, że ten poleciał z krzesłem na ziemię. Iredyńskiego wyprowadzili szatniarze, a ja miałem go ostatecznie dość. On miał skłonność do gwałtowności i czerpał z tego przyjemność. Dlatego, kiedy powstawał list w obronie Iredyńskiego oskarżonego o gwałt, nie podpisałem. Nie miałem przekonania, że jest niewinny. A poza tym ziałem do niego oczywistą niechęcią rogacza i człowieka, który nie lubi awantur i rękoczynów.

Jadwiga Staniszkis, jego wieloletnia partnerka, twierdzi, że była to prowokacja SB.

Wtedy nie mówiło się o spisku SB, tylko że to skutek wściekłości ojca dziewczyny, pułkownika żandarmerii, który wykorzystuje swoje koneksje, żeby zrobić sprawę o gwałt. Jak się zrobiła z tego sprawa karna, Gomułka z tą swoją pruderią zaczął dyskontować to politycznie. Ja to uważam za objaw ówczesnej kołtunerii władzy.

Pana drugą żoną była Karyna Andrzejewska, wcześniej synowa Jerzego Andrzejewskiego.

Andrzejewskiego poznałem dużo wcześniej, przy barze w Kameralnej. Przesiadywał tam godzinami. Tak samo jak Hłasko, musiał mieć publiczność. Łyska okularami, rozmawia z kolegami literatami, nadstawia się ucha, bo to fascynujące – kogoś wydali, nie wydali, nagrodzili, nie nagrodzili. Wtedy Andrzejewski tworzył wokół siebie wrażenie jednego z czołowych pisarzy świata, Nobel to tylko kwestia czasu. Zresztą było troje pisarzy, dla których co roku było oczywiste, że zostaną laureatami – on, Dąbrowska i Iwaszkiewicz.

Z Andrzejewskim mam pewne dramatyczne wspomnienie. Otóż zanim jego synowa stała się moją żoną, na skutek skomplikowanego łańcuszka romansów najpierw poznaję jego córkę Agnieszkę. Ona ma męża, który jest jednocześnie kochankiem Andrzejewskiego. Kiedyś pisarz zaprasza mnie do domu, każe oczywiście po drodze kupić wódkę. Zaczyna się niewinnie, słuchamy nowego koncertu Pendereckiego poświęconego ofiarom Hiroszimy, wszystko w takim sosie kulturalnego salonu. Andrzejewski szybko się upił i wtedy jego córka mówi, że chce natychmiast uciec z domu, bo nie może już wytrzymać starego. Wówczas Andrzejewski ocknął się, zaczął mnie atakować, że wyprowadzam mu rodzinę z domu, córce dał w twarz. Wyciągam ją stamtąd, żeby uchronić od bicia, mąż jest rozdarty między nią a Andrzejewskim, zostaje w domu. Wychodzimy i na tym moja znajomość z Andrzejewskim się skończyła.

Powoli robi nam się historia polskiej literatury alkoholików…

No, mój Boże, nie spotykałem przecież nigdy trzeźwego pisarza. Nie budzi to mojego oburzenia, co najwyżej znudzenie. Do kolekcji barwnych alkoholików dorzuciłbym jeszcze Himilsbacha. On był samą wesołością, dochodziła do tego malownicza chrypka. Świetny gawędziarz, zarówno żartobliwy w czynach, jak i opowieściach, wyobraźnię miał bujną, a nieskomplikowaną. Poznałem go jako młodego poetę robotnika w „Po prostu”, przynosił wiersze. Potem kręcił się koło siostrzyczek w Laskach, miał tam utrzymanie. Śmiał się, że wobec tego jest katolikiem, ale nie aż takim, żeby zamieszkać w Laskach i prowadzić tam cnotliwe życie. Po zagraniu w „Rejsie” stają się parą towarzyską z Maklakiewiczem

i codziennie piją w SPATiF-ie. A Himilsbach oprócz tego, że został gwiazdą filmową, pisze ładne, bezpretensjonalne opowiadania. Nie jest to wielka literatura, ale przynajmniej nie jest to mizdrząca się literatura, jaką uprawiali nagminnie nasi literaci. No, ale coraz więcej pije i jest coraz mniej komunikatywny. Rano go spotykałem przed PAX-em żebrzącego: „Daj dychę”. Łączył żebractwo uliczne z gwiazdorstwem filmowym i to nie była poza.

Przyjaźnił się ze starą pijaczką, zresztą w pewnym okresie moją sąsiadką, która nocami sprzedawała kwiaty przed Bristolem. Było w zwyczaju, wychodząc, za drobne w kieszeni kupować od niej bukieciki. Ona w zamian opowiadała różne cuda. A to, że dostała złoty pierścionek od Cyrankiewicza, z którym żyła w Oświęcimiu. A to, że była kochanką Wieniawy-Długoszowskiego, no bo wiadomo, przed wojną należało do dobrego tonu być jego kochanką. Himilsbach jak wychodził z Bristolu w czasach, kiedy jeszcze go tam wpuszczali, brał od niej te kwiaty i sprzedawał je za nią, robiąc istny spektakl na ulicy.

On miał urok nieodparty. Kiedyś idę z matką staruszką ulicą, spotykamy Himilsbacha. „Jaką śliczną lalunię masz, Jurek, ja bym chętnie…” i tu pada dosadne, co by chętnie z nią zrobił. Ja przerażony, zawstydzony, że jakiś obdarty pijaczek jest ze mną na „ty” i chrypi tym swoim głosem tak nieprzyzwoicie. Ale patrzę, moja matka aż rumiana ze szczęścia, cała w pląsach unosi się niemal nad ziemią. Unikałem z Himilsbachem częstszych kontaktów, bo stronię od pijaków, ale dziesięć minut z nim wytrzymywałem z dużą przyjemnością.

Nieskończonym żartownisiem był mój przyjaciel Andrzej Berkowicz. Wracał kiedyś nad ranem z balangi. Zobaczył wieniec leżący pod murem z napisem typu: „Tu się mieścił Sztab Gwardii Ludowej”. Myśli sobie: wezmę kwiatek dla żony. Przytargał wieniec do domu, rzucił na żonę, która spała spokojnie w łóżku. Obudziła się i wpadła w rozpacz, że zaraz przyjdą ją aresztować. Wobec tego kazał jej wstać i schował wieniec w tapczanie. Ona na to, nadal w nerwach, że przecież przez całe mieszkanie ciągnie się strużka igliwia, a na pewno zaraz wpadnie milicja. Pozamiatała, wyjrzała na schody, też igliwie. O czwartej nad ranem zaczęła zamiatać schody, potem rynek Nowego Miasta, gdzie mieszkali, bo tam też było igliwie. Kiedy wróciła, łkając, do domu, już było rano. Berkowicz, widząc szlochającą żonę, wziął wieniec, zaniósł z powrotem pod tablicę. Tam już

stały warty honorowe, złożył wieniec, oddali mu wszelkie saluty i wrócił do domu. Ten mój przyjaciel, z którym byliśmy nierozłączni, po 1968 r. wyemigrował do Szwecji i rozpoczął współpracę z Wolną Europą. Polska SB rozpuściła wśród emigracji wieść, że Berkowicz jest jej agentem. Potem Jan Nowak-Jeziorański publicznie go przepraszał.

W pewnym momencie pana krąg towarzyski rozrasta się o przyjaciół z „Polityki”. Z kim pan się przyjaźni?

Z Rakowskim, Fikusem, Passentem, Radgowskim, Wróblewskim. Plątanina służbowych i towarzyskich stosunków. Przyjaźnimy się naprawdę, nie ma wśród nas rywalizacji, niechęci. Łączy nas też niewątpliwie wysoki status zawodowy i materialny. W latach 70. staliśmy się niemal półburżujami. Już mieliśmy samochody, urządzone mieszkania, dobrze zarabialiśmy. Niektórzy budowali sobie dacze, jak Fikus czy Wróblewski. Młodzieńczość zamieniła się w stabilizację, dostatnią jak na ówczesne czasy. Rakowski to było wręcz panisko. Jego ówczesna żona Wanda Wiłkomirska kupiła mu zachodni samochód, miał kłopoty, jak zajeżdżał nim pod KC. Życie towarzyskie nie jest już życiem taboru cygańskiego jak w „Po prostu”, gdzie wszyscy siedzimy i pijemy do nocy, a żony czekają w domu. Tu nie pijamy w redakcji, tylko po domach i grupami. Gdy rozstałem się z pierwszą żoną, wynająłem pokój u studentki szkoły teatralnej. Miałem więc wolną chatę bez żadnej kobiety, która by mówiła, że czas spać. Pamiętam prywatkę u mnie, kiedy pojawili się koledzy z „Polityki” – Rakowski, Fikus, Iłowiecki i wesołe artystki – Dałkowska, Kępińska, Wrzesińska. Panie przyszły w wieczorowych sukniach z jakiegoś bankietu i rano postanowiły lecieć samolotem, tak jak stały, do Wrocławia, bo tam w zoo jest podobno biała małpa. Innym razem Fikus miał wolną chatę, zaprosił towarzystwo redakcyjne i sprowadził panienki. Miała być orgia. Panienki usiadły, my też i tak siedzieliśmy, męcząc się, bez żadnej ochoty, żeby się do którejkolwiek dobierać. Raz więc jest impreza u mnie, innym razem u Fikusa, czasem u Anki Kowalskiej, która była jego dziewczyną.

Z Fikusem później wasze drogi rozeszły się mocno politycznie.

Ale na końcu się zeszły, przed jego śmiercią. Ostatnie nasze spotkanie odbyło się w moim domu, kiedy on siedział w szpitalu w Konstancinie, ciężko już chory na serce. Przychodził do nas spacerkiem. Lekarze nie pozwalali mu pić, ale oczywiście piliśmy tęgo. Odbyła się liryczna rozmowa pod hasłem „Jurek, co było, to było, puśćmy to wszystko w niepamięć". A ponieważ obaj mieliśmy co puszczać, więc żeśmy puścili. To był bardzo ciepły człowiek, zawsze w pełnej gotowości do pomocy i bardzo fajny towarzysz zabaw. Po roku 1989 został naczelnym redaktorem „Rzeczpospolitej". Istnieje nagroda dla dziennikarzy jego imienia.

Pana przyjaźń z Passentem nieprzerwanie trwa do dziś.

Mamy wspólnotę lektur, wspólnotę wspomnień. To szalenie lojalny, koleżeński, sympatyczny człowiek. Jako jedyny w naszej zaprzyjaźnionej grupie nie był mistrzem picia wódki. Od zawsze poważny, elegancki, rozważny. Doskonale go charakteryzuje pewne wydarzenie z młodości. Jedziemy na sylwestra na Mazury w jakimś większym gronie. Siedzimy, ostro pijemy, on oczywiście ledwo, ledwo. Gdzieś o dziesiątej wieczór mówi: „Słuchajcie, północ to jest rzecz umowna, wypijmy już tego szampana i chodźmy spać". Ale to człowiek z wielkim poczuciem humoru, zjadliwie dowcipny. Oprócz wspaniałych felietonów pisał znakomite teksty kabaretowe. A była to epoka kilku wybitnych kabaretów. Cała firma poza mną była spleciona uściskiem miłości z STS-em, tam się skupiało życie towarzyskie „Polityki" podczas bankietów po premierach. Ja im podpadłem jeszcze w latach 50., kiedy wykpiłem w „Po prostu" ich song, w którym refren brzmiał: „Towarzysze, czy w waszej krwi nie za mało czerwonych ciałek". Napisałem, że wręcz przeciwnie, za dużo i to powinno ich martwić. Nie darowali mi tego, mimo że ich atakowałem z prawa. To towarzystwo było rozpieszczone do cna, bo nimi się tylko zachwycano. Nawet „Trybuna Ludu" ich nie krytykowała, najwyżej ignorowała. Wobec tego jak znalazł się ten jedyny w historii, który o nich źle napisał, zapamiętali mu to po wsze czasy.

Daniel Passent. *Przyjaźnimy się do dziś. Mamy wspólnotę lektur, wspólnotę wspomnień. To szalenie lojalny, koleżeński, sympatyczny człowiek. Wybitny felietonista. Gdy Gomułka wyrzucił mnie z „Polityki”, bolesne to było dla mnie również z tej przyczyny, że akurat, po raz pierwszy i ostatni, wygrałem z Passentem w ankiecie czytelników na najpopularniejszego autora „Polityki”. Wynik już się nie ukazał na łamach.*

Pan też pisuje teksty do kabaretów, chociażby do Pietrzaka.

Niezbyt udane, tu znów Passent bił mnie talentem na głowę. Ale towarzysko związałem się z jego kabaretem, zresztą Pietrzak był wtedy uroczym, rozrywkowym i bystrym facetem. Tam pewnego wieczoru usłyszałem piosenkę „Żeby Polska była Polską". Byłem zdumiony tak jawnym podlizywaniem się władzy, a Pietrzak mówi: „Wiesz, to dla cenzury, żeby był jakiś konstruktywny akcent na końcu programu". Takie oto były okoliczności powstania późniejszego hymnu „Solidarności".

Polskie kabarety to było odrębne zjawisko w całym obozie socjalistycznym. Pamiętam, jak kiedyś obwoziłem po Polsce jakiegoś redaktora naczelnego z Bułgarii. To był wyjątkowo kwadratowy typ. W Krakowie zaprowadziłem go do Piwnicy pod Baranami. Nie wiem, ile zrozumiał z programu, w każdym razie złożył pisemny donos do polskiego KC, że dokonałem prowokacji, prowadząc go w podejrzane miejsce, gdzie się wyśmiewają z władzy.

Rakowski też się z wami bawił?

Rakowski to była wyższa klasa towarzyska. On z nami pił, ale pił też w rejonach nam niedostępnych, artystycznych i politycznych. Ale ja miałem z nim więcej do czynienia w czasie imprez towarzyskich niż w samej redakcji, gdzie specjalnie nie przesiadywał.

Jakim był kompanem?

Dla mnie symboliczne zdarzenie towarzyskie z Rakowskim to był sylwester redakcyjny w jakiejś wynajętej chałupie na wsi, gdzie wszyscy spaliśmy na słomie. Rakowski przyjechał do tej chałupy z sylwestra z KC w smokingu i w koszuli z koronkowym żabotem jak lord. Wskoczył na stół i przemówił z okazji nowego roku do swojego stada. A potem spał w wieczorowym stroju pokotem na sianie.

Cechował się mocnym łbem, nigdy nie był pijany. Prowadził wyjątkowo bogate życie uczuciowe. Pamiętam awanturę, jaką mi zrobił, gdy nad ranem przejeżdżałem taksówką z aktorką Barbarą Wrzesińską i pod domem, w którym mieszkał z Wiłkomirską, aktorka zaczęła z miłości wielkiej krzyczeć: „Mietek, Mietek!". Rakowski mocno miał mi to za złe,

sądząc, że to moja złośliwość, a nie uczucie Wrzesińskiej. Jego romansowe życie było głośne w całej Warszawie. Miało to różne konsekwencje, również i takie, że przypisywano mu zdobycze z naddatkiem. To już późniejsza historia, z czasów, gdy był premierem. Cały naród huczał, że Hanna Banaszak ma romans z Rakowskim. Wreszcie przychodzi do mnie i mówi: „Jurek, jak wygląda ta cała Banaszak?". Załatwiłem kasetę z jakiegoś jej koncertu i obejrzeliśmy razem. Niezła, uznał, i połechtało to jego próżność. Zadzwonił do niej, mając pewnie zamiar nadać plotce kształt realny. Usłyszał po drugiej stronie telefonu jęki, że zapewne on te plotki sam rozsiewa, a dla niej, artystki, to potwarz przeogromna, bo środowisko uznało to za romans z reżimem. Rakowski się obraził, jemu się wydawało, że plotki o ich związku powinny być dla niej reklamą, a nie powodem do pretensji.

Był zarozumiały?

Nie, w żadnej mierze. Raczej narcystyczny. Kiedyś na prima aprilis zrobiłem mu dowcip. Wcześniej byłem w stadninie koni w Janowie i ukradłem stamtąd firmowy blankiet. Napisałem na nim uroczysty list do Rakowskiego, podszywając się pod dyrekcję stadniny, że ich czołowa klacz została nazwana Polityką i on jest zaproszony wraz z rodziną na chrzciny klaczy. Wieczorem piliśmy wódkę u mnie i każdy opowiadał, jakie komu zrobił dziś dowcipy. Rakowski w pewnym momencie mówi z całą powagą o liście i informuje nas, że jedzie do stadniny. Wystraszyłem się, że faktycznie tam się pojawi, więc przyznałem się do dowcipu. Najpierw nie chciał uwierzyć, a potem mnie sklął, że zrobiłem z niego publicznie naiwniaka. Później też ulegał takim impresyjnym zdarzeniom. Kiedyś, a było to już po ’89 roku, opowiada mi taką historię: „Popatrz, Jurek, ja to mam poparcie. Byłem na targu na Polnej, obległy mnie przekupki i mówią: »Panie premierze, jakby pan rządził, toby nas nie wyrzucali z tych bud, za pana czasów znacznie lepiej się żyło«".

Jeździł pan do słynnej leśniczówki Rakowskiego?

Tak. Dramatycznie kompromitująca była moja rola w pewnej wycieczce. Mianowicie Rakowski urządzał tam sylwestra, zaprosił mnóstwo gości. Była zima stulecia. Mieliśmy wszyscy jechać samochodami

w południe. Poproszono mnie, żebym poczekał, bo żona Fikusa nie zdążyła ugotować bigosu, a ja go miałem zawieźć. Czekałem więc, aż Fikusowa ze swoimi pomocnicami uwarzy ten bigos, zrobiło się ciemno. Zrezygnowałem z wyjazdu. Wystraszyłem się ciemności i zimy. Miałem skodę i wizja, że samochód się zepsuje, a psuł się często, i zostanę sam z bigosem w jakiejś głuszy, napawała mnie strachem silniejszym niż wyobrażenie, że towarzystwo zostanie bez strawy. Cały sylwester był nieudany. Ja nie przywiozłem żarcia, wódkę wystawili na balkon, wszystkie butelki popękały od mrozu, a rano żaden z licznych samochodów nie zapalił.

Patrząc na swój zespół, Rakowski mówił, że przedziwne zoo Bóg stworzył z ludzi. Wybitną i tajemniczą osobą był Zygmunt Szeliga. Niepijący alkoholik. Nie wiadomo było, gdzie i z kim mieszka. Miewał więcej niż jedną rodzinę i nikt z nas nie wiedział, ile ma dzieci i gdzie. Na korytarzu redakcji czekały na niego zawsze grupy petentów. Niektórzy przychodzili niemal codziennie. Nikt nie wiedział, kto to i po co. Kiedyś byłem z Szeligą w Krakowie. W pustawej sali restauracji Hotelu Francuskiego siedział przy stoliku niedaleko nas facet i nie odrywał od nas wzroku. Przysłał nam butelkę koniaku. Okazało się, że to bohater artykułu Szeligi. Był skazany na 12 lat za rzekomy przekręt gospodarczy, a po artykule Szeligi sąd go uniewinnił. Jeździł nazajutrz za nami po Krakowie – jak wyjaśnił – w nadziei, że będzie mógł w czymś pomóc. „Polityka” to było mocarstwo, jedyne tak wesołe.

Grupowa przyjaźń sitwy z „Polityki” zaczęła się rozpadać z mojej winy, ale nie z powodu bigosu. Do dorocznej nagrody „Drożdże” zaproponowałem dyrektora generalnego TVP Janusza Rolickiego, patrona znakomitych programów kulturalnych. Michał Radgowski sprzeciwił się dawaniu nagród dygnitarzom, a kiedy został przegłosowany, ustąpił z funkcji zastępcy naczelnego redaktora, w codziennej praktyce szefa naszego pisma. Później nadeszły inne podziały.

Dlaczego nie w opozycji

Zatrzymajmy się chwilę na pańskich wyborach politycznych. Słuchając pana opowieści, czytając pana teksty, mam wrażenie, że był pan modelowym materiałem na opozycjonistę. Duży temperament polityczny, rewizjonista, kontestator – droga typowa dla późniejszych dysydentów, jak chociażby Kuroń czy Modzelewski. Tak jak oni, chodził pan na spotkania Klubu Krzywego Koła. Co sprawiło zatem, że w pewnym momencie stanęliście po dwóch wrogich sobie stronach?

Wie pani, ja do dziś nie potrafię sobie do końca tego wytłumaczyć. Jest parę okoliczności, które mogę zracjonalizować, ale już moment, kiedy w czasach „Solidarności” wchodzę w szeregi władzy, z którą przecież nie łączą mnie uczucia miłości ani nawet przyjaźni, zresztą z wzajemnością, jest dla mnie dziś zamglony i zdaje się, że w tym przypadku rolę odegrały przede wszystkim emocje antysolidarnościowe.

Ale na długo przed powstaniem „Solidarności”, chociażby za Gomułki, było wiele momentów, kiedy mógł pan wybrać drogę opozycyjną.

Po zamknięciu „Po prostu” działały różne czynniki. Czynnik polityczny, polegający na poczuciu samotności społecznej. To znaczy, że coś wzięło i umarło. Byliśmy przywódcami fali politycznej. Ta fala nas niosła, mieliśmy wielką popularność. Następnie nas zamknięto, młodzież wyszła na ulice i czuliśmy się jeszcze ważniejsi. Cała światowa prasa o nas pisała. Potem nastąpiła cisza i pustka. Miałem poczucie, że pomyliliśmy się, bo mieliśmy bardzo przejściowe zaplecze społeczne, że tego zaplecza już nie ma. Jednym słowem, że Gomułka wygrał, ponieważ te zmiany, które on zaprowadził, są dla większości ludzi wystarczające, satysfakcjonujące, że idee demokratyzacji i szczegółowe pomysły, jakie myśmy proponowali, to był socjalizm utopijny. Realnie za tym już nikt nie stoi. Przecięte zostały wszystkie więzy, jakie istniały w ’56 i ’57 roku. Została tylko grupa byłych ludzi „Po prostu”, którzy się zbierali w mieszkaniach, pili wódkę i dyskutowali w duchu opozycyjnym. I zobaczyłem, że to jest coś, czego

całe życie nie lubię, mianowicie kombatanctwo. Że rozmawiamy o tym, czy należało wtedy robić tak, czy owak. Czy w tym artykule miał rację ten, czy tamten, który z nim polemizował. Czy powiaty powinny być samodzielne, czy nie powinny. Zobaczyłem jałowość tego ględzenia, bo to wszystko było nieaktualne. W szybkim czasie przestałem w tym uczestniczyć, bo mnie te rozrachunki nudziły. Część z nich potem przez całe życie pielęgnowała martwy status byłych poprościaków. Ja nie mam skłonności do chodzenia z głową wstecz. Nadal utrzymywałem z nimi serdeczne koleżeńskie stosunki, ale, może intuicyjnie, czułem, że oni przestają uczestniczyć w realnym życiu, bo stają się typową grupą kombatancką, która nawet jak się lokuje w jakimś miejscu, każdy z osobna, bo trzeba gdzieś pracować, to ma status byłych redaktorów „Po prostu”, gdziekolwiek byli, czy w nauce, czy w redakcjach. I tak rzeczywiście to trwało aż do ’90 roku. Nikt nie zrobił żadnej kariery, poza wyjątkami typu Ambroziewicz, Namiotkiewicz w KC, a w opozycji Olszewski. Są tylko byłymi poprościakami. Życie zmarnowane. Co pewien czas, przy jakichś przełomach historycznych przychodzili do mnie z wiarą, że może się uda wznowić „Po prostu”, na przykład w ’71 roku. Od razu odmówiłem. Kolejny raz, w latach 80., jak byłem rzecznikiem rządu, też próbowali wskrzesić pismo. Powiedziałem, że owszem, ale powinni to robić studenci, w ramach młodzieżowej kontestacji, tak jak robiliśmy to my, a nie panowie i panie w wieku podeszłym. Nie rozumieli. Wznowili „Po prostu” chyba w ’90 roku, jak już każdy mógł założyć gazetę. I w kilka miesięcy się przewrócili. Mieli wielkie pretensje, że nikt tego nie chce finansować. Powinni mieć pretensje do siebie, że nikt tego nie chce kupować.

Drugi powód był taki, że skoro mam zakaz pracy, to przez pryzmat swojej osobistej sytuacji nie będę oceniał sytuacji ogólnej. Jednym słowem nie będę opozycją tylko dlatego, że mi dają w dupę. Honor mi na to nie pozwala i trzeba zajmować postawę – nie publicznie, bo nie miałem ku temu audytorium – ale towarzysko, krytycznego, lecz generalnie zwolennika władzy. Bo bardziej mi w takim kostiumie do twarzy. Tak sobie przynajmniej tę decyzję perfumowałem.

Zniechęcały mnie też do opozycji takie sytuacje, jak ta z początku lat 60., kiedy moi koledzy Jan Józef Lipski i Paweł Jasienica zapraszają mnie do kawiarni na Uniwersytecie Warszawskim i pytają, czy bym nie podpisał kondolencji dla profesor Ossowskiej – umarł właśnie jej mąż

Stanisław Ossowski. Oczywiście, bardzo chętnie, znałem Ossowskiego, do pani Ossowskiej chodziłem na wykłady. Podsuwają mi tekst kondolencji, a tam jest napisane, że walczył o wolność w Polsce, niestety przegraną wskutek reżimu gomułkowskiego. Jednym słowem, pod pozorem kondolencji jest to tekst polityczny. Nie wypada się wycofać, a nie bardzo chcę się podpisywać pod ich manifestem politycznym. Podpisuję, ale wychodzę wściekły, bo to typowe wrabianie. Widzę, że przyklejają się do mnie jak do swego, bo jestem bez pracy. I byłbym pewnie zapisany do opozycji bez własnej zgody, gdyby te kondolencje poszły do Wolnej Europy. Ale tak się nie stało, więc mi się upiekło.

Czyli jednak zwyczajny strach też miał znaczenie.

Owszem, i to niebagatelne. Nie miałem mieszkania, pracy, musiałem jakoś utrzymywać rodzinę i chciałem, żeby władza mi odpuściła, żeby niezależnie od moich prywatnych poglądów móc normalnie funkcjonować. To nie były lata 80., kiedy albo się pracowało, albo było w opozycji, a opozycja nie znaczyła od razu materialnego upadku egzystencji.

Proszę nie zapominać, że mówimy jeszcze o czasach zupełnie odmiennych od końcówki lat 70., nie mówiąc już o latach 80. Wówczas opozycja była słabiutka, dopiero potem zaczęto w tamtych latach upatrywać jej narodzin. Ja tego tak nie postrzegam. Nie istniało środowisko, do którego mógłbym przystać. A Krzywe Koło to nie była grupa opozycyjna, to była grupa dyskusyjna, gdzie odbywały się ciekawe i swobodne rozmowy inteligentów. Klub nie miał ambicji i możliwości działania typowej opozycji. Gdy uczestnicy dyskusji się rozchodzili, to nic się nie działo poza organizowaniem następnego spotkania.

O czym dyskutowaliście?

Każdy tydzień to był inny temat. Gadaliśmy i o gospodarce, i o historii, i o zachowaniach społecznych, mechanizmach. Pamiętam szalenie ciekawą dyskusję o granicach kolaboracji. Chodziło o kolaborację w czasach niemieckich. Przyszli też ci, co strzelali z ramienia AK i opowiadali, jak likwidowali kolaborantów, a pierwszym z nich był szef wywiadu angielskiego w okupowanej Warszawie. Przychodzili tam naukowcy, którzy z Krzywym Kołem nie mieli na stałe do czynienia, ale

mieli coś ciekawego do powiedzenia. Moja koleżanka miała na przykład referat o obyczajowych i socjalnych okolicznościach bytowania w hotelach robotniczych. Kotarbiński miał prelekcję związaną z jego postrzeganiem stosunków między ludźmi i porządku społecznego. Jednym słowem, spotkania w Klubie Krzywego Koła to nie były wykłady budowane wedle jakiegoś programu, jak podczas późniejszych latających uniwersytetów, ale chaotycznie wybierane, ciekawe zagadnienia, swobodnie prezentowane. Salon intelektualny, powiedzielibyśmy dzisiaj. A władzę denerwowały bardziej poszczególne tematy niż sama instytucja. W każdym razie, o ile te spotkania sprzyjały myśleniu, zdobywaniu wiedzy, o tyle nie były, jak dziś się określa po katolicku, formacyjne.

Ale to spośród uczestników tych spotkań wyłoniła się później rzeczywista opozycja – Jan Józef Lipski, Karol Modzelewski, Jacek Kuroń, Adam Michnik.

Ale wtedy to jeszcze nie była opozycyjna grupa zespolona szczegółowymi poglądami, tylko przypadkowi ludzie zespoleni swobodą myślenia. Nie lekceważę znaczenia takich ośrodków, ale to nie była spójna grupa. Przychodził, kto chciał. A Michnik był wtedy dzieckiem niemal, licealistą. Przychodził dosłownie w krótkich spodenkach. Najpierw nie chcieli go wpuszczać, że za młody, potem zachwycili się, że taki inteligentny uczeń. Ale na pewne zebrania, gdzie były poruszane drastyczne kwestie, nie mógł wejść.

W Marcu ’68 macie już wspólnego wroga. Dlaczego pan do nich nie przystał?

Ja wtedy czułem się wiernym żołnierzem „Polityki” walczącej z moczarowcami. Czułem się w jakimś sensie opozycją razem z całą redakcją. Byliśmy sekowani, niszczeni. Wydawało nam się, że za chwilę nas rozgonią – i to całkowicie zaspokajało emocje, jednocześnie dawało poczucie solidarności zespołowej, niezbędne w każdej działalności politycznej. Nie musiałem więc szukać innego otoczenia. Już wcześniej Kuronia i Modzelewskiego z ich Listem do partii uznawaliśmy za socjalistycznych utopistów, w przeciwieństwie do nas, pragmatyków reformatorów. Myśmy popierali prywatną inicjatywę w jej kłopotach

z władzą, a ich taka sfera nie interesowała. To była inna szkoła myślenia, inne środowisko, chociaż towarzysko powiązane. A wyraźny podział na dysydentów i reżimowców nastąpił dopiero w latach 80. Przecież ja znałem wszystkich w tym mieście. Bywało się w różnych knajpach i na różnych premierach, gdzie wszyscy się ze sobą spotykali. Pamiętam jakiś bankiet u syna ministra Nieszporka, gdzie podszedłem do tańczącego Michnika i przepowiadałem mu, że zostanie kiedyś premierem. Pokraśniał z dumy, chociaż przecież nie przewidywałem mu premierostwa na uchodźstwie. Załatwiłem mu współpracę z „Życiem Gospodarczym", pisał tam jakieś teksty pod pseudonimem, żeby dostać parę groszy. Znałem Mazowieckiego, który przychodził jeszcze do „Po prostu". W domu Anki Kowalskiej, narzeczonej Fikusa, odbywały się nasiadówki pijacko-dyskusyjne. Później przychodziła do mnie do „Polityki" Jadwiga Staniszkis z jakimiś tekstami. Tak samo Korwin-Mikke, od czasu do czasu drukowałem mu felietony. Agnieszka Osiecka, z którą w czasie związku z Passentem miałem częsty kontakt, jeździła do Giedroycia, była jakoś tam powiązana z opozycją. Paryska „Kultura" przedrukowała mój reportaż napisany wspólnie z Fikusem o prowokacyjnej roli SB w wywołaniu strajków w Szczecinie w '70 roku. Opowiadam to wszystko, żeby pani pokazać, że środowiskowo wszystko się przenika jeszcze bez wyraźnych granic. A mój status jest taki, że z jednej strony nie należę do opozycji, z drugiej nie mam prawa awansować w redakcji, występować w telewizji, chodzić na konferencje prasowe do Gierka, gdzie zapraszano kilkuset dziennikarzy. Byłem tolerowanym, ale nielubianym przez aparat partyjny, niepoważnym, nieprzewidywalnym, niedającym się zaksięgować dziennikarzem. W pewnym momencie powstał problem w „Polityce" z obsadzeniem funkcji sekretarza redakcji. Nikt tego nie chciał wziąć, bo to paskudna robota. Podjąłem się na zasadzie łaski. I wtedy Rakowski przyszedł z KC z wiadomością, że to niemożliwe, bezpartyjny Żyd nie może być sekretarzem redakcji. Potraktowałem to jako coś zupełnie normalnego, tak jakby pani ktoś nagle powiedział, że pani nie może być księdzem. Jasne, że pani nie może być księdzem, dla mnie tak samo stało się jasne, że faktycznie nie mogę być sekretarzem redakcji w tym systemie. A obalać go nie zamierzałem, zresztą nawet KOR takiego zamiaru wówczas nie miał, a trudno mi było traktować poważnie KPN Moczulskiego, bo świetnie pamiętałem go jako obrzydliwie moczarowskiego dziennikarza „Stolicy",

nie mówiąc już o tym, że jego kanapowa wówczas partyjka odstręczała swoim nacjonalizmem.

Opowiada pan o bezkonfliktowym współistnieniu towarzyskim z ludźmi opozycji. Skąd się zatem wzięła pana wrogość do „Solidarności”? Przecież pan i pana koledzy z „Polityki” chcieliście poszerzać, delikatnie, ale jednak, sferę wolności, również wolności słowa – „Solidarność” też. Widzieliście, że panoszy się aparat partyjny; słynny tekst Rakowskiego „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny” był tak samo odważny jak postulat „S”, żeby o stanowiskach przesądzały kwalifikacje, a nie przynależność partyjna. Widział pan, że Gierek to kolejna porażka, że gospodarcza katastrofa jest nieunikniona.

No właśnie, i dlatego przeraził mnie radykalizm ekonomiczny „Solidarności”. Ale po kolei, bo to nie był jeden moment, tylko pewien cykl wydarzeń. Pierwsza moja reakcja była korzystna dla „Solidarności”. Napisałem list do Rakowskiego, który siedział jak zwykle na Mazurach, że znowu się ruszyło i bardzo dobrze, bo bez takich zdarzeń nic się w Polsce nie zmienia. Następnie, co ważniejsze, napisałem artykuł odnoszący się do strajków, w którym była teza: żądania polityczne – tak, żądania ekonomiczno-społeczne – nie, bo doprowadzą kraj do ruiny. Wezwano mnie do KC i ówczesny kierownik biura prasy, historia nie zanotowała jego nazwiska, ja też już nie pamiętam, w każdym razie prostak i idiota, powiedział, że nie mogą tekstu puścić w takiej postaci, że wykreślą poparcie dla żądań politycznych, a zostawią krytykę postulatów ekonomicznych. Popełniłem błąd i zamiast wycofać cały artykuł, zgodziłem się, żeby poszedł w połowicznej, dla władzy wygodnej formie.

Dlaczego się pan ugiął?

Znów nie doceniłem chwili.

W „Polityce” nie widać jakiejś szczególnej niechęci do „Solidarności”. Niektóre teksty wskazują wręcz na fascynację ruchem społecznym na taką skalę.

Bo w redakcji trwa wówczas swobodna dyskusja na temat strajków. Aż wreszcie wraca mój przyjaciel Andrzej Wróblewski ze Stoczni

i fantastycznie parodiuje Wałęsę jako rozwalonego w fotelu watażkę, kretyna. Pycha, arogancja, tupet – tak go odgrywa. Poznaję więc najpierw Wałęsę z brawurowo nakreślonej karykatury, bo jeszcze telewizja go nie pokazywała. Osobiście poznaję Mariana Jurczyka, wówczas numer dwa w „Solidarności”, który przyjeżdża z dwoma kolegami ze Szczecina do Warszawy, siedzimy całą noc w domu Passenta. Zrobił na mnie straszne wrażenie, bezczelny, rozgdakany, bez pojęcia o czymkolwiek.

Na dodatek zacząłem ze zdumieniem obserwować, jak moi starzy koledzy, z którymi w przyjaźni i jedności myślowej i politycznej przez lata pracowałem, zaczynają być jacyś oszołomieni, jacyś rozgorączkowani, jacyś buntujący się, jakaś mgła zasnuwa im oczy. Tworzy się klimat dla mnie nie do zniesienia, oświadczam więc, że przestaję być ich szefem. Większość osób z mojego działu sprzyja „Solidarności”, więc nie mogę ciągnąć wozu, który jedzie w drugą stronę. Szok w zespole, Krallówna ze Skalskim i innymi piszą list, żebym został, ja im odpisuję, że nie, bo chcą, żebym został tylko dlatego, że ich nie gonię do pracy, a nagły przypływ pryncypialności moralnej, solidarnościowych uniesień skutkuje błogim lenistwem. Zaczynam szukać pracy przez Rakowskiego. Rakowski próbuje mnie ulokować w „Dzienniku Telewizyjnym” jako kierownika redakcji publicystyki. Nie godzi się na to KC. Co prawda piszę krótkie komentarze polityczne, oczywiście nie pod nazwiskiem, czyta je lektor, nie wolno nawet podawać mojego nazwiska w liście płac.

Równocześnie obserwuję narastającą gorączkę społeczeństwa, rozdygotanie. W tej atmosferze piszę list do Kani, wtedy pierwszego sekretarza partii, z moim projektem autorskim „Wyjście z kryzysu”. Proponuję stworzenie rządu chadecko-komunistycznego, porozumienie się z episkopatem i wzięcie „Znaku”, „Więzi” i tych środowisk do rządu, z ludźmi typu Mazowiecki, a z drugiej strony reformatorsko zorientowanej części działaczy partyjnych. W ten sposób chciałem osłabić impet „Solidarności”.

Kania potraktował poważnie pana propozycję?

Jak najbardziej. Spotkał się ze mną dwa razy tego samego dnia. Najpierw rano, rozwijam ten pomysł, dyskutujemy, on mówi, że nierealne, ale rozważa, musi przemyśleć, spotkajmy się drugi raz wieczorem.

Wieczorem już jest zdrowo podpity, proponuje mi, żebym z nim pojechał do niego do domu dalej dyskutować. Wymówiłem się, to było dla niego coś niesamowitego, żebym nie chciał jechać do pierwszego sekretarza do domu. To tak jakby powiedzmy Jan Paweł II zapraszał kogoś na obiad, a on na to, że dziękuje, ale nie ma dziś apetytu.

Wciąż pan jeszcze pracuje w „Polityce”.

Ale jestem tam w politycznym konflikcie, źle się tam czuję, obco, jako niepotrzebny. Gdy więc Rakowski zostaje wicepremierem u Jaruzelskiego, z chęcią przystaję na propozycję, żebym został jego społecznym doradcą. Co jakiś czas zbieraliśmy się i prowadzili dyskusje polityczne. To nie miało żadnej egzekutywy, żadnej struktury, Rakowski po prostu słuchał ludzi, których uważał za sensownych. Był tam Toeplitz, Górnicki, profesor Wiatr.

Jako taki nieformalny doradca uczestniczyłem w rozmowach z „Solidarnością” i Wałęsą i myślę, że ta rozmowa i otoczenie, w jakiej się odbywała, ostatecznie przesądziła o mojej trwałej niechęci do „Solidarności”. Zobaczyłem przed sobą nadętą marionetkę, zresztą do dziś Wałęsa ma ten sam rodzaj nadymania się. Siedział przy nim Celiński, wówczas sekretarz „Solidarności”, i co chwila mówił mu coś do ucha. Nie pamiętam już szczegółów negocjacji, ale to był czas ważnych ustaleń, i ilekroć Wałęsa miał zabrać głos, zwracał głowę do Celińskiego, Celiński mu coś szeptał albo kiwał głową, zezwalając na odpowiedź. Miałem też jedyny moment w życiu, że spędziłem z Wałęsą całą godzinę sam na sam. Rakowski, który prowadził negocjacje ze strony rządu, poszedł do Jaruzelskiego z projektem porozumienia i poprosił, żebym w tym czasie zabawiał Wałęsę w jego gabinecie, dodając, że tam stoi butelka whisky. No więc ja go zabawiałem, trwało to aż godzinę, bo Jaruzelski strasznie powoli wszystko czytał.

O czym rozmawialiście?

Nic nie pamiętam, ja mam w ogóle problem z zabawianiem ludzi, nie mam talentu do rozmawiania o niczym. W każdym razie to nie były znaczące rozmowy, tyle że przez godzinę z nim obcowałem. Wysączył butelkę, ja markowałem. On w ogóle mocno pił, ale miał też mocną głowę.

Potem z tym był problem, bo podczas internowania w Arłamowie wypijał nieskończone ilości szampana. Nawet rozważaliśmy, czy ogłosić publicznie te ilości, zresztą tego szampana piło z nim całe otoczenie, łącznie ze strażnikami i Biurem Ochrony Rządu.

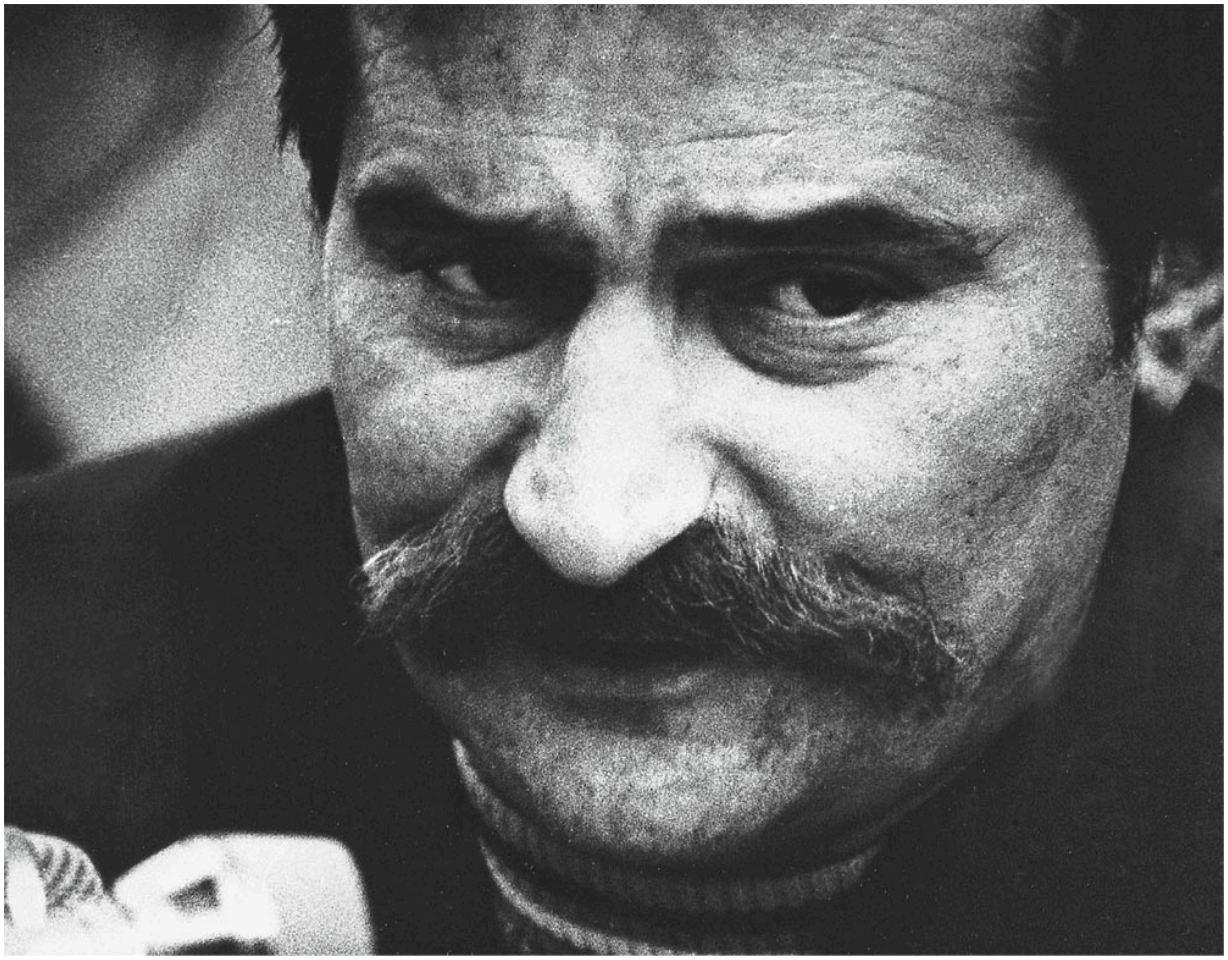

Lech Wałęsa. *Jako nieformalny doradca rządu Jaruzelskiego uczestniczyłem w rozmowach z „Solidarnością” i Wałęsą. Myślę, że ta rozmowa i atmosfera, w jakiej się odbywała, ostatecznie przesądziła o mojej trwałej niechęci do „Solidarności”. Sądziłem, że nastąpi wewnętrzny wybuch, wojna domowa, a Wałęsa już nad niczym nie panuje.*

Gdzie się odbywała ta rozmowa?

W Urzędzie Rady Ministrów, tu, gdzie teraz urzęduje Tusk. Ale wtedy nawet nie Wałęsa zrobił na mnie szczególne wrażenie, ile korytarze urzędu, po których kręciła się liczna delegacja „Solidarności”. To był gorący czas, przez kilka dni milicja blokowała rondo przed „Solidarnością”, która szła na KC. Po korytarzu urzędu biegały łączniczki z komunikatami dla delegacji „Solidarności”, która rozmawiała z nami. One były ubrane w jakieś zielone dresy ściśnięte paskiem, miały chlebaki i biało-czerwone opaski, jak w powstaniu warszawskim. Razem z blokadą ronda zbudowało to wszystko u mnie wizję jakiegoś kolejnego krwawego powstania, które zaraz wybuchnie. I to powodowało moją, jak to wówczas sobie określiłem, emocjonalną wrogość.

Ale czy to jest aż tak silne, żeby niezależny dziennikarz, którym był pan przez lata, przechodził na drugą stronę? Żeby inteligent wchodził w buty tego całego pezetpeerowskiego świata, z którego pan tak pięknie szydził?

Ta władza, która zmieniła się w lutym ’81 roku, kiedy Jaruzelski został premierem, a Rakowski wicepremierem, zaczęła głosić zamiary werbalnie zbieżne z tym, czego myśmy w „Polityce” chcieli, czyli głęboką modernizację kraju.

Ile razy można się nabierać z pana doświadczeniem? Gomułka też chciał zmieniać, Gierek też. I wszystko werbalnie też pięknie brzmiało.

No dobrze, to powiem tak: zawsze byłem odsuwany, a teraz oto władza ze mną wpierw rozmawia na najwyższym szczeblu, potem sadowi mnie w jednym ze swoich mateczników jako doradcę, gdzie zbliżam się do jej problemów. Całe życie zajmowałem się tylko polityką jako kibic, a tu rodzi się szansa uczestnictwa. A na dodatek po prostu szukam pracy, nie mam żadnych propozycji. I to nie jest tak, że jestem aż taki niezależny, ani tak, że przechodzę do realnej władzy. Mam pełnić funkcję, która nie ma żadnego znaczenia – moi poprzednicy na stanowisku rzecznika rządu byli nikim. Mam więc dostać imponujący tytuł wiceministra, ale zajmować się redagowaniem komunikatów z rządu, które są pisane drętwym językiem.

Taka jest propozycja Jaruzelskiego i tylko takie są oczekiwania. Nie jestem więc oszołomiony tym, że wkraczam do władzy, tylko zadowolony, że dostaję nieźle płatną posadę z sekretarką i samochodem.

Władza nad kierowcą i sekretarką tym bardziej wydaje mi się słabym powodem, żeby przechodzić na drugą stronę.

Proszę pani, sekretarki tak się wstydziłem, że przez długi czas jej w ogóle nie używałem, nie wiedziałem, jak powiedzieć, żeby mnie z kimś telefonicznie połączyła. Sam wykręcałem numery, ja, który dziś z domu nigdy nie dzwonię, tylko czekam, aż pójdę do redakcji i tam mnie połączą. Dopiero później staję się kimś w procesie funkcjonowania władzy, ale to nie jest ten moment.

A czy kiedykolwiek wcześniej przyszło panu do głowy, żeby zrezygnować z dziennikarstwa i robić karierę polityczną?

Nie, bo wcześniej nie odczuwałem takiej niechęci i wrogości do zachowań społecznych.

Jakie znaczenie miało dla pana to, że szefem rządu został Jaruzelski?

Personalnie żadne. Osobiście go nie znałem. Nie lubiłem wojska i na tym się zamyka mój stosunek do Jaruzelskiego w tamtym momencie, nie mam wrażenia, że idę do niego na służbę. Tylko że to wszystko należy widzieć w pewnej ewolucji, bo inaczej nasza rozmowa będzie obarczona błędem nieustannego niezrozumienia. Wracam więc do początkowego momentu, kiedy odczuwam zadowolenie, że doszło do kolejnego buntu robotników, bo jest to prawdziwy motor postępów w Polsce. Do tego dochodzi przekonanie, że my w „Polityce” mamy rację, bo ewolucja tego ustroju jest możliwa, bo istnieje periodyczna zmiana władzy na lepszą pod naciskiem mas. To jest sinusoida, ale wznosząca się – Gomułka lepszy niż Bierut, Gierek lepszy niż Gomułka. Jaruzelski jest w takim razie następcą Gierka, który mocą ewolucji historycznej jest lepszy niż Gierek. Dlatego, jak już pani mówiłem, „Solidarność” powitałem w pierwszym odruchu jako kolejny bunt robotniczy, który da impuls do zmiany. Następnie przyjrzałem się ludziom „Solidarności”, programom, zdarzeniom i doszedłem do wniosku, że niezależne związki zawodowe dobrze zmieniają system

polityczny w Polsce, łącznie ze złamaniem monopolu partii, że nawet Kania jako pierwszy sekretarz i premier, którego nazwiska nie pamiętam…

…Pińkowski. Nikt nie pamięta tego nazwiska…

…ani nazwiska, ani twarzy, są dowodem na to, że coś się ruszyło. I przychodzi mi do głowy taka myśl, że ta dziewięcio- czy, niech wam już będzie, dziesięciomilionowa „Solidarność" wzięła się w jakimś stopniu z tygodnika „Polityka", z roli, jaką odgrywał wśród inteligencji, z całego klimatu lat 70., w którego tworzeniu inną rolę spełniała opozycja, a inną kolaboranci. Ale spełniali. Opozycja była dzwonkiem alarmowym i pobudzała wyobraźnię, że nie tak powinno być, a myśmy prowadzili pracę od podstaw, forsując pewne tendencje w aparacie władzy i wychowując nowe pokolenia szeroko pojętego aparatu władzy, czyli inteligencję. Dziesięciomilionowy ruch nie bierze się z niczego, jeśli jest czas pokojowy. Gdyby było powstanie, wojna, to wtedy znaczna część narodu dokonuje zrywu. Ale żeby kilka milionów ludzi miało dość tego, co jest, i chciało zmiany, musiały działać jakieś długofalowe czynniki, bo latem '80 roku nie zdarzyło się w Polsce nic tak tragicznego ani wstrząsającego, żeby dziesięć milionów ludzi w ciągu kilku miesięcy stanęło na nogi. Bo jednak podwyżka cen nie mogła wywołać takiego politycznego efektu.

Ale potem zobaczyłem, że ten związek zawodowy jest czymś innym niż masy protestujące w '56 czy '76 roku. Antyradzieckość niebezpieczna, nacjonalizm paskudny, populizm ziejący, klerykalizm. Że tworzy się i rozrasta druga władza, która wprowadza groźny tok zdarzeń dla kraju. Która nie sprzyja stabilizacji na jakimś innym, lepszym poziomie, tylko jest siłą obalającą socjalistyczne państwo z jego pomysłami reform. Jednym słowem, że jest to zaczątek kontrrewolucji.

Ale w postulatach „Solidarności" nie było mowy o uwolnieniu się od Związku Radzieckiego, nie było żadnych żądań co do zmiany ustroju. To przecież miał być wciąż socjalizm, tylko z „ludzką twarzą", czyli taki, jaki się panu powinien podobać. Doradcy Wałęsy, Mazowiecki czy Geremek byli dalecy od robienia kontrrewolucji.

Tylko że nie zapanowali nad żywiołem, który *de facto* zmierzał do obalenia ustroju, do przejęcia władzy. Sam Wałęsa też nie zapanował. Wie

pani, co powiedział Cioskowi, który przyjechał do niego do Gdańska po wprowadzeniu stanu wojennego? „Jezus Maria, co by to było, gdybyście nie wprowadzili stanu wojennego, ja już nad niczym nie panuję, moi by mnie wyrzucili”.

Ale o tym pan jeszcze nie wie. Ja wciąż staram się uchwycić moment, w którym „Solidarność”, nadzieja dla dziesięciu milionów ludzi, dla pana staje się powodem odwrotnej reakcji, która kończy się kolaboracją z władzą.

Nie ma momentu, jest proces, który postępuje na zewnątrz i równolegle we mnie. Decyduję się na przyjęcie propozycji rządowej w połowie ’81 roku, czyli w momencie, kiedy „Solidarność” była już silnie ulokowana w całym kraju i we wszystkich zakładach, kiedy mnożyła bzdurne żądania natury gospodarczej. Władze zawierały liczne porozumienia z górnikami, rolnikami, które były niewykonalne, bo urzędnicy państwowi bardziej się bali „Solidarności” niż swoich przełożonych. Państwo się rozsypywało. Sądziłem, że nastąpi wewnętrzny wybuch. Miałem wręcz obsesję „pijanego milicjanta”, czyli wyobrażenie, że pijany milicjant na motocyklu przez przypadek zabija dziecko, zbiera się tłum, który idzie zdobywać broń, i tak to się zacznie. Obawiałem się, że na wzór węgierski z ’56 roku rozpocznie się wojna domowa, że „Solidarność” dojrzała do chęci uzbrojenia się. A potem nastąpi umiędzynarodowienie konfliktu i sama Ameryka będzie prosić Związek Radziecki o interwencję. Wiem, zaraz pani mnie spyta, skąd niby „Solidarność” miałaby wziąć broń. Na Węgrzech w ’56 roku tłum w pół godziny rozwalił magazyny broni, przecież u nas podczas zamieszek na Wybrzeżu w ’70 roku pretekstem do decyzji o strzelaniu do ludzi było to, że chcieli się dobrać do magazynu z bronią.

Mam też motywy osobiste, straciłem swoją pozycję w „Polityce”. Jestem niemile widziany w środowisku, nawet przez przyjaciół od dziesiątków lat. Stałem się czarną owcą. Jestem społecznie pchany w tamtą stronę.

Część II.
Akceptacja

Początki

Czy pamięta pan ten dzień, w którym staje się nowym Jerzym Urbanem, urzędnikiem, rzecznikiem rządu w randze ministra?

Pamiętam tylko, jak wkraczam do swojego gabinetu i robi na mnie imponujące wrażenie. Obok miałem mały salonik, w którym przyjmowałem zachodnich dziennikarzy, żeby im powiedzieć coś *off the record*. Tam też ucinałem sobie drzemki po obiedzie, jako że urzędnik państwowy ma zaburzone życie siedzeniem w pracy od rana do wieczora. Spałem na kanapie, a ta kanapa była o tyle znamienna, że kiedyś przyszła do mnie znana amerykańska dziennikarka Flora Lewis, elegancka, z wyższych sfer i kiedy miała usiąść na niej, spojrzała z lekkim obrzydzeniem, wyjęła chusteczkę do nosa, rozłożyła ją i dopiero usiadła. To mnie skłoniło do przyjrzenia się tej kanapce. Rzeczywiście była brudna i wyświechtana. Wymienili ją na nową, skórzaną, żeby zachodni dziennikarze nie gadali o dziadostwie w Urzędzie Rady Ministrów.

W pierwszych dniach urzędowania wysyłam premierowi mój skromny program funkcjonowania jako rzecznik. Nic szczególnego, polemiki z rzecznikiem „Solidarności”, oprawy wystąpień rządowych, bo do tej pory nikt nie brał pod uwagę, że jak premier ma coś ważnego do powiedzenia, to musi to zrobić w takim czasie, żeby zdążyć zmontować materiał do „Dziennika Telewizyjnego”. Dziś oczywistość, wówczas nowość. Zaproponowałem też, że jeśli do Polski przyjeżdża zagraniczny dziennikarz, to ja jestem do jego dyspozycji. Że ktoś z naszej strony musi się z nim spotkać, bo inaczej siedzi w hotelu albo dopada go ktoś z opozycji i przedstawia swoją wersję wydarzeń. Wobec tego przyjmowałem różnych palantów i musiałem dostosowywać się w tym, co mówiłem, do mojego wyczucia ich wiedzy. Raz przyjeżdżał niemiecki dziennikarz z doskonałą orientacją, kto jest kim w Biurze Politycznym, kto kogo podgryza i tak dalej, a potem przychodził Hindus i pytał, z kim graniczy Polska. Nieoczekiwanie jeden z punktów programu wywołał sensację. Mianowicie zaproponowałem, że raz na tydzień będę podejmował obiadem jednego

dziennikarza, żeby robić, jak dziś byśmy to nazwali, dobry pijar rządowi. Oni z tego wszystkiego zrozumieli tylko jedno zdanie, że do tych obiadów dla dziennikarzy ma być podany kieliszek zimnej wódki. I to właśnie wywołało wielki szum w całym urzędzie, sam Jaruzelski zacukał się nad tą propozycją, ale podpisał zgodę. Mimo to już po miesiącu kieliszek wódki został zamieniony na kieliszek winiaku po obiedzie do kawy, co bardziej się mieściło w ich pojęciu wytworności. Zresztą tych różnic kulturowych było sporo i zanim się do nich przyzwyczaiłem, minęło trochę czasu.

Po kilku tygodniach urzędowania zorientowałem się, że jednak nie będę robił tego, co zlecił mi Jaruzelski, czyli redagował komunikatów rządowych tak, żeby nie były nudne. Zobaczyłem, że tego robić nie należy, bo one musiały być bardzo precyzyjne, wielokrotnie uzgadniane z odpowiednimi ministrami, i stanowiły sposób komunikowania się z urzędnikami, którzy dowiadywali się, że rząd podjął jakąś decyzję, więc nie było sensu zmieniać tego na jakiś pasjonujący tekst. Nawet chyba nie powiedziałem o tym Jaruzelskiemu, on zdaje się wcześniej zrozumiał, że większy ze mnie będzie miał pożytek jako z gracza politycznego. Jemu zaimponowało to, jak ograłem „Solidarność". To działo się na samym początku sierpnia '81, jak jeszcze byłem tylko doradcą. W nocy skończyliśmy rozmowy z „Solidarnością", nie podpisali wspólnie zredagowanego komunikatu. Oni poszli spać, Rakowski z Cioskiem też zamierzali to zrobić, ja ich jednak przekonałem, że trzeba szybko wydać oświadczenie, że zerwali właśnie rozmowy. I komunikat takiej treści był odczytywany w radiu co godzinę od szóstej rano. Onyszkiewicz to dementował, ale było już za późno.

Po co pan skłamał?

Przerwali rozmowy zakończone niczym. Przełożone czy zerwane to kwestia interpretacji. Chodziło mi o to, żeby zepchnąć „Solidarność" do defensywy. Naród się dowiedział, że rząd chce się dogadać, chce porozumienia, a tu proszę, „Solidarność" zrywa rozmowy. To oczywiście była manipulacja, ale jestem z niej bardzo zadowolony. Rozumowałem wtedy w kategoriach walki propagandowej. Proszę pani, to była wojna, nie mieliśmy aniołów za przeciwników. Ten komunikat miał wielkie znaczenie

dla aparatu partyjnego w całym kraju, dał przynajmniej psychologiczną przewagę, wytrącił z marazmu nieustannie przegrywających ludzi.

Kiedy przychodzi panu do głowy, że Jaruzelski spacyfikuje „Solidarność” siłą nie polityczną, lecz wojskową?

Na razie w ogóle nie przychodzi mi to do głowy. Byłem nieświadom tego, że coś się szykuje. Pamiętam tylko, że kiedyś, tuż przed stanem wojennym, wszedłem do Jaruzelskiego i zastałem tam trzech czy czterech generałów. Widać było po stanie popielniczek i talerzyków, że siedzą już od dawna. Pomyślałem sobie, że coś knują.

A byłem nieświadom niczego, bo, jak się potem okazało, powstała cała sieć dezinformacji, w którą ja też zostałem bez mojej wiedzy wciągnięty. Na przykład w poniedziałek 14 grudnia miałem ponoć prowadzić z Wałęsą rozmowy na temat dostępu „Solidarności” do telewizji, o czym nie wiedział szef telewizji Andrzej Kurz, nie wiedziałem ja, a zapewne wiedział Wałęsa, bo to był element dezinformacji właśnie, uspokojenia, że nic się nie zdarzy, że wszystko toczy się normalnie i trwają rozmowy z „Solidarnością”. I druga historia z tego obszaru. Otóż 14 grudnia z trzydniową wizytą miał przyjechać premier Francji Pierre Mauroy. Moją rolą podczas tej wizyty było wydać przyjęcie dla akredytowanych dziennikarzy. Poszedłem do gen. Janiszewskiego, jako szefa Urzędu Rady Ministrów, z obliczeniem, że to będzie kosztować tyle i tyle. Zawsze było tak, że się projektowało możliwie świetne przyjęcie, a ten, kto decydował, zawsze środki ucinał. Mówił, że nie musi być szampana na wejście, że nie musi być pianistki na żywo. A tu nagle Janiszewski ledwo spojrzał i podpisał. Pomyślałem, że coś z tą wizytą jest dziwnego. Ale nie kojarzyłem tego ze stanem wojennym. Nawet gdybym wiedział, że wprowadzą stan wojenny, to niekoniecznie bym skojarzył, że z tego powodu premier Francji nie przyleci, bo nie miałem pojęcia o ewentualnych rozmaitych konsekwencjach międzynarodowych. Poza tym niełatwo się kojarzy taką rzecz biurową jak koszty przyjęcia z zamachem stanu czy wielkim wydarzeniem politycznym. W końcu mógł machnąć ten podpis, bo może się spodziewał wyższej sumy albo coś innego miał na głowie. To są więc dwie historie o dezinformacji, których nawet ja byłem ofiarą.

Kto się tym zajmował?

Myślę, że sztab stanu wojennego, na pewno Siwicki, Kiszczak i Janiszewski. A z cywilów – nie wiem.

Kiedy zatem pan się dowiedział o stanie wojennym?

Bodaj w środy odbywały się posiedzenia Biura Politycznego. Zawsze pytałem Cioska, co na nich było. Na kilka dni przed 13 grudnia Ciosek mi powiedział, że Kiszczak ostrzegał, że wsadzi każdego członka biura, jeśli zdradzi, o czym mówili. Uznałem, że coś się szykuje. W sobotę 12 grudnia Rakowski mnie poprosił, żebym pojechał do domu i napisał artykuł do poniedziałkowej prasy, tak jakby z soboty na niedzielę coś się miało zmienić. Ale nie powiedział co. Pisałem więc jakiś tekst w duchu, że sytuacja jest na skraju przepaści, nic wyraźnego. Wtedy zadzwonił do domu prywatnie znajomy kapitan Służby Bezpieczeństwa i ostrzegł moją żonę, żebyśmy nie spali w mieszkaniu. Pomyślałem, że albo „Solidarność" szykuje powstanie, albo ktoś szykuje zamach stanu wewnątrz aparatu władzy. W każdym razie wówczas poczułem wyraźnie, że coś się dzieje. Umówiłem się z tym kapitanem na Polnej przy stacji benzynowej. Okazało się, że nic konkretnego nie wie, tylko że skoszarowali ich na noc. On też przypuszczał, że „Solidarność" wykręci coś większego i stąd alarm. Wobec tego uznałem, że jak mnie coś grozi, to tym bardziej Rakowskiemu i zadzwoniłem do niego przez rządowy telefon. Opowiedziałem mu o rozmowie z kapitanem SB. Rakowski na to, żebym natychmiast zadzwonił do Kiszczaka, podał nazwisko tego esbeka, bo trzeba go aresztować. Wtedy zrozumiałem, że to nie „Solidarność" coś szykuje. Nie zadzwoniłem.

Do północy był spokój, aż zadzwonił do mnie Rakowski i kazał przyjeżdżać do pracy. Żony nie budziłem, wsiadłem do samochodu i pojechałem przez zaśnieżone ulice. Nic się nie działo. Puste, ciemne miasto, nie widziałem żadnych czołgów ani milicji. Wchodząc do Urzędu Rady Ministrów, potknąłem się o coś włochatego, co podniosło łeb. Wystraszyłem się. To był ogromny pies milicyjny, który leżał przed wejściem do kancelarii premiera. Urząd był ciemny, nie widać było ani specjalnej ochrony, ani wojska, światło świeciło się tylko w gabinecie Rakowskiego, gdzie siedziałem przez całą noc. Moje zdumienie wywołał

kolega Górnicki, świetny kiedyś dziennikarz, teraz doradca Jaruzelskiego, który pojawił się w mundurze.

Kto mu kazał go założyć?

Nie wiem. On zawsze marzył o mundurze. Był oficerem rezerwy i ku swojemu szczęściu został wtedy powołany do służby czynnej.

Miał broń?

Zapewne tak. Nawet ja miałem z rozdzielnika jako wysoki urzędnik, tylko nie wolno mi było jej nosić. Borowcy dwa razy wozili mnie na strzelnicę, zobaczyli, że to jest beznadziejna sprawa, więc poprosili, żebym dobrze zamknął pistolet, bo jakiś łobuz może mi go wyjąć i mnie zastrzelić. Ale Górnicki takie zabawki lubił.

Wojciech Jaruzelski. *Dla mnie zawsze pozostanie mężem stanu. To człowiek dwóch decyzji. Jedna to wprowadzenie stanu wojennego. Druga to Okrągły Stół. Pięknie zaczął i pięknie skończył.*

Co robicie u Rakowskiego?

Nic ważnego, gadamy dla zabicia czasu, rozważamy międzynarodowe konsekwencje wprowadzenia stanu wojennego, obaj czujemy napięcie, podniecenie, bo to wszystko może źle się skończyć, jeśli „Solidarność" wywoła strajk generalny. Rakowski dzwoni do Jaruzelskiego, generał każe mu dowiedzieć się, co z Wałęsą, który siedzi w Gdańsku i nie chce wsiąść do rządowego samolotu, który ma go przywieźć do Warszawy. Fiszbach, pierwszy sekretarz PZPR w Gdańsku, jest bezradny, Wałęsa nie chce go wpuścić do domu, wściekły Rakowski wrzeszczy do telefonu, żeby jeszcze raz poszli. Potem pojawił się problem, że trzeba odwołać Kongres Kultury, ale Tejchma, minister kultury, nie ma w domu linii rządowej, a telefony nie działają. Trzeba znaleźć kogoś, kto samochodem pojedzie po niego.

Gdzie w tym czasie jest Jaruzelski?

Cały czas siedział w swoim budyneczku połączonym galeryjką z budynkiem rządowym. Wówczas tam generał miał swój gabinet. I cyzelował przemówienie. Panowała kompletna cisza. Kiszczak siedział u siebie na Rakowieckiej. Poza Jaruzelskim, mną, Rakowskim i Górnickim nie było nikogo w urzędzie.

Czy Jaruzelski konsultuje z panem, co ma być w przemówieniu?

Nie. Usłyszałem je jak cały naród dopiero o szóstej rano.

Nie wydawało się panu dziwne, że rzecznik rządu nie uczestniczy w przygotowywaniu bardzo poważnej propagandowej akcji?

Sprawa ma dłuższą historię. Jak zostałem rzecznikiem, to od razu zostałem zaproszony do współpisania przemówień Jaruzelskiego. On cyzelował przez kilka dób szesnaście wersji. Po jednej z takich nasiadówek, gdy nad ranem mnie zapytał, czy lepiej powiedzieć tak, czy siak, powiedziałem mu, że o czwartej rano jest mi zupełnie wszystko jedno. Zrozumiał, że nie chcę brać w tym udziału i od tego czasu nie byłem już zapraszany do szykowania jego przemówień. Ku mojemu zadowoleniu, bo ani nie wierzyłem w znaczenie tych przemówień, ani nie miałem tyle

cierpliwości, ani kultu słowa, żeby w to się bawić. Poza tym byłem odsunięty przez Olszowskiego od organizowania propagandy wokół stanu wojennego. Nie mają do mnie zaufania, jestem w aparacie władzy dopiero trzy miesiące. Obraduje potem sztab prasowy, czyli gremium kilkudziesięciu redaktorów naczelnych głównych gazet, tygodników, środków przekazu. I to się także odbywa beze mnie.

Jak pan oceniał przemówienie Jaruzelskiego?

Nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia, co mówił, bo nie od jego słów zależało, czy zacznie się powstanie, czy będzie spokój. Jak wysłuchałem Jaruzelskiego, pomyślałem, że przede wszystkim muszę odespać noc. Wsiadłem więc rano w samochód i pojechałem do domu. Po drodze, na Nowym Świecie zatrzymał mnie posterunek, złożony z oficera wojska, milicji i cywila. Pokazałem im przepustkę, nie puścili mnie jednak. W końcu mówią: „Panie ministrze, czy nie podwiózłby pan naszego kolegi na Dworzec Gdański?". „Proszę bardzo, niech wsiada". I wtedy wywlekli z bramy jakiegoś kompletnie pijanego oficera wojska i wrzucili mi do samochodu. Zawiozłem, bo przecież nie mogłem zataszczyć go do domu. Wygramolił się z samochodu na dworcu, zaraz go tam dopadł patrol, a ja odjechałem z lekkimi wyrzutami sumienia. Odespałem i wróciłem do pracy.

Jest niedziela, 13 grudnia. Jak wygląda ten dzień od środka władzy, która właśnie wprowadziła stan wojenny?

Nie wiem, bo nie mam kontaktów z całą władzą, tylko z Jaruzelskim, Rakowskim i Cioskiem. Siedzę w gabinecie generała, tam pracują nad listami internowanych, Rakowski bez przerwy interweniuje, żeby dać spokój a to w sprawie Kutza, a to innych artystów i dziennikarzy. Ja też nie widzę sensu w internowaniu artystów i intelektualistów, wydaje mi się to małostkowe. Jesteśmy lekko zdziwieni, że ze względu na bezpieczeństwo państwa internuje się Gierka i jego kolegów. To był taki gest wobec publiczności. Ja i Ciosek proponujemy inne rozwiązanie, mianowicie żeby z powodu stanu wojennego zawiesić i „Solidarność", i partię. Dyskutujemy o tym z Jaruzelskim, on się nie zgadza, mówi, że w tej sytuacji nie można, bo cały świat odbierze to jako zamach wojskowy, a nasi sojusznicy zawieszenie partii potraktują jako przewrót

antysocjalistyczny. Panuje bałagan z listami internowanych, nie wiemy, kto na nich jest, bo ich powstawanie było zdecentralizowane, jakieś wewnętrzne rozgrywki prowadził przy okazji aparat bezpieczeństwa. Korygowane było to później, niektórych wypuszczano po dwóch dniach. Pamiętam, że pojechałem do mieszkania Fikusa, żeby przestał się ukrywać, bo nie ma go na liście. Zapłakana żona Fikusa nie wpuściła mnie do mieszkania jako obrzydliwego przedstawiciela junty.

Czy nie było panu głupio, tak po ludzku, że internowani są pana znajomi, choćby Adam Michnik?

Proszę pani, przecież ja już należałem do tej drużyny, a on był naszym przeciwnikiem politycznym. Nie byłem mu osobiście nieżyczliwy, ale skoro on nas nie oszczędzał, to i ja jego nie oszczędzałem. Gdy siedział, interweniowałem, kiedy chcieli mu zabrać mieszkanie kwaterunkowe pod pretekstem, że ma za duży metraż. Mówiłem, że nawet w stalinizmie nie odbierali aresztowanym mieszkań. Innym razem na posiedzeniu rządu rozmawiano o tym, że ma w celi kolorowy telewizor, co było luksusem, a wystarczyłby mu czarno-biały. To wydało mi się komicznym tematem posiedzenia rządu i im to uświadomiłem.

Jak tego dnia zachowywał się Jaruzelski? Czy był pewien słuszności swojej decyzji?

Napięty, tak jak my wszyscy. Najgorsze przyszło za kilka dni, jak polała się krew w kopalni Wujek. Jaruzelski był wściekły, zasmucony, przygnębiony. Miało być bezkrwawo, a tu tragedia. Wzywał wszystkich z Katowic, kazał badać, jak do tego doszło, ale zrezygnowany mówił mi, że i tak będą podważane wyniki śledztwa. Przez wiele tygodni nie wracał do domu, spał w swoim gabinecie w spartańskich warunkach, pod kocem. Przecież mogło się nie udać, mogła wybuchnąć wojna domowa, nikt nie mógł tego wykluczyć, reakcje społeczne nie są do końca przewidywalne. Dopiero po dwóch tygodniach odetchnęliśmy, bo już widać było, że „Solidarność” nie ma żadnej realnej siły, nie ma oporu społecznego, nie doszło do strajku generalnego.

Dzwonił do Moskwy?

Przy mnie nie, ale zapewne tak, bo za kilka dni przyjechał wyczekiwany przez nas Nikołaj Bajbakow – członek Biura Politycznego KPZR odpowiedzialny za gospodarkę. Chodziło o to, żeby podtrzymać z dnia na dzień jakieś krążenie towarów, żywności. I zapewnić pełne dostawy paliw i surowców, bo miały być radykalnie zmniejszone jako kara za „Solidarność”.

Po południu zwołuje pan konferencję prasową i od tego momentu aż do czasu upadku PRL staje się pan twarzą ekipy Jaruzelskiego. Czy pan przewidział konsekwencje, jakie to przyniesie dla całego pana późniejszego życia?

W najmniejszym stopniu nie, bo w tym jeszcze nie istniał żaden zamysł. Po prostu odcięta była łączność i trzeba było zwołać zagranicznych dziennikarzy obficie w Polsce reprezentowanych, i powiedzieć im, co się właściwie dzieje, przedstawić racje stanu wojennego. Razem z Górnickim przyjechałem do Interpressu, który to organizował. On w mundurze, z marsowym obliczem. Każdy z nas osobno ustalał z Jaruzelskim, co będziemy mówić. Tym, który miał pełnomocnictwa z ramienia sztabu wojennego, był Górnicki jako człowiek mundurowy i wtajemniczony w całą operację. Ja nie byłem wtajemniczony, miałem jechać jako rzecznik rządu, który pokazuje, że rząd funkcjonuje, że władzy nie objęła żadna wojskowa junta. Zaczęła się konferencja i widzę, że Górnickiemu do głowy uderzyła władza, mundur, nienawiść do wroga. Mówi z zaciśniętymi ustami jak sołdat, nie jak do kolegów dziennikarzy, przed którymi mógł się popisać płynną angielszczyzną, nie jak dziennikarz o wybitnej marce, którą przecież miał przez lata, tylko jak zupak. Postanowiłem więc rozmiękczać ten jego sołdacki przekaz. Jak on mówił, że weźmiemy za mordę i będziemy za mordę trzymać, to ja tonowałem, że o tyle, o ile to będzie konieczne i że niedogodności stanu wojennego zlikwidujemy tak szybko, jak się da.

13 grudnia 1981 r. *Pierwsza moja konferencja prasowa. Trzeba było zwołać zagranicznych dziennikarzy i powiedzieć im, co się właściwie dzieje, przedstawić racje stanu wojennego. Występowaliśmy razem z Wiesławem Górnickim. On był wtajemniczony w stan wojenny, ja nie, występowałem jako rzecznik rządu, który pokazuje, że rząd funkcjonuje, że władzy nie objęła żadna wojskowa junta. Od tego momentu konferencje odbywały się co wtorek, nabierając znaczenia w życiu kraju i w życiu władzy.*

Potem okazało się, że następnego i następnego dnia znowu jest potrzeba takiego spotkania, bo napływają różne pytania, więc prawie dzień w dzień tam jeżdżę i wyjaśniam, dementuję, jak choćby plotkę o śmierci Mazowieckiego. Wobec tego z praktycznych przyczyn ogłosiłem raz na zawsze, że będę się spotykać z dziennikarzami we wtorek o 12. Tak więc te konferencje, które nabrały znaczenia w życiu kraju i w życiu władzy, powstały przypadkiem. Nie były przedmiotem debat rządowych, ustanowień, koncepcji, tak jak to zazwyczaj wyglądało w praktyce tego aparatu polityczno-biurokratycznego, gdzie miesiącami kłócono się o szczegóły. Nikogo o nic nie pytałem i tak samo nikogo nie pytając, ustaliłem, że „Rzeczpospolita” będzie drukować pełne zapisy konferencji, a telewizja pokazywać autoryzowane przeze mnie skróty. I tak to szło.

Fascynacja generałem

Jak pan oceniał Jaruzelskiego w latach 70., przed rozpoczęciem pracy dla niego?

Mam o nim jak najgorsze zdanie, ponieważ dla mnie najbardziej pogardzaną częścią establishmentu są wojskowi jako świat najbardziej obcy. Już w SB można było znaleźć ludzi inteligentnych, w partii też bywali różni, ale uważałem, że wojskowi to zwyczajne trepy. Na dodatek Jaruzelski był przedmiotem szyderstw Rakowskiego w latach 70. jako taka kukła, która może godzinami siedzieć na plenach KC, nie ruszając się, bez żadnej mimicznej reakcji, bez żadnego gestu, jak wyciosany z drewna. Tylko że potem Jaruzelski tworzy rząd na nowe czasy, do którego bierze Rakowskiego jako autora artykułu, w którym złożył „Solidarności" ofertę porozumienia, bierze innych liberałów. Ale jeszcze wtedy moja decyzja nie wynika z prywatnego stosunku do generała. Dopiero potem następuje proces zaprzyjaźnienia się i zrozumienia. Trwa to latami.

Kiedy pan poznał Jaruzelskiego osobiście?

W sierpniu 1981 roku. Moje pierwsze z nim spotkanie odbywa się w jego sypialni przy gabinecie, gdzie on sypiał na kanapie. Przyjął mnie w szelkach, spodniach i rannych pantoflach. To była ta noc, kiedy trwały rozmowy z „Solidarnością" i przedstawiłem mu projekt porozumienia. Czytał jak zwykle bardzo powoli, bardzo uważnie. A na mnie wrażenie zrobiły przede wszystkim te kapcie.

Od tego momentu poznaję go coraz bliżej. I czym on mnie podbija? Po pierwsze niesłychaną lojalnością. W rządzie wszyscy się wszystkich boją nawzajem, a ja funkcjonuję w poczuciu bezpieczeństwa, bo jeśli palnę głupstwo, on mnie nie zdezawuuje, najwyżej w prywatnej rozmowie powie, żeby w następnej wypowiedzi coś dodać, coś ująć itd. Niezwykła lojalność, którą odpłacałem. Następna zaleta to wnikliwość. To człowiek, który może godzinami słuchać drugiego człowieka, nawet najgorszego durnia. Ma niezwykłą cierpliwość do ludzi, potrafi z każdego bełkotu wysupłać istotę

rzeczy. Ma imponującą inteligencję w rozumowaniu. Jest przenikliwy. Choć to nie jest człowiek wykształcony. I to się odczuwało. Bardzo chłonął wiedzę, również pozorną, w czym celował Górnicki. On był takim besserwisserem, który wszystko wie – jak się rozmnaża sosna, czego Amerykanie chcą od kogo, jak się wytapia rudę żelaza, jak wygląda konstrukcja poduszkowca, no po prostu wie wszystko. On był oknem na świat Jaruzelskiego i stał się niestety bliskim doradcą generała. Wracając do przymiotów Jaruzelskiego. To jest człowiek o niezwykłym uroku osobistym. Zupełnie inny niż jego publiczny obraz. Pełen humoru, lubi słuchać dowcipów, sam je opowiada, choć przeważnie słabe. Był rozluźnionym, swobodnym człowiekiem, lubił się śmiać takim tłumionym chichocikiem, w przeciwieństwie do rechotu generałów z jego otoczenia. Przez osiem lat jadałem z nimi obiady i to towarzystwo zachowywało się, jakby wciąż siedziało w koszarach. Na przykład kobieta wywoływała w nich takie oślizgłe podniecenie, jakby nie byli dorosłymi mężczyznami, którzy normalnie żyją, mają żony, kochanki. U Jaruzelskiego nie było cienia tej koszarowości. Na dodatek w tym zapijaczonym towarzystwie on był abstynentem. Czasem rodziło to zabawne reakcje, opowiem o jednej. Siedziałem na jakimś jubileuszu „Polityki”. Tam był rządowy telefon, zadzwonił do mnie Jaruzelski. Uprzedzam: „Generale, nie przestraszcie się, bo zaraz usłyszycie strzelaninę, ale to będą strzelać korki od szampana”. A on zafrasował się poważnie i mówi: „Towarzyszu, upilnujcie, żeby się nie popili”. Tłumaczę mu więc: „Generale, w tym momencie cała Polska pije jakieś bimbry i denaturaty, a wy się obawiacie o trzeźwość redaktorów”. „No tak, racja” – zaśmiał się.

Obraz dobrotliwego pana…

Mówię o zaletach, ale o wadach mogę równie długo mówić. Chociażby o nieznośnym nawyku notowania wszystkiego. Tego, co się dowiedział z jakichś meldunków, dokumentów, z rozmów. Wszystko, co go zaciekawiło, zapisywał na kartkach, po czym nieskończenie długo odczytywał te notatki. W kółko to mówił, póki nie napłynęły nowe kartki. Mówił tak, jak zanotował. Brzmiało to składnie, tylko nigdy nie było wiadomo, co on właściwie chciał przekazać, bo zawsze mówił o wielu rzeczach naraz. A to, że gdzieś tam nieobsiane, a to, że Amerykanie coś

powiedzieli, a to, że trzeba protegować innowacje techniczne, bo są tłamszone. Jemu się wydawało, że jak trzy razy powtórzy, że coś trzeba, to z tego powodu to coś się stanie. Powie na posiedzeniu rządu, na posiedzeniu Biura Politycznego, na spotkaniu z robotnikami albo inżynierami i wszystko będzie jasne. Tylko że nikt nie wiedział, co właściwie Jaruzelski powiedział. Dla mnie wstrząsem był udział w posiedzeniach Biura Politycznego. Całe życie sobie wyobrażałem, że to jakiś areopag bogów, tajemna władza najwyższa. Zaczynam uczestniczyć w tych posiedzeniach i widzę ze zdumieniem, że to jakiś klub dyskusyjny, ciągnie się godzinami, nudne jak nieszczęście. Nawet w szczególnych sytuacjach politycznych meritum gdzieś znikało w gadulstwie. Żadne jądro władzy, typowo dekoracyjne ciało. Każdy gada, o czym chce, po czym Jaruzelski dyktuje decyzje. Ale te decyzje *de facto* są tylko jakimiś ogólnymi sformułowaniami. I znów na pytanie, co biuro postanowiło, nie można było odpowiedzieć.

Kolejna wada to brak zrozumienia mechanizmów władzy. Wierzył w polecenia. To jest wojskowa skaza. Chciał postępu, a nic nie rozumiał z mechanizmów postępu. Za postęp polityczny uważał na przykład radę doradczą przy przewodniczącym Rady Państwa z wolnością krytyki, którą powołał. Jej obrady publikowano w jakimś dwutygodniku „Rady Narodowe”. Pisywał tam Bartoszewski i inni tego typu ludzie i Jaruzelski traktował to jako wielki postęp demokracji. A mnie się to wydawało żadnym postępem, jak i sama publikacja w dwutygodniku „Rada Narodowa”.

Generał nie rozumiał, jak skomplikowane są społeczeństwo i aparat władzy. Tego, że sprawienie czegoś wymaga naciskania wielu klawiszy – inżynierii społecznej.

Do wad też należało emocjonalne traktowanie przeciwników i w kraju, i za granicą. Ja bardziej chłodno, jako gracz traktowałem różne wypowiedzi, a on z prawdziwą irytacją. Złościł się na Wałęsę, że teraz mówi to, a jemu mówił coś innego, na dodatek swoim opowiada jeszcze coś innego. Co za, cholera, partner, krętacz, dureń. To samo z Reaganem. Pieklił się, że ten Reagan to bezczelny kłamca i fałszywiec. Aprobował przecież stan wojenny, a później udawał oburzenie. Oczekiwał w polityce prostolinijności, ale tylko od przeciwników.

Jaki był Jaruzelski na posiedzeniach rządu?

Po pierwsze bardzo długo wygłaszał wstępy. Podnosił sprawy nieznośnie drobiazgowe. Wszystko to miało charakter kazania, pouczenia dla konkretnych ministrów, np. że nie można zapowiadać, że cytryny już płyną, skoro cytryny mają przypłynąć dopiero za miesiąc. Ale z uwagą każdego wysłuchiwał i jak ktoś na posiedzeniu rządu pieprzył bez końca, nigdy nie przerywał, tylko wysłuchiwał. Mówiłem już, że miał nieskończoną cierpliwość w wysłuchiwaniu każdych pierdół. Posiedzenia rządu w tamtych czasach to były wielogodzinne nasiadówki, bo wtedy rząd decydował w nieskończonej ilości spraw, nie to co dziś, gdy decyduje o sprawach dużych, np. o kształcie ustawy emerytalnej. Pamiętam przykładowo, jak rząd Jaruzelskiego godzinami debatował nad tym, czy zapłacić za jednego homara, którego nasi rybacy złowili na jakimś łowisku dorszy i amerykańska straż przybrzeżna znalazła go w lodówce. Wlepiła 100 tys. dolarów kary i rząd po dyskusji uznał, że trzeba zapłacić, bo rybak nigdy w życiu nie byłby w stanie zapłacić takiej sumy, a jeśli nie zapłaci, to nam zasekwestrują kuter. Takich spraw było mnóstwo, bo wedle istniejących wówczas kompetencji uruchamianie środków na wszystko wymagało decyzji odpowiedniego szczebla. Były wydatki, co do których decyzje podejmował do pewnej sumy premier, a od pewnej sumy rząd. Trzeba pamiętać, że rząd był właścicielem wszystkiego, był radą nadzorczą kraju, zarządem każdej branży i instytucji, więc tych spraw było niezwykle dużo.

Kreśli pan portret człowieka, który mając po stanie wojennym pełnię władzy, zajmuje się masą niepotrzebnych rzeczy, godzinami wysłuchuje byle durnia, nie rozumie mechanizmów rządzenia. Nic dziwnego, że gospodarka mu się w rękach rozpadła.

Kilka czynników na to się złożyło. Faktycznie, jednym ze skutków stanu wojennego było to, że wzmocnił swoją bazę polityczną, wojskowo-partyjną i aparat państwowy, który w większości reformę aprobował lub potępiał słownie, a w czynach hamował, zazdrosny o zakres swej władzy, która jest przeciw wszystkim reformom. Ale w swych intencjach jest reformatorem. Wie, że jest źle i trzeba to zmienić, ale nie potrafi zmian wdrożyć. Wie, że trzeba popierać reformę gospodarczą, powołuje więc

Bakę, który z zespołem ekonomistów wymyśla mechanizmy reformy. Jaruzelski ich nie rozumie. Dam pani taki przykład – zgadza się, że musi istnieć wolny rynek pracy, ale potem mówi: „Słuchajcie, byłem w zakładach w Opolu czy Olsztynie, stoją tam japońskie automaty kupione za miliony dolarów, stoją nieczynne, bo nie ma ich kto obsługiwać, a przeszkolona w Japonii kobieta sprzedaje kwiaty. No to trzeba coś zrobić, żeby ona przestała sprzedawać kwiaty i zaczęła obsługiwać automaty”. Nie pojmuje, że kobiecie opłaca się bardziej sprzedawać kwiaty i że na tym polega reforma, żeby kierowanie nowoczesnymi urządzeniami w fabryce było bardziej intratne. Premier natomiast chciałby jakoś zarządzić prymat maszyn nad kwiaciarstwem. Inny przykład, czyli brak butów dla dzieci. Zima idzie, a dzieci nasze bose, będzie awantura. No to dajmy niższe podatki na produkcję butów dla dzieci. Tylko że przedsiębiorstwa mają działać zgodnie ze swoim rozumieniem zysku, już nie ma dyrektyw, że mają produkować tyle butów dla dzieci, tyle dla kobiet, tyle dla jednonogich. Działają wedle rachunku ekonomicznego. To samo co planowanie wymusza się przez ulgę podatkową na dziecięce obuwie. Wszystko kuleje, gdy jest trochę rynku, a trochę nie. Jaruzelski tego nie rozumie. To były więc półreformy, bo generał był przyzwyczajony do rozwiązywania konkretnych spraw, a nie systemowych rozwiązań. Zajmował się poza tym kleceniem swojej bazy politycznej. Ma skrajnych konserwatystów, którzy zgadzają się z polityką deklarowania zmian, ale tak naprawdę nie chcą zmian. Jest to grupa, która ma złudne poczucie siły, bo uważa, że po stanie wojennym już wszystkie problemy Polski są rozwiązane. Wcześniej tracili władzę, bojąc się narażać „Solidarności”. Jak „Solidarność” mówiła, że ten wojewoda nam się nie podoba, ten dyrektor nam się nie podoba, ustępowali ze strachu, woleli narazić się centrali partyjnej. Zaczęły się tworzyć takie mechanizmy. Te mechanizmy zostały ku ich uldze przecięte w stanie wojennym. Po stanie wojennym już wiedzieli, że oni znów rządzą. Mamy w garści „Solidarność”, było minęło, wszystko toczy się normalnie. I nie chcieli tej władzy uszczuplać, modernizować, bo to było poza ich horyzontem myślowym, poza ich tradycjami i poza ich interesami. Taka jest mentalność wielkiego aparatu władzy. Do tego wszystkiego Jaruzelski ma w swoim aparacie agentów radzieckich, ma rewizjonistów, liberałów. Różne koterie, mające interesy pozapolityczne. I jest zajęty scalaniem tego do kupy. Modyfikuje kadry

ostrożnie, z przesadną wręcz ostrożnością, jaką objawia w tych rozgrywkach. Takim koronnym przykładem jest wieloletni korowód z pozbywaniem się z Biura Politycznego Albina Siwaka, który latał rządowymi samolotami na spotkania z robotnikami i tam opowiadał, jaki to zgniłek klasowy z Jaruzelskiego. Generał, zamiast go po prostu wylać, bo nie miał żadnej realnej siły politycznej, latami zbierał kwity, ile robotnik Siwak wylatał kilometrów. Dopiero jak uzbierał rachunki, wywalił go. Na dodatek zajmował się, jak to w tradycji tego aparatu, sprawami trzeciorzędnymi. Na przykład żona wiceministra ukradła złotą bransoletę.

I zajmuje się tym sam premier i pierwszy sekretarz partii?

Tak, bo sprawa jest skomplikowana. Z jednej strony mówią, że ona jest kleptomanką. Z drugiej strony to za drogie jak na kleptomanię. W zasadzie wypadałoby wyrzucić tego wiceministra, ale co on jest winien, a na dodatek został wiceministrem ze względu na jakieś rozgrywki z „Solidarnością”. Albo Urban się rozwodzi, będzie chciał drugie mieszkanie. Jak to będzie wyglądało, że Urban dostaje mieszkanie, a ludzie pracy czekają latami. Takie były problemy. Władza, i to każda, jak przypuszczam, może poza prezydentami Stanów Zjednoczonych i poza szczególnymi momentami historycznymi, ma czas zajęty nie wedle ważności spraw, hierarchii doniosłości, tylko działa w rytm takich drobnych zdarzeń.

I co pan tam robi? Mogę zrozumieć motywy przejścia na stronę silnej władzy, która ma pomysł na ratowanie kraju. Jednak w Jaruzelskim, także z pańskiej opowieści, nie ma wielkości. Jest równie niezdarny, jak poprzednicy, z których pan tak mocno szydził. Dlaczego brnie pan w firmowanie słabej władzy?

Bo ten człowiek ma magiczne właściwości i to nie jest magia polityczna, bo on w ogóle nie uwodzi w ten sposób. To jest jakaś magia osobowości. Na przykład moja córka, która zaangażowana była w latach 80. w opozycję, po półgodzinnym spotkaniu z Jaruzelskim uznała, że to cudo. Dotyczy to też pokolenia, które ma podejście apolityczne – córka mojej obecnej żony, która była dzieckiem, jak Jaruzelski oddawał władzę, też jest nim zauroczona.

Nie kwestionuję jego uroku osobistego, ale jego dokonania jako szefa państwa.

Proszę spojrzeć na to szerzej. To był człowiek dwóch decyzji. Jak na dziesięć lat dwie istotne dla przyszłości kraju decyzje to nie jest mało. Jedna decyzja to wprowadzenie stanu wojennego. Druga to Okrągły Stół, mówiąc w skrócie. Pięknie zaczął i pięknie skończył. Pani ma rację, że czas po stanie wojennym był zmarnowany. Potrzebny był silniejszy przywódca, może bardziej autorytarny, który by się nie spóźniał ze wszystkim. Tylko że taki się nie objawił.

Co wielkiego widzi pan w decyzji o stanie wojennym? Chyba każdy inny przywódca PZPR również by go wprowadził?

Proszę sobie przypomnieć realia. Jest luty ’81 roku. Kogo wtedy można było postawić na czele władzy w Polsce? Poprzednikiem generała na stanowisku premiera jest człowiek, którego osoby i nazwiska nikt nie pamięta. Przyjaciel generała, pierwszy sekretarz partii Kania jest tak przeciążony sytuacją, naciskami Związku Radzieckiego, „Solidarności”, że pije reńskie wino od rana do nocy. Z największą radością ustępuje, żeby mieć wreszcie święty spokój. A Jaruzelski ma trzy z czterech instrumentów władzy. Ma zaufanie wojska, Związku Radzieckiego i opanowuje Służbę Bezpieczeństwa. Nie ma tylko zaufania aparatu partyjnego, którego już zresztą do końca nie odzyska. Więc on jest najbardziej predystynowany do objęcia władzy, bo ma najwięcej instrumentów do jej sprawowania. Być może gdyby nie było Jaruzelskiego, ktoś inny by wprowadził stan wojenny, ale zrobił to on i była to decyzja śmiała, ryzykowna, wymagająca ogromnej osobistej odpowiedzialności. Wzięcie na siebie konieczności takiego posunięcia było godne męża stanu. Przecież on nie wiedział, czy to się powiedzie, czy wybuchnie strajk generalny, rewolta publiczna. Udało się, bo Jaruzelski potrafił to tak przeprowadzić. Owszem, były ofiary, ale jak na taką skalę operacji niewielkie. W tamtych czasach zwyczajne manewry wojskowe, jak mówił Jaruzelski, może stronniczo, pociągały za sobą więcej ofiar. Pani strona widzi tylko swoje rany i waszą „Solidarność”, jakbyście byli najważniejsi na świecie. Tymczasem decyzja o stanie wojennym to była decyzja, co robić z państwem, które się rozpada. Czy pozwolić mu się rozpaść, czy wprowadzić stan wojenny, co popierali nie tylko Niemcy

i Francuzi, ale też Amerykanie. Wszyscy się bali interwencji radzieckiej w Polsce i destabilizacji w Europie Wschodniej. Oczywiście Związek Radziecki też tego chciał i brutalnie to wymuszał. Rosjanie obcięli Polsce o jedną trzecią dostawy surowców i paliw, co w połączeniu ze strajkami i innymi skutkami zapaści gospodarczej powodowało dramat, przy którym dzisiejsze dramaty Grecji to pestka. Bo ucięcie jednej trzeciej dostaw to jak wypowiedzenie wojny. Później przyjechał Bajbakow i w nagrodę za stan wojenny przywrócił te dostawy. Sam przy tym byłem.

W 1997 roku ujawniono dokumenty, z których wynika, że Jaruzelski w 1981 roku prosił Związek Radziecki o interwencję. Nie wzbudziło to w panu absmaku?

To nieprawda. To tylko interpretacja zapisków adiutanta Kulikowa. Ja w to nie wierzę. To jest absolutnie nielogiczne. Gdyby chciał interwencji, to by nie robił stanu wojennego. A poza tym opowiadał mi Rakowski, że generał wezwał go kiedyś do siebie i mówi, że jak wkroczą Rosjanie, on sobie palnie w łeb. Tego samego oczekiwał od Rakowskiego. Rzecz jasna, Rakowskiemu ani w głowie było się zastrzelić, on nawet nie był w stanie słownie zadeklarować generałowi, że to zrobi.

Rozmawiał pan z Jaruzelskim na temat prośby o interwencję?

To dla niego byłoby obraźliwe. Nawet gdyby chciał interwencji radzieckiej w momencie, kiedy nie powiódłby się stan wojenny, taką tylko możliwość dopuszczam, to nie przyznałby mi się do tego.

Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z nim szczerze o tamtych latach?

Nie. Między mną a generałem panują wciąż stosunki jak między wyznawcą a guru, poddanym a królem.

Wróćmy do lat 80. Osłaniał pan stan wojenny, bo wierzył pan w jego konieczność. Ale mijają lata. Widzi pan miałką politykę i słaby rząd. Czemu pan nie powiedział: „Dość, wypisuję się z tego interesu”?

Bo władza wciąga. Być blisko osoby, która podejmuje decyzje dotyczące milionów ludzi, bardzo rajcuje. Ja jednak od roku 1986 wiedziałem, że mój udział w rządzie dobiegnie rychło końca. Wiedziałem,

że moje nazwisko stanowi wręcz symbol walki z opozycją. Natomiast wewnątrz struktury władzy działałem na rzecz porozumienia z opozycją i demokratyzacji. Wiedziałem, że ziszczenie się tych dążeń to mój koniec, bo Urban będzie balastem politycznym dla władzy w czasach, które chcę, żeby nadeszły. Miałem nawet upatrzoną na przyszłość posadę i prosiłem, żeby ją dla mnie trzymano.

Wsiąkanie

Jak Jaruzelski oceniał pańskie konferencje?

Na początku był bardzo niezadowolony z tego, jak wyglądam i jak się zachowuję. Że jestem łysy, gruby, a powinienem być wysokim blondynem. Że majtam nogami pod stołem. Że jestem jakiś luzacki i że bawię się długopisem, a nawet papierosem. Jako że jest człowiekiem bardzo delikatnym, więc nie mówił mi tego wprost, ale przekazał przez Rakowskiego prośbę, czy nie mógłbym zrezygnować z tych konferencji i w ogóle pokazywania się w telewizji. Ja to zlekceważyłem, bo poczułem, że właśnie przy tej sztywnej władzy pewne luzactwo i niestosowanie się do norm, jakie przewidywała ówczesna telewizja, to jest moja siła. Po jakimś czasie Jaruzelski to zrozumiał i uznał, że w ogóle się do mnie nie należy wtrącać.

A pan był z siebie zadowolony?

Nie tyle z siebie, ile z roli, jaką sobie stworzyłem. Postanowiłem, że ja będę złym policjantem, a Jaruzelski dobrym. Miałem poczucie, że jestem wojownikiem, że istnieje na tym froncie, w tej armii, do której się zaciągnąłem, podział broni – Jaruzelski mówi słodkie słowa, ja jestem od przywalania. Mnie ta rola odpowiadała, bo lubię przywalać.

Obejrzałam archiwalne nagrania pana konferencji. Jak się je ogląda dziś, kiedy już nie ma tamtych emocji, nie tyle treść pana słów jest dotkliwa, tylko pogarda tonu, który pan używa wobec drugiej strony. Każdą wypowiedź ubiera pan w zimną logikę zwycięzców, którzy pastwią się nad pokonanym, a więc już słabym przeciwnikiem. To nie może budzić respektu.

O trwałej słabości przeciwnika dowiadywaliśmy się nie od razu, to trwało wiele lat. Wiem, że w moich wystąpieniach publicznych bardziej drażniła melodia niż treść. Mówiłem innym językiem, nienależnym

komuchom, bo powinienem mówić sloganami partii, więc ta zmiana językowa była groźniejsza niż sama treść. Tak samo zresztą dla opozycji, jak dla betonu partyjnego. Faktycznie czasem przesoliłem, bo jako funkcjonariusz bezpartyjny swoimi wojowniczymi wypowiedziami starałem się wkupić jako nuworysz, a taki jest zawsze nadgorliwy. Więc te moje wystąpienia były skierowane zarówno do jednej, jak i drugiej strony. Taki balans, bo w gabinetach byłem gołębiem. Publicznie musiałem więc być jastrzębiem, żeby mnie cały system polityczny uznał za swojego, a nie za kolejnego Hieronima Kubiaka, bo tego typu uniwersyteckie mięczaki były znienawidzone. W ten sposób z trudem dorabiałem się akceptacji przez aparat władzy. Wszyscy moi koledzy działali odwrotnie. We własnym gronie żywa nienawiść do opozycji, a na użytek publiczny zagłaskiwanie, żeby się tamtym przypodobać.

Dzięki tym konferencjom mogłem realnie uprawiać politykę. Bardzo dbałem o to, żeby moim bezpośrednim przełożonym był Jaruzelski i tylko z nim ustalałem, albo osobiście, albo telefonicznie, o czym będę mówił. Pilnowałem, żeby nie być zależnym od nikogo innego. Bezpośrednia podległość generałowi wzmocniła moją pozycję w aparacie władzy. Formalnie od ’81 do jesieni ’88 roku byłem rzecznikiem rządu, ale faktycznie moja rola i pozycja się zmieniała od bardzo podrzędnej do jednego z głównych macherów, nie powiem państwa, bo nie miałem wpływu na samo rządzenie, ale miałem wpływ na stosunki pomiędzy władzą a opinią publiczną. Niepisane prawo pozwalało mi wejść w trakcie „Dziennika Telewizyjnego”, przerwać go i odczytać oświadczenie. To było moje gwiazdorskie uprawnienie. Nie podlegałem cenzurze, samo przez się było wiadomo, że za wszystkim, co powiem, stoi Jaruzelski. Jak ganię, dajmy na to, Ministerstwo Handlu Wewnętrznego, że czegoś brak, to minister wiedział, że *de facto* mówi to Jaruzelski. W taki oto sposób moja pozycja w systemie władzy stawała się silna. Tak więc pełniąc tę samą funkcję przez lata, stawałem się coraz ważniejszy, wpływowy, mimo że moje formalne prerogatywy się nie zmieniały.

Pana konferencje w gruncie rzeczy sprowadzają się głównie do ataków na Wolną Europę. Tylko że im częściej dementował pan ich informacje, tym bardziej wzmacniał znaczenie rozgłośni po naszej stronie.

A mnie szlag trafiał na ich kłamstwa, w które bezkrytycznie wierzyliście. Bez przerwy nadawali, że kogoś tam tłukliśmy w areszcie, a akurat nie tłukliśmy, że zamordowaliśmy kolejnego księdza, chociaż prawda jest taka, że zapił się na śmierć.

Bo biliście w aresztach i macie na sumieniu ofiary śmiertelne.

Ale nie w takiej skali, jak to wmawiała Wolna Europa. Gdyby im wierzyć, to wyszłoby, że za naszego reżimu żaden ksiądz nie umarł śmiercią naturalną, tylko został zgładzony przez SB. Dlatego Wolna Europa była moim głównym polemicznym wrogiem. Próbowałem ją załatwić na różne sposoby, przede wszystkim chciałem ją wciągnąć i w ten sposób nas uwiarygodnić. Pierwszy pomysł to był „Dziennik telewizyjny" mojego autorstwa, a dokładnie kontrdziennik. Ten puszczany w telewizji wywoływał we mnie ból zębów, bo był nudną opowieścią przede wszystkim o tym, co robi władza. A ja przygotowałem „Dziennik" o tym, co robią ludzie i co ludzi interesuje. Gdy już wszystko było pięknie nagrane i zmontowane, zaprosiłem na pokaz część Biura Politycznego i rządu. Tylko że zrobiłem rzecz przekraczającą wytrzymałość moich widzów, mianowicie kazałem się połączyć na wizji z dyrektorem Wolnej Europy, żeby skomentował coś tam. On powiedział, że bardzo go cieszą takie cywilizowane stosunki, że nareszcie może się wypowiedzieć oficjalnie. To wzbudziło takie oburzenie, jakbym diabła na mszę świętą przyprowadził. Wygłup, skandal, niedopuszczalne. Na nic moje tłumaczenie, że w ten sposób wybijemy Wolnej Europie kły.

Potem zaproponowałem publicznie, że chciałbym przyjechać do Monachium i odbyć sam jeden dyskusję z całym zespołem Wolnej Europy na tematy obopólnie interesujące. Tego samego dnia odezwał się w Wolnej Europie jej amerykański prezes Gene Pell i oświadczył, że serdecznie zaprasza, że go to bardzo cieszy. Na to zespół polski w Monachium zagroził strajkiem, jeśli ja przekroczę ich święte progi. Zaczęło się gotować między Waszyngtonem a Monachium. Po pewnym czasie Pell odezwał się już niepublicznie, że możemy przeprowadzić dyskusję, ale poza budynkiem radia i z wybranymi przez niego osobami. Odpowiedziałem mu publicznie, że proszę bardzo, spotkam się, kiedy chcą, z kim chcą i gdzie chcą, mimo że zespół polski się mnie boi, a Amerykanie się uginają pod ich wpływem.

Potem zaczęły pojawiać się coraz to nowe warunki z ich strony. W końcu stanęło na tym, że spotka się ze mną tylko Pell i na dodatek tajnie, a po spotkaniu jakiś fragment tej rozmowy nada ewentualnie rozgłośnia Wolnej Europy. Zgodziłem się i na to, zabawa nabierała rumieńców. Wszystko oczywiście publicznie ogłaszałem na konferencjach. W końcu Pell poprosił, że on chce się ze mną układać, ale jeśli przestanę to ogłaszać. Zgodziłem się. Zaproponował, że spotkamy się w cztery oczy, ale poza Monachium. Odpowiedziałem, że mogę się z nim spotkać w każdym mieście świata, które on wyznaczy. Wyznaczył Nowy Jork. Poleciałem. Kiedy nadszedł dzień spotkania, zostałem zawieziony do budynku Forbes Magazine, należącego do rodziny Forbesów. Zaprowadzili mnie do sali konferencyjnej, gdzie za stołem siedziało kilkunastu panów. Powiedzieli, że stanowią jakieś ciało nadzorujące wszystkie amerykańskie rozgłośnie na świecie. Pytam, który z nich jest panem Pellem. Oni na to, że nie będę dyktował stronie amerykańskiej, kto się ze mną ma spotkać. Grzecznie odpowiedziałem, że nie dyktuję niczego, tylko umówiłem się z panem Pellem. Oni mniej grzecznie, że jemu nie wolno rozmawiać ze mną i to nie jest moja sprawa. A właściwie czego ja od nich chcę? Wyciągnąłem swój referat napisany po angielsku i mój tłumacz go przeczytał. Tam były wyłącznie wpadki Wolnej Europy, takie dosyć jaskrawe przykłady, i informacja, że zawsze odmawiano sprostowania. Wysłuchali i powiedzieli, że nie mogą tego wszystkiego sprawdzać, bo nie mają biura w Warszawie. Ja na to, że właśnie im proponuję, żeby założyli biuro w Warszawie. „Nie założymy i żadnych sprostowań nie będzie – odrzekli – bo wy jesteście imperium zła, a my będziemy walczyć z tym imperium wszystkimi środkami, żeby się zawaliło”. Podziękowałem i wyszedłem. Forbes, który był prezydentem tego zgromadzenia, pobiegł za mną i zaczął mnie klepać po plecach, żebym się nie denerwował, że tak tylko mówią. Na osłodę wręczył mi firmowy parasol i krawat. I na tym się skończyło. Nie wiem, czemu strona amerykańska wpadła w jakieś dziwne przerażenie. Czego oni się tak bali, poza tym, że zespół polski straciłby rację bytu i pracę.

To chyba proste. Zobaczyli, że chce ich pan wciągnąć w swoją grę, która nie miała przecież z zasady uczciwych intencji. Chciał się pan nimi bawić, tak jak przy okazji wysyłania śpiworów dla bezdomnych.

Wielka antyamerykańska akcja propagandowa, która miała prawo ich mocno zirytować.

Zapewniam panią, że nie było żadnej wcześniej przygotowanej akcji propagandowej.

Ale sekwencja wydarzeń była taka: najpierw na konferencji zapowiedział pan wysłanie bezdomnym w Nowym Jorku śpiworów. Zaraz potem telewizja nadała długi reportaż, w którym Ameryka została pokazana jako jeden wielki slums.

Może telewizja przygotowała sama reportaż na żądanie wydziału prasy KC, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego. Natomiast śpiwory wymyśliłem sam. Było tak: czytam depeszę, że amerykański Senat po burzliwej debacie, w której piętnowano wszelkie zło, jakie my czynimy, aresztowania, dręczenie, ściganie, postanowił uchwalić dla Polski milion dolarów na pomoc humanitarną. Jednym słowem zafundowali sobie debatę za milion. To było dla mnie groteskowe, przypominam, że wcześniej USA nałożyły na nas sankcje ekonomiczne za wprowadzenie stanu wojennego. Więc w odpowiedzi na taką pomoc proponuję posłać bezdomnym w Nowym Jorku naszą pomoc humanitarną w postaci śpiworów i koców chyba w liczbie dziesięciu tysięcy. Najpierw uzgadniam to z samym Jaruzelskim i czekam na sygnał, że mamy już te koce i śpiwory i mogę je publicznie zaofiarować. Jak już wiedziałem, że są zgromadzone, obwieściłem naszą akcję. Pamiętam, że tak się przy tym śmiałem, że nie można było tego puścić w telewizji i musiałem jeszcze raz na tle tej samej ściany to samo mówić poważnie.

Co pana tak rozśmieszyło?

Z mojego dobrego dowcipu sam się śmiałem.

A społeczeństwo śmiało się z was. Wie pan, jaki powstał zaraz dowcip? „M3 w Warszawie zamienię na śpiwór w Nowym Jorku”. Wmawianie ludziom zmęczonym kolejkami, że Ameryka to kraj nędzy, nie było udaną akcją propagandową.

Ale ja to traktowałem jako event, świetną zabawę, nie jako poważną akcję. A że telewizja równolegle coś tam przygotowała, to nie była moja

sprawa, zapewne robił to wydział propagandy KC. Moja sprawa biegła oddzielnym torem i ten tor był barwny. Organizowałem na przykład wycieczkę zagranicznych dziennikarzy, żeby im pokazać te śpiwory. Burmistrz Nowego Jorku oświadczył zaraz, że nie ma bezdomnych w Nowym Jorku. Zrobiła się straszna awantura, organizacje bezdomnych zażądały dymisji burmistrza i dostarczenia śpiworów. Wtedy ta sprawa stała się głośna w USA. Jako że Stany Zjednoczone dały cła zaporowe, zaczęliśmy negocjować, żeby je zniosły, wszak to pomoc humanitarna i niełądnie tak postępować. Jeszcze jakiś czas pokrzykiwałem, że nie wpuszczają naszych śpiworów, aż sprawa umarła śmiercią naturalną.

Wspomniał pan o spotkaniach z dziennikarzami zachodnimi poza konferencjami i rozmowach off the record. Jakiego rodzaju informacje pan im podrzucał?

Najsłynniejszą z takich operacji był Kukliński. Jak się dowiedziałem o jego ucieczce, zresztą dowiedziałem się późno, dopiero w ’84 roku, bo była to najściślej chroniona tajemnica wojskowa, zacząłem namawiać Jaruzelskiego, żeby to ogłosić. Nadarzała się świetna okazja, żeby wam pokazać, że ta ukochana przez was Ameryka wiedziała, że będzie wprowadzony stan wojenny, i nie uprzedziła swoich przyjaciół z „Solidarności”, trzymała mordę w kubeł, przypuszczalnie uznając stan wojenny za mniejsze zło niż interwencja radziecka. Jaruzelski się nie zgodził, uznaliśmy więc, że w takim razie sprowokujemy przeciek. Zaprosiłem do domu korespondenta „New York Timesa”, Michaela Kaufmana i powiedziałem mu, że mam taką wiadomość, może ją podać, nie powołując się na źródło, ale potrzebuję szybkiego sprawdzenia, czy jego gazeta to weźmie. Sprawdził w redakcji, wystraszyli się i nie wzięli. Zaprosiłem więc dziennikarza z konkurencyjnego „Washington Post”. Oni wzięli i na pierwszej stronie ukazała się wiadomość o ucieczce Kuklińskiego i o administracji Stanów Zjednoczonych, która nie zareagowała na przekazane przez niego wiadomości, czyli wszystko poszło po mojej myśli. I wtedy, powołując się na ten tekst, zacząłem rozgrywać publicznie sprawę Kuklińskiego.

Czesław Kiszczak. *Ceniłem go za inteligencję i liberalne poglądy. Jego resort przygotowywał mi materiały potrzebne do konferencji, kiedy przewidywałem, że dziennikarze będą mnie pytali, czy kogoś tam pobiliśmy, czy aresztowali. Rakowski przestrzegał mnie, żebym nie firmował ich spraw na konferencjach, tylko oddawał głos wiceministrom ich resortu, bo wciągną mnie w matactwa SB. Miał rację, żałuję, że go nie posłuchałem.*

Stan wojenny i późniejsze kilka lat to był czas wyjątkowo ponury. Oglądając na świeżo pana konferencje, miałam wrażenie, że do połowy lat 80. jest pan częściej rzecznikiem MSW niż rządu. Zatraca się pan.

Może faktycznie za dużo tych spraw brałem na siebie, ale jest coś takiego, że człowiek lubi udawać przed światem, że jest lepiej poinformowany, że ma dostęp do wiedzy tajemnej, imponować tym. Jak przychodziłem rano do pracy, po pierwsze rzucałem się na biuletyny MSW z pieczątką „tajne". Każda władza, myślę, że ta dzisiejsza również, ulega takiej pokusie. Rakowski mnie przestrzegał, żebym nie robił z siebie rzecznika SB. Ja jednak dbałem o to, żeby dziennikarzom przynosić na konferencje atrakcje, tematy dotychczas będące tabu.

Proszę powiedzieć, jaki był pana stosunek do SB?

Bardzo dobry. Uważałem, że to jest ta mądra część władzy, z którą należy współpracować, bo jest efektywna. Jak coś postanawiamy, napiszemy, wykombinujemy, to jest zrobione. A w KC to można było gadać i gadać i nic z tego nie wynikało. Nawet kiedyś złożyłem ustne miłosne oświadczenie w tym duchu szefowi SB, Ciastoniowi.

Nie miał pan ani cienia obrzydzenia do metod? Owszem, każda władza ma polityczną policję, ale jednak nawet pragmatycznie myślący człowiek brzydzi się kapusiami.

To jest rzecz skomplikowana. Ja się nie kontaktowałem z niższymi funkcjonariuszami, tylko z arystokracją, ministrem, wiceministrami, najniższy szczebel to był generał kierujący jakimś departamentem, wywiadem, kontrwywiadem czy czymś takim. To nie byli ludzie tuzinkowi ani głupi. Widziałem ich zalety. Mogli mieć wady, ale nie byłem z nimi na tyle blisko, żeby je dostrzec. Natomiast system donosicieli to było zupełnie co innego. Przez całe życie ja i moi koledzy nie lubiliśmy tych kapusiów, którzy na nas donoszą. We wszystkich redakcjach, w których pracowałem, zawsze rozważaliśmy, kto u nas jest kapusiem. Traktowaliśmy ich bardzo niechętnie, ale nie wedle późniejszych kryteriów IPN. Bo dla mnie na przykład nigdy nie było nic złego w tym, że prawie wszyscy korespondenci zagraniczni podróżujący po świecie dawali memoriały dla MSW. Że jak

najbliższa łączność jest w placówce wywiadu, a on ma nadać do PAP depeszę, to jest mu wszystko jedno, przez czyją radiostację to pójdzie. A że wywiad z tego skorzysta i po przetworzeniu zrobi sobie raport, co się dzieje w dolnym Zanzibarze, to niczemu nie szkodzi. Co innego jest jednak donosić na kolegów z podróży zagranicznej. A z kolei jeszcze czym innym jest, w ówczesnym moim rozumowaniu, posyłanie kapusia do „Solidarności". Trzeba ją penetrować, taka jest rola policji politycznej. Natomiast wysyłanie kapusia do redakcji „Polityki", która nie jest antagonistyczną siłą polityczną, służy tylko penetracji życia ludzi.

A jak pan oceniał Kiszczaka?

Jako miłego, mądrego i bardzo liberalnego polityka.

Na czym polegał jego liberalizm?

Widzi pani, wy mieliście inną optykę, my inną. Nasza optyka była wówczas taka, że władza miała dwa skrzydła. Jedno to beton, czyli Milewski, Olszowski i Kociołek oraz mnóstwo sekretarzy wojewódzkich. I jest liberalne, w zasadzie centrowe kierownictwo, czyli Jaruzelski, Kiszczak, Rakowski i wierni intelektualiści, różni w różnych okresach, Kubiak, Reykowski, Jan Szczepański. Myśmy zatem byli liberałami walczącymi z konserwą partyjną, radzieckimi agentami, betonem, ze zwolennikami trzymania za mordę siłą. Mówię w uproszczeniu, bo tam były jeszcze inne odcienie, ale to już dziś nikogo nie obchodzi.

Kiszczak inwigilował beton?

Przypuszczam, że tak, ale to były operacje, o których nie mam pojęcia. Prywatnie wiedziałem, że inwigilowany jest Gierek i jego najbliżsi politycznie koledzy, na przykład Szydlak. Nawet się dziwiłem, bo Gierek nie wydawał mi się wtedy osobą, która mogła cokolwiek zrobić, ale Jaruzelski traktował go serio i uważał, że może jeszcze spiski urządzać. Poza tym nie wiem, kto kogo szpiclował. Rakowski na przykład ciągle mówił, że ma podsłuch. On był strasznie czuły na tym punkcie. Pamiętam pewien epizod, kiedy ja sam poprosiłem o założenie mi pluskwy w saloniku, w którym rozmawiałem z dziennikarzami. Przyszli i zamontowali między klepkami taką igiełkę, a w pakamerze, która wiodła

do toalety i garderoby, postawili w szafie szpulowy magnetofon, żeby to nagrywał. Opowiedziałem o tym Rakowskiemu, tłumacząc, że założyłem podsłuch po to, by móc bronić swego tyłka, jak dziennikarze coś przekręcą. Rakowski mnie opieprzył, że jestem idiota, że w ten sposób legalizuję podsłuchiwanie nas wszystkich, żebym natychmiast to zdjął, że jak chcę rejestrować rozmowy z nimi, to mogę jawnie położyć swój magnetofon na stole, bez żadnego MSW. Kazałem więc zdjąć pluskwy. Więc to tak różnie było traktowane, trochę na zasadzie moralności Kalego – nas podsłuchują, bardzo niedobrze, my podsłuchujemy, no trudno, trzeba wiedzieć.

Jakie były pana relacje z Kiszczakiem?

Przede wszystkim sporadyczne. Jego resort przygotowywał mi materiały potrzebne do konferencji, kiedy przewidywałem, że dziennikarze będą mnie pytali, czy kogoś tam pobiliśmy, czy aresztowali. Zresztą pamiętam, że Rakowski traktował jakoś ambicjonalnie współpracę z MSW i przestrzegał mnie, żebym nie firmował ich spraw na konferencjach, tylko oddawał głos wiceministrom ich resortu, bo wciągną mnie w matactwa SB. Miał rację, żałuję, że go nie posłuchałem.

Czego konkretnie pan żałuje?

Na pewno sprawy Przemyka. Już pani wspominałem, że głosiłem w sprawie Przemyka wersję oficjalną, ni cholery nie wierząc w nią. Ale uważam, że to jest sprawa typowo podręcznikowa, jak złe intencje polityczne jednej strony tworzą złe intencje polityczne drugiej strony.

Z tym że jedna strona jest zdecydowanie mocniejsza.

No, jest mocniejsza. Tylko że wciąż musi się bronić przed imputowanymi jej zbrodniczymi intencjami. W przypadku Przemyka nie jest prawdą, jak twierdziła Wolna Europa, że milicja zwinęła syna opozycjonisty i poetki, żeby zastraszyć opozycję. Prawda jest taka, że milicja zwinęła brykającego, naćpanego chłopaka, który dokazywał w miejscu politycznie newralgicznym, czyli na placu Zamkowym, gdzie organizowano różne demonstracje, więc był pod szczególną ochroną. Chłopaka zwyczajnie zgarnęli do komisariatu. Co się tam działo, dokładnie nie wiadomo. Być może dalej brykał, być może nie brykał. W każdym razie

dostał tak, jak bito w komisariatach. I jeszcze dziś się to zdarza. Przypuszczalnie dostał łokciem w brzuch. Tego rodzaju uderzenie jest niebezpieczne, ale nie wyraża woli zabicia. Jak pojechał do domu, jego matka też prawdopodobnie bagatelizowała jego stan. Po trzech dniach zmarł. Tak wyglądała rzeczywistość. Została jednak przedstawiona jako umyślne zabójstwo władzy, która przez mordowanie dzieci chce zastraszać opozycjonistów. Mordowanie dzieci jest tak niełądnym czynem, że władza, która nie morduje dzieci, musi się bronić. No i Kiszczak przedobrzył, tworząc tę całą bajkę o pogotowiu ratunkowym i pielęgniarzach. A dlaczego ja czułem, że to jest nieprawda? Można mi było wmówić wszystko, bo ja swoich śledztw nie prowadziłem, ale jak nagle Kiszczak na posiedzeniu rządu wręcza każdemu album ze zdjęciami z pogotowia, zobaczyłem, że coś jest nie tak. Normalnie rzecz biorąc, jak pobito kogoś na pogotowiu, nawet jeśli to miało jakąś otulinę polityczną, nie wzbudzało takiej aktywności ministra spraw wewnętrznych, żeby innym ministrom przynosił albumy ze zdjęciami. Śmierdziało to na odległość. Poszedłem nawet do Jaruzelskiego z propozycją, żeby zawiesić tych dwóch milicjantów podejrzanych o pobicie, bo w ten sposób pokażemy opozycji, że władza reaguje, a kadrom milicyjnym, że nie wolno tak postępować z niedorostkiem na komisariacie, że to jest nieregulaminowe. Ale nic takiego się nie stało.

U Jaruzelskiego nic pan nie wskórał, to czemu dalej brnął pan w kłamstwo?

Wtedy usprawiedliwiałem się sam przed sobą, że to kłamstwo sprowokowane przez zarzuty drugiej strony. Teraz wiem, że zrobiłem głupio.

Porozmawiajmy o zabójstwie księdza Popiełuszki. W tym przypadku chyba najjaskrawiej widać, że rację miał Rakowski, przestrzegając pana przed firmowaniem esbeckich spraw. Dał się pan wciągnąć w rzeczy paskudne – cała seria konferencji prasowych, podczas których atakował pan Popiełuszkę z wyjątkową zawziętością, potem słynny tekst „Seanse nienawiści”. Wielokrotnie pan się bronił, że przecież nie jest zabójcą księdza. Ale musi pan sobie zdawać sprawę, że stworzył

pan swoimi wystąpieniami klimat usprawiedliwiający agresję SB wobec księży.

To zarzut nienowy, ale chybiony. Proszę spróbować odwrócić sytuację – byłem równie mocno atakowany przez Wolną Europę, *ergo* radio stwarzało klimat dla agresji jakiegoś szaleńca z opozycji wobec mnie. Czy w takim razie, gdybym ja został zamordowany, od Wolnej Europy oczekiwano by poniesienia za to moralnej odpowiedzialności?

Zapewne wasza propaganda tak. Przypuszczam, że w niewyobrażalnie wielkiej skali.

Może więc opowiem po kolei, jak to było i dlaczego nie mogę w sobie znaleźć poczucia winy. Codziennie na biurko dostaję biuletyn MSW, w którym są raporty o wojowniczych, nieprzychylnych nam politycznie księżach. Proponuję więc, żeby nie wojować z nimi lokalnie, bo będzie to wojowanie z całym klerem, tylko wybrać sobie trzy czarne owce: Jankowskiego, Popiełuszkę i Jancarza z Nowej Huty i naciskać episkopat, żeby biskupi ich uspokoili. To była zasadnicza myśl taktyczna. Wobec tego zaczęto mi przysyłać dodatkowe informacje dotyczące tych konkretnych księży. Nie pamiętam już, co w nich było, natomiast pamiętam, że przysłali mi, jeszcze przed drukiem, artykuł o jakiejś garsonierze Popiełuszki napisany przez kogoś z MSW z prośbą, czy mógłbym go oszlifować.

Artykuł do biuletynu?

Nie, do normalnej gazety, MSW czasem takie pisało, mieli zbiorczy pseudonim, Nowakowski czy jakiś tam. Przeczytałem to, powiedziałem, że wszystko źle, oślizgłe, kołtuńskie. I napisałem go od nowa, nie pamiętam, czy pod swoim nazwiskiem, czy pod tym pseudonimem.

Pod pseudonimem Michał Ostrowski, wydrukował go „Express Wieczorny", przedrukowało mnóstwo innych gazet, był czytany w radiu. Widać już było, że to wielka esbecka akcja.

To widać teraz, jak się zna koniec tej historii. Nie pamiętam, żebym wtedy miał poczucie istnienia jakiejś szczególnej obławy na tego konkretnego księdza. Dla mnie to był przeciwnik polityczny, owszem, bardzo radykalny, tak przynajmniej wynikało z raportów MSW, ale

w ramach, powiem w ówczesnym języku, ekstremistycznej normy. Nawet jak zniknął, nie czułem, że stało się coś nadzwyczajnego, bo myśmy ciągle mieli do czynienia z jakimś księdzem, który gdzieś zabradziażył, a nas Wolna Europa od razu oskarżała, że go aresztowaliśmy. Ja jestem więc spokojny, ale w MSW panuje poruszenie. Zaczynają go szukać. Dostaję raporty MSW, na ich podstawie ogłaszam, że jakaś kobieta widziała go w Łodzi. Zakładam więc, że po prostu się urwał, bo wierzę, że to rozrywkowy ksiądz, tak go przecież przedstawiali w materiałach MSW. Teraz wiem, że to chyba nieprawda, że on faktycznie był taki mistyczny.

Jak wygląda moment, w którym dowiaduje się pan, że ksiądz Popiełuszko został zamordowany?

Wzywa mnie Kiszczak. To była dramatyczna rozmowa. Nigdy go nie widziałem w takim stanie histerii. Przekonywał mnie, że to próba zamachu stanu. Że zabójstwo było elementem zamachu i nie bez powodu nastąpiło kilka dni przed plenum KC, na którym odczytano list radzieckiej partii do polskiej, że nasza się źle prowadzi, i zaczęły się wystąpienia popleczników radzieckich o nieodpowiedzialnym kierownictwie partii. Że chodziło o to, żeby wzburzyć ludzi, wywołać niepokoje poprzez śmierć Popiełuszki, a wtedy proradzieccy przejęliby władzę. On to wszystko przekonująco powiązał w jeden logiczny łańcuch. Krzyczał, że u Piotrowskiego znaleziono całą szafę kajdanek, że to były kajdanki na niego, że szykował się pucz.

Kto miał być przywódcą puczu?

W domyśle Milewski, ale zapewne on nie używał przy mnie nazwiska, bo nie byłem znowu takim jego kumplem. Po tej rozmowie i ustaleniach z Jaruzelskim ogłosiłem na konferencji teorię prowokacji fizycznie wymierzonej przeciw ofierze, a politycznie przeciwko nam. Wkrótce przestałem się zajmować tą sprawą, bo ruszył jawny proces.

Pana zdaniem uczciwy?

Tak. Oczywiście zadbano o to, jakimiś pewnie obietnicami czy groźbami, aby oskarżeni nie gadali o innych sprawach resortu, o których wiedzieli. Co do Popiełuszki, wiem, że Kiszczak chodził do aresztowanego

Piotrowskiego, żeby mu powiedział, kto go inspirował. On do dziś tego nie powiedział. Zapewne nikt go nie inspirował, bo gdyby było inaczej, powiedziałby. Miał kilka okazji, żeby to zrobić. Ustrój się zmienił, on miał okres nawrócenia, potem nie miał pracy, potrzebował pomocy władzy w zmianie nazwiska. Jednym słowem, przeszedł przez tyle meandrów życiowych, że gdyby miał cokolwiek do powiedzenia, to by już dawno powiedział. Tak jak ci dwaj pozostali oskarżeni. Zatem moim zdaniem żadne teorie spiskowe się nie potwierdzają, łącznie z teorią Kiszczaka.

Nie miał pan wrażenia, że w takim razie Kiszczak nie panuje nad swoimi ludźmi?

Miałem, ale nie przy okazji sprawy Popiełuszki. Dla mnie najbardziej podejrzana i śmierdząca sprawa to był Toruń. Z Wolnej Europy i z drugiego obiegu płynęły dziwne wieści, że nieznani sprawcy wywożą do lasu jakichś opozycjonistów i znęcają się nad nimi. I to miało powtarzający się charakter – ciągle las i kolejne bestialstwo. Obciążało to władzę, domagałem się więc wyjaśnień od MSW, a oni ani nie potwierdzali, ani nie zaprzeczali. Myślę, że nic nie wiedzieli. Wygląda na to, że był to jakiś spisek fanatycznych maniaków z SB. Zresztą do dziś to chyba nie zostało wyjaśnione.

Kolejna sprawa, przy której jestem zdziwiona pana zaangażowaniem, to gruba prowokacja SB, czyli rozmowa braci Wałęsów w Arłamowie.

Ależ to była prawdziwa rozmowa.

Pan przecież wie, że tak zmontowana, że prawdziwą już nie była.

Zmontowana jak każda rozmowa. Jak dziś coś nagrywa się do telewizji, też się montuje.

Nie w ten sposób. To była perfidna manipulacja, która miała skompromitować Wałęsę.

Dobrze, była tendencyjnie zmanipulowana, faktycznie zostawiono fragmenty, które źle świadczyły o Wałęsie, ale odbywało się to w ramach normalnej wojny politycznej. Gdybyśmy nie wojowali z opozycją, to byśmy poszli do Wałęsy i zapytali go, jakie są jego cele. No, szczytne:

demokracja, wolność, żeby wszystkim było jak najlepiej. No i wtedy puścilibyśmy prowałęsowski materiał. Mówmy poważnie. Przecież rozmowa z bratem mieściła się w logice walki politycznej z Wałęsą, ale to nie były fałszywe środki. Z tego, co wiem, cała rozmowa trwała wiele godzin. Poświęcona była głównie sprawom rodzinnym. Wyjęto z tego wątki polityczne i finansowe. Najpierw zobaczyłem wersję filmową, bo to było również nagrywane na kamerę. Radzono się mnie, czy puszczać obraz, czy tylko dźwięk. Obraz miał tę wadę, że kamera była ulokowana w lampie, a lampa dyndała, więc oni wyglądali, jakby byli w jakimś tańcu. Druga wada obrazu była taka, że byli pijani. Doradziłem więc, żeby puścili tylko nagranie dźwiękowe.

I mieliście haka na Wałęsę. Tak zmanipulowaną rozmowę jeszcze na kilka miesięcy przed emisją dostał biskup Orszulik. Liczyliście, że przekaże to papieżowi i ten odwoła pielgrzymkę w czerwcu 1983 roku?

Może i tak było, ale o papieżu i wszelkich działaniach politycznych wobec niego mam niewiele do powiedzenia, bo starannie mnie odsuwano od tych spraw i od kontaktów z klerem. Tak jak pani wspominałem, od początku, czyli od wyboru Wojtyły, kompletnie rozmijałem się w emocjach ze społeczeństwem, a nawet z aparatem władzy. Proszę mnie więc o papieża nie pytać, bo naprawdę nie mam nic do powiedzenia, przekazywałem tylko komunikaty, które dostawałem do odczytania od wydziałów, które się zajmowały papieskimi pielgrzymkami. Nie uczestniczyłem w żadnych naradach, a tym bardziej grach politycznych z Watykanem. Myślę, że sam Jaruzelski zobaczył, że ze mną jest coś nie w porządku, że ten mój defekt emocjonalny może przynieść same straty. Akurat ta wizyta w ’83 roku była najbardziej delikatna politycznie przez wcześniejsze wprowadzenie stanu wojennego. Najbardziej pożądana, ale też oczekiwana z największym lękiem. A ja poszedłem do Jaruzelskiego z najgłupszym pomysłem, jaki można było wymyślić. Otóż podczas wizyty zainstalowano u mnie dodatkowy telewizor, na którym mogłem śledzić non stop na żywo, gdzie akurat papież przebywa. Gdy to oglądałem, przyszło mi do głowy, żeby we wszystkich, czyli dwóch programach telewizji, i wszystkich radiowych puszczać tylko papieża jak leci, na okrągło. I nic

poza tym. Żeby zamęczyć papieżem, zanudzić. Dzieci nie miałyby teleranka ani dobranocki, kibice meczów. Jaruzelski oczywiście się nie zgodził, i dobrze, bo na podstawie dalszych wydarzeń przypuszczam, że się ciężko myliłem i wszyscy w ekstazie oglądaliby papieża na okrągło.

Nie dostrzegał pan w nim siły politycznej?

Nie. Mam w ogóle taką skłonność, że jeśli nie widzę w czymś racjonalnego jądra, to bagatelizuję.

Ale powinny panu dać do myślenia te gigantyczne społeczne emocje podczas wizyt papieża.

Nie postrzegałem ich jako gigantycznych, co najwyżej jako duże i przejściowe. Byłem w tym wyjątkowy, bo reszta władzy strasznie się tymi wizytami przejmowała. Roztrząsali godzinami, że papież powiedział to, tamto i owo. Mnie się wydawało nieważne, co on mówi, bo niczego prócz frazesów nie słyszałem. Inny słuch. W ogóle nie przywiązywałem znaczenia do słowa, w przeciwieństwie do moich mocodawców, bo jako pracownik słowa nie traktowałem tego tak sakralnie i poważnie. Niech mówi, co chce, wyjedzie i już. Bardzo mnie śmieszyli moi koledzy z władzy. Podobno Jaruzelskiemu się nogi trzęsły, jak przemawiał do papieża. Inni skwapliwie fotografowali się z papieżem i zdjęcia były istnym trofeum. Przedwczoraj byłem u Kwaśniewskiego i u niego do dziś wisi zdjęcie z papieżem. Traktowali go jako przeszkodę polityczną, ale jednak jako majestat, autorytet. Taka dziwna dwoistość. Jaruzelski na dodatek ulegał złudzeniu, że papież rozumie i aprobuje to, co on robi. Bardzo pilnie notował sobie rozmowę z nim na Wawelu. Po spotkaniu w cztery oczy zaprosił mnie do siebie i zaczął opowiadać, co powiedział papieżowi. Zapytałem, co na to papież, bo mnie przede wszystkim to interesuje. No, papież aprobująco kiwał głową, widać, że we wszystkim się ze mną zgadza. No, tak, mówię, oni wszyscy w czterech ścianach kiwają głowami, zgadzają się, nie kłócą. Ale co ten papież w końcu powiedział? No, nic nie powiedział.

Proszę mi powiedzieć, czy wsiąkając tak mocno w ekipę Jaruzelskiego, nie miał pan pokusy, żeby jednak nie firmować jej wszystkich

dokonań?

W każdej ekipie, w której się funkcjonuje, ma się też dystans do jej ludzi, poczynań, do jej obyczajów. Z drugiej strony w polityce, bo niekoniecznie w innej pracy, ma się wyjątkowo silne poczucie przynależności do drużyny. I staje się ważne to, że jestem Widzew, a nie ŁKS, mimo że nie ma żadnych racjonalnych różnic między tymi a tamtymi kopaczami piłki. I ten mechanizm utożsamiania się działa niezależnie, czy wygrywamy, czy przegrywamy. Taki był mój mechanizm przywiązania, już dziś mijającego, do ekipy, z którą grałem. Niezależnie od tego, czy opozycja ma obiektywnie rację w danej chwili, to ja gram po tej stronie, po której jest moja drużyna.

Tylko że ta drużyna nie przeszła do historii w takiej niesławie jak pan. To Urban, a nie Jaruzelski, Kiszczak czy Rakowski, stał się symbolem całego zła lat osiemdziesiątych. Jak pan sądzi, dlaczego im wybaczono więcej, a panu nie?

Zostałem symbolem zła minionego ustroju, bo wkroczyłem na arenę publiczną, zwracając na siebie uwagę całkowitą innością. Czyli skoncentrowałem uwagę na sobie. Jak jakiś minister czy sekretarz coś mówił, puszczano to mimo uszu i zlewało się to w ogólny szum reżimu. Ja zacząłem się zachowywać niekonwencjonalnie, drażnić publiczność sposobem zachowania, innym językiem, bezpośrednią walką polemiczną, nieowijaniem niczego w dyplomatyczne frazy, podejmowaniem tematów, od których inni uciekali. W ten sposób zdobywałem sławę, ale i nienawiść. Bywałem dolegliwy. Poza tym irytowałem opozycję, ponieważ byłem człowiekiem, który miał wolny wybór. Jak ktoś był aparatczykiem, to miał swoje koryto, którego pilnował do końca. Moje koryto było względne. Mogłem pójść w jedną, albo w drugą stronę. Byłem demoralizującym przykładem kogoś, kto nie z racji jakiejś tradycji, interesu, przynależności, tylko własnego swobodnego wyboru popiera stronę zła.

Słabość

Czy zdawał sobie pan sprawę, że kraj bankrutuje?

Nie, i moim zdaniem nikt z rządu nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest źle. Pamiętam taką scenę – przychodzi do mnie Rakowski i mówi: „Słuchaj, jesteś blisko z tym Sekułą, idź do niego i zapytaj, czy mi się wszystko zawali jutro, jak naprawdę jest z tą gospodarką?”. Wtedy Rakowski był premierem, a Sekuła wicepremierem. Idę do Sekuły, a on mówił: „Jurek, powiedz Mietkowi, żeby się nie wtrącał do tego, na czym się nie zna. Ja odpowiadam za gospodarkę i on może być spokojny, że wszystko będzie dobrze”. Mówię więc Mietkowi, że może być spokojny, bo Irek zapewnia, że wszystko wyprowadzi. „Oj, to dobrze” – Rakowski na to. Tak to wyglądało.

Jak to możliwe? Powołujecie różne instytucje ekonomiczne, doradców, robicie pierwszy etap reformy, drugi etap reformy i nikt nie potrafi nawet zdiagnozować rozmiaru klęski?

Bo to było niemierzalne. Z jednej strony doszło do bankructwa kraju przez zadłużenie, nierównowagę eksportową i różne inne czynniki, które można było wymierzyć. Ale dochodziły do tego inne, niemierzalne właśnie. Statystyka mówiła, że jemy mięsa od cholery. A mięsa w sklepach nie było. Kartki, kolejki, bunty, strajki. Tylko że mięso spod lady czy kupowane od baby tak czy owak trafia do żołądków. Jak to wszystko zmierzyć? Zasadniczy błąd tych reform najlepiej oddaje powiedzenie o jajeczku częściowo nieświeżym. Nie można było uzdrawiać połówki jajeczka i wprowadzać elementów gospodarki rynkowej do gospodarki nieopartej na rynku, popycie, podaży, kursach walut. Bo jak w takiej sytuacji wymierzyć, czy przedsiębiorstwo wypracowało zysk, czy nie wypracowało. Na papierze wszystko się zgadzało – wypracowało. Tylko że to guzik prawda, bo zysk prawdziwy zależy od cen energii, surowców, transportu itd. i jak te ceny są państwowe, a nie rynkowe, to jest dochodowość pozorna. A jak w ogóle mierzyć dochodowość, skoro jest liczona w walucie niewymienialnej, czyli

nieprawdziwej? Na przykład stocznie są deficytowe, ale dochodowe. Deficytowe dlatego, że trzeba dużo elementów do budowy statku importować z Zachodu. Ale dochodowe dlatego, że w zamian za tanie statki dostaniemy ze Związku Radzieckiego tanią rudę. No i żadna globalna kalkulacja z tego wyniknąć nie może. Tylko że wtedy tego wszystkiego nie wiedziałem.

Myliliśmy się całkowicie, licząc na to, że da się gospodarkę zracjonalizować po kawałku. Ja sądziłem, że w ten sposób można dojść do jakiegoś złotego jądra. Szczególnie, że ekonomiści, których wysłuchiwałem na różnych komisjach i w prywatnych rozmowach, ludzie mądrzy, tacy jak Baka, Sadowski byli przekonani, że można gospodarkę doprowadzić stopniowo do jakiegoś racjonalizmu. Ja im wierzyłem jako fachowcom, na dodatek potrafili w przekonujący sposób to opowiedzieć. Taki Wilczek na przykład. No, wydawał mi się wspaniały. Po pierwsze zachwycił mnie, kiedy powiedział, że żadne KC go nie interesuje, że partia w dupę może go pocałować, jak wyraził się dosłownie. Po drugie był za likwidacją wszelkich ograniczeń dla gospodarki prywatnej i za ustawą o przepływie kapitałów. To były jego dwa projekty, wprowadzone pod jego naciskiem, chociaż buntował się aparat partyjny. Byłem zachwycony. Tylko że potrafił tylko tyle. Okazało się, że ma wąskie horyzonty gospodarcze i nie wie, co z tym dalej zrobić. Nie był ekonomistą, tylko chemikiem, który dorobił się na jakichś proszkach, więc nie miał żadnej spójnej wizji gospodarki. Zresztą potem wyszło, że w ogóle nie nadawał się do robienia interesów. Został pełnomocnikiem PZPR do lokowania pieniędzy i wszystkie niemal pogubił. Sam niemal został w biedzie, nie umiał robić interesów w nowej rzeczywistości. Ale to był pożyteczny człowiek chwili, z wielkim urokiem osobistym. A taki Sekuła. On mi imponował nadzwyczajnie jako człowiek wręcz wszechwiedzący w gospodarce. Do tego stopnia mnie oczarował, że to ja go zaproponowałem Rakowskiemu na wicepremiera. Wtedy Sekułowie przyszli do nas do domu, jego żona uklękła przede mną, dziękując za to. Scena jak z Gogola. Tylko że potem okazało się, że to hochsztapler. Z wykształcenia psycholog, wykorzystywał umiejętności psychologiczne do udawania, że się zna na gospodarce.

Czy na jakimś posiedzeniu rządu ktoś powiedział wyraźnie: sypie się?

Mówiono, że jest źle z gospodarką, ale tylko na przykład w kontekście braku dostaw ze Związku Radzieckiego. Albo że jeśli nie odłożymy spłaty długów, to nie poprawimy zaopatrzenia w mięso. Nikt oczywiście nie powiedział, że trzeba zmienić ustrój, bo nie da się pogodzić realnego socjalizmu z częściowym kapitalizmem. Myśleliśmy, że jest możliwa taka konwergencja ustrojowa, że taki mieszany system będzie ewoluować.

Jaruzelski też nie zdawał sobie sprawy, że wkrótce nastąpi katastrofa?

Był oczywiście zasromany, ale też się na tym nie znał. Pamiętam, że po jakimś nieudanym etapie reformy zapytał mnie zrezygnowany: „Ciekawe, skąd ci Niemcy wzięli Erharda”. No, ale myśmy nie mieli autora cudu gospodarczego, ani Urban, ani Rakowski, ani Jaruzelski nie mieli pojęcia o mechanizmach gospodarczych, a eksperci, nawet ci z porządnym zachodnim wykształceniem, też wpadli w pułapkę jajeczka częściowo nieświeżego. Dopiero trzeba było Balcerowicza i zmiany ustroju, żeby to wszystko postawić na nogi.

Jeszcze przed oddaniem władzy pojawiła się próba zapanowania nad wydarzeniami, tak zwany zespół trzech. Proszę powiedzieć o kulisach powstania tego gremium. Kto wpadł na pomysł, żeby pan, Ciosek i Pożoga podczas wspólnych spotkań wymyślali strategię dla władzy?

Nie pamiętam, czyj to był pomysł. Sądząc po miejscu, gdzie się zbieraliśmy, czyli w willi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Magdalence, to była inicjatywa Pożogi, bo on, jako szef wywiadu i kontrwywiadu, był gospodarzem tej willi. Zaczęło się od niezobowiązującego spotkania naszej trójki, coś tam z tej rozmowy wyniknęło, zanotowałem to i dopiero potem weszło w zwyczaj, że zaczęliśmy się zbierać w miarę regularnie i dyskutować nad problemami, które niosło życie. Projekty zmian dopiero z czasem nabrały rozmachu. W 1986 roku mówiliśmy o amnestii dla więźniów politycznych i to była propozycja naszego zespołu. Ale wprowadzenie w życie amnestii oznaczało, że trzeba zaprojektować dalsze kroki, bo amnestie wprowadzano już wcześniej, tylko że potem z powrotem wsadzano do więzień. I to nie miało sensu. Wobec tego uznaliśmy, że amnestia musi być połączona

z likwidacją kategorii więźniów politycznych w ogóle. No dobrze, ale jak nie będą wsadzani, to zaczną się z powrotem te wszystkie ich gremia zbierać i zepsujemy cały efekt stanu wojennego. To może nękać ich administracyjnie, przesłuchaniami, ścigać za wykroczenia. Tylko czy takie drażnienie zamiast umiarkować poczynania nie zdenerwuje ich. I tak jedna za drugą szły kwestie, które trzeba było przemyśleć. Potem pisałem raporty z tych zebrań.

Przekazywał je pan bezpośrednio Jaruzelskiemu?

Nie, dawałem je Pożodze, on z kolei Kiszczakowi, a Kiszczak Jaruzelskiemu. To pośrednictwo Kiszczaka było osłoną tyłka Pożogi, ale nie mieliśmy nic przeciwko temu, bo coś, co przeszło przez Kiszczaka, miało dla Jaruzelskiego większą wartość. Oznaczało, że nie jest to ujmowanie kompetencji wydziałom KC, które były od tego, żeby myśleć. Nasze raporty różniły się od memoriałów intelektualistów, bo powstawały po spotkaniach reprezentacji trzech ogniw władzy: SB, rządu i, poprzez Cioska, kierownictwa partii. W tamtych dworskich stosunkach to miało znaczenie.

Propozycje szły daleko. Dogadywanie się z Kościołem, wciąganie w struktury władzy opozycji na czele z Wałęsą, który miałby firmować Radę Konsultacyjną. Nowa Polityka Ekonomiczna, z rozbudowanym sektorem prywatnym, wprowadzenie wstrząsowej metody w gospodarce. Na czym to ostatnie miało polegać?

To był mój pomysł, ale od razu wyjaśniam, że nie miał nic wspólnego z późniejszą szokową terapią Balcerowicza. Wyszedłem od obserwacji, że przeprowadzamy różne posunięcia w gospodarce, w polityce, w innych dziedzinach życia, mające charakter rozwiązywania problemów cząstkowych. Zaproponowałem, żeby skomasować wszystko w czasie i nadać temu charakter czy pozory przewrotu na zasadzie „patrz, narodzie, oto zdarzyło się coś przełomowego”. Społeczeństwo polskie jest przyzwyczajone do dat, do symboli – rok ’44, ’56, ’80. Chciałem zatem, żeby nastąpiło takie skomasowanie wydarzeń, że powstanie wrażenie przewrotu polityczno-gospodarczego, do którego doprowadziła nasza ekipa.

Czyli przełomowy rok ’87 zamiast ’89?

Tak, tylko oczywiście bez oddania władzy. Władza miała dokonać przewrotu w obrębie formacji i jednocześnie przeprowadzić bardziej zdecydowane reformy – gospodarcze w kierunku rynkowym, polityczne w kierunku demokratycznym. Zamierzaliśmy przełamać hegemonię monopartii, ale trzymając się świętych kanonów. Jednym słowem wolność stowarzyszeń tak, ale rejestracja innych partii nie. Chodziło o nazwę, żeby organizacje opozycyjne nie mogły nazwać się partią. Stowarzyszeniem owszem, i jako takie mogły startować w wyborach. Właściwie więc nie było żadnej różnicy oprócz rytualnej. Tak jak z homoseksualistami. Małżeństwa nie, ale związki partnerskie tak.

Proponuje pan rzecz zaskakującą – żeby Jaruzelski stanął na czele niezadowolonych.

Tak, bo on miał zaufanie wojska i osobisty kapitał, ale aparat partyjny w znacznej części był przeciw niemu, z kolei społeczeństwo przeciwne aparatowi. Wtedy, przy słabej opozycji, był względny wakat przywództwa. Chciałem, żeby tym, który stoi na czele niezadowolonych, nie był Wałęsa, tylko Jaruzelski. Zresztą to był pomysł nie do końca oryginalny, bo za młodu uczestniczyłem w przygotowaniu inscenizacji sztuki „Święto Winkelrida”, która się kończy tym, że dyktator wychodzi na balkon i staje na czele buntu mas przeciwko niemu. I to miałem w pamięci, proponując Jaruzelskiemu rolę przywódcy protestu.

Proponował pan również powszechne wybory prezydenta.

Uważam, że to był dobry pomysł i gdyby Jaruzelski w ’86 czy w ’87 roku kandydował na prezydenta, nie wiadomo, kto by wygrał – on czy Wałęsa. Wałęsa wtedy był bardzo przyciszony, miał wewnętrzną opozycję, która mogłaby mu wywlec „Bolka”. Myślę, że Jaruzelski miał szanse wygrać jako przywódca niezadowolonych.

Co na te propozycje Jaruzelski?

Jak zwykle, czyli poczekajmy, zobaczymy, co będzie dalej.

Nie irytowało to pana?

Tylko do pewnego stopnia. Byłem w innej sytuacji niż generał. Ja po pierwsze jestem ryzykantem i raptusem, w polityce nie miałem cierpliwości. Poza tym byłem bardziej niezależny w myśleniu, bo nieobciążony rozumowaniem komunistycznym, aparatczykowskim, nieobciążony lękiem, co się stanie z formacją w przyszłości. Nie myślałem też w kategoriach osobistych. Wiedziałem, że każde reformy wyrzucają mnie na margines, bo przyjąłem rolę złego policjanta. Że gdy elita władzy się zmieni, to moja dalsza przynależność nie wchodzi w rachubę. To sprawiało, że byłem bardziej bezinteresowny w swoich rozumowaniach. Miałem oczywiście poczucie, że gram w drużynie, z którą jestem związany, która mnie przyjęła, i to poczucie przynależności było niezwykle ważne, ale nie na tyle, by trząść się o przyszłość. Wynikało to po prostu z zarozumialstwa. W ogóle nie identyfikowałem się z jakimś kierownikiem wydziału KC, nie uważałem, że wspólnym zmartwieniem jest nasz przyszły los. Mnie się wydawało, że mam zawód, w którym zawsze będę mógł kwitnąć. Uznawałem, że mój los z natury rzeczy jest inny, że moja pozycja życiowa nie jest w tym stopniu związana z uczestnictwem we władzy jak ludzi, którzy tracąc pozycję polityczną, przestają istnieć pod względem prestiżowym, materialnym, społecznym. Jaruzelski nie miał tak komfortowej sytuacji jak ja, dlatego rozumiem jego ostrożność.

No tak, ale wymyślacie różne koncepcje, żeby potrząsnąć państwem, a wszystko gnije po staremu. Nie miał pan poczucia rozgoryczenia, że cała para idzie w gwizdek?

Nie. Mieliśmy do siebie nieprzesadnie sakralny stosunek. Po pierwsze, uważałem, że w swobodnej dyskusji kreślimy projekty zbyt pospiesznie. Bardzo szybko mieliśmy poczucie, że szczególnie w sprawach gospodarczych proponujemy bzdury. Po drugie, przedstawialiśmy tylko punkt widzenia, bez ambicji, że piszemy scenariusz gotowych wydarzeń politycznych. Nigdy w dziejach żadna grupa doradcza o charakterze kameralnym i doraźnym nie wymyślała biegu dziejów. Owszem, mieliśmy wrażenie, że władza się spóźnia, że powinna szybciej podejmować decyzje. Ale maksimum naszych oczekiwań sprowadzało się do tego, aby nasze propozycje były dyskutowane w szerszym gronie. Przecież nie oczekiwaliśmy, że my coś dzisiaj wymyślamy, a władza jutro ma to zrobić,

bo to by znaczyło, że my trzej rządzimy krajem. Po latach najciekawsza w tamtej aktywności wydaje mi się jej dzisiejsza recepcja. Gdy czytam książkę Pawła Kowala o ostatnich latach PRL, wyczuwam zdziwienie politycznego przeciwnika, który myślał, że druga strona jest zdolna tylko do rzeczy najgłupszych, najbardziej wstecznych. I nagle odkrywa w PZPR ośrodek, którego myśl biegnie podobnym szlakiem co opozycji. Ale taka jest prawda. Przecież Okrągły Stół nie był spotkaniem dwóch sił antagonistycznych, ale dwóch zbliżających się do siebie poglądów na ustrój i na społeczeństwo. Tylko że my reprezentowaliśmy realizm doświadczonych, a „Solidarność" idealizm ludzi, którzy nie rządząc, myślą, że można zrobić wszystko. To, co nazywa się komunizmem, ciągle ewoluowało, kolejne pokolenia dochodzące do władzy różniły się od siebie bardzo mocno. Ta ewolucja była głęboka, chociaż wyraźniej widziana od wewnątrz, bo te podziały były skrzętnie skrywane. Pamiętam, jak w 1988 roku pojechałem do Turowicza, wysłany przez Rakowskiego. Wcześniej cenzura przysłała bardzo mu nieprzychylny artykuł z „Tygodnika Powszechnego". On się oburzył, bo uważał, że „Tygodnik" powinien go kochać za walki wewnątrzpartyjne z betonem. Nie chciał jednak, żeby cenzura zdjęła ten tekst i dlatego zaproponował mi mediacje z Turowiczem, licząc, że on sam wycofa artykuł. Pojechałem do Krakowa, przedstawiam Turowiczowi argumenty właśnie z porządku wojen z różnymi wstecznymi frakcjami we władzy, a Turowicz w konkluzji mówi mi tak: „Wie pan, mnie te wasze podziały już nie interesują. Tyle lat się tym zajmowałem, a teraz traktuję was *en masse*". Wydawało mi się to jakieś przedziwnie niemądre. Ale jeśli Turowicz mówi mi w nos, że on Rakowskim i jego zmaganiami wewnątrz partii nie będzie się przejmować, no to widać, że nawet doświadczona część opozycji, która zajmowała się analizami politycznymi przez dziesięciolecia, nie chce pójść na rękę liberalnej opcji.

To był czas, kiedy we władzach pojawiły się młode wilczki – Kwaśniewski, Miller, Oleksy. Jak ich pan oceniał?

Znakomicie, zwłaszcza Kwaśniewskiego i Millera, najmniej wyraźny był wówczas Oleksy. Pamiętam jednak, że wobec Kwaśniewskiego popełniłem zaraz na początku duże *faux pas*. Gdy został ministrem sportu w rządzie Messnera, powiedziałem Jaruzelskiemu, że

przecież on się na sporcie kompletnie nie zna. Czasem człowiek tak palnie, ale zaraz poczułem się nie w porządku wobec Kwaśniewskiego. Poszedłem go za to przeprosić. W przyjaznej rozmowie od razu poczułem, że chociaż byłem wtedy ważniejszy niż on w systemie władzy, to on góruje nade mną pod każdym względem. Potem już chodziłem za Kwaśniewskim jak pokorna psina. To było dziwne, że przy całkowicie koleżeńskim stylu bycia, takim wciąż studenckim luzie, on od razu i bez wysiłku narzucał swój autorytet. I od czasu naszego pierwszego spotkania słucham go jak uczniak. Tak było trzydzieści lat temu, jak i trzy dni temu.

Wróżył mu pan tak dużą karierę?

Oczywiście. Już wtedy Rakowski chciał zrobić z niego wicepremiera, ale uznał, że za młody. Kwaśniewski został więc przewodniczącym rządowego komitetu społeczno-politycznego, przez co uzyskał pozycję nadministra i człowieka, który zajmuje się równolegle z KC sprawami politycznymi. I to zajmuje się w znacznym oderwaniu od KC, bo takie były założenia rządu Rakowskiego. Między innymi projektuje różne ustawy demokratyzacyjne.

Zatrzymajmy się na słowie „demokratyzacja". Co wówczas aparat partyjny rozumiał przez demokrację?

Antykomuniści uważali siebie zawsze za siły demokratyczne, a nas za siły antydemokratyczne. Ale to nazewnictwo nie było przyjęte obustronnie. Po wojnie komuniści nazywali siebie obozem demokratycznym, reszta to był obóz reakcyjny, wsteczny, różnie go zwano. Takie słowotwórstwo może być określane przez antykomunistów jako analogia do orwellowskiego Ministerstwa Miłości. Ale jednak wskazuje na to, że demokracja była ideałem, który w miarę możności, choć w inny sposób, niż chcieliby przeciwnicy polityczni, ale jest i przez nas wyznawany. Gdzie indziej demokracja jest pozorna, u nas jest prawdziwsza. A zatem stosunek aparatu partyjnego do pojęcia demokracji był zawsze dobry. A jaki był stosunek do demokracji samej? Trudno powiedzieć. W tamtym czasie obie strony wycierały sobie tym słowem gębę po równo. Tylko że my uważaliśmy, że demokracja nie rodzi się z dnia na dzień. W Anglii trwało to setki lat, w Stanach też długo. A upadek Związku

Radzieckiego nie był oczywisty, przecież jeszcze w ’91 roku Wałęsa uznawał pucz Janajewa.

Ale Gorbaczow zostaje pierwszym sekretarzem już w 1985 roku. To jednak istotnie zmienia sytuację.

Łatwo to ocenić teraz, jak wiemy, co się stało w dalszym biegu historii. Wtedy ostrożnie traktowaliśmy jego deklaracje o pierestrojce i głasnosti, bo tam nieraz takie rzeczy mówiono. Dopiero po roku rzeczywiście zaczęło się dziać w Związku Radzieckim i my zaczynamy śmielej politykować, zespół trzech jest już na czatach, bo wie, że więcej można. Ale to nie znaczy, że cały aparat władzy to wie, bo w ZSRR były różne okresy; odwilże i antyodwilże są czymś historycznie zmiennym, natomiast mocarstwowość czymś niezmiennym. Bardzo wyraźny sygnał, że zmiany w ZSRR są głębokie, pojawił się dopiero w 1988 roku podczas wizyty Gorbaczowa w Polsce. I nawet nie jego wystąpienia były szczególnie przełomowe, ale wypowiedź jakiegoś sekretarza KC KPZR, który podczas naszej wspólnej konferencji powiedział, że Związek Radziecki nie będzie się wtrącał w sprawy ustrojowe, wewnętrzne innych państw. Byłem zaskoczony jego słowami, a jeszcze bardziej tym, że nie wychwyciła ich światowa prasa, a przecież powiedziano właśnie coś niezwykłego.

Pierestrojka. *Bardzo wyraźny sygnał, że zmiany w ZSRR są głębokie, pojawił się dopiero w 1988 roku podczas wizyty Gorbaczowa w Polsce. Padła deklaracja, że przestaje obowiązywać doktryna Breżniewa. Ale również pewne drobne z pozoru sprawy też świadczyły o zmianie. Otóż podczas jakiegoś spotkania w Szczecinie, Gorbaczow po obiedzie wyszedł na taras, usiadł w cieniu, bo upał był ogromny, i powiedział z rozmarzeniem: „Ech, posiedziałbym tu jeszcze długo, nie chce mi się jechać do Muzeum Lenina”. Słowa przedtem nie do pomyślenia.*

Jednym słowem przestaje obowiązywać doktryna Breżniewa.

Tak, to były bardzo daleko idące słowa – nie będziemy interweniować, każdy kraj odpowiada za siebie i sam wybiera sobie ustrój. Rozumieć to można różnie, ale komunikat jest jasny – Związek Radziecki wyklucza interwencję militarną i interwencję w ustrój. To nie oznacza jeszcze, że geopolityczne formuły przestają działać, że to jest ziemia do wzięcia. Wtedy jednak zrozumiałem, że świat się zmienił. Że następuje ewolucja systemu, która jest szansą dla Polski, chociaż mieliśmy obawy, czym to się skończy w Związku Radzieckim. Wtedy wydawało się, że nastąpi jego wzmocnienie. Że Związek Radziecki może przystać na zmiany stosunków w każdym z krajów satelickich, ale że zmiana stref wpływu nie nastąpi. Takie mieliśmy zapewnienia, gdy rozmawialiśmy z poważnymi politykami zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu. To była też podstawa rozmów z Gorbaczowem Jaruzelskiego i Rakowskiego. Gorbaczow żalił się, że on dźwiga strasznie trudną sprawę przeobrażenia Związku Radzieckiego i poza samymi siłami wewnątrz ZSRR tylko polska partia i kierownictwo go wspiera, Honeckera ma przeciwko sobie, Kádára w gruncie rzeczy też. Ta wizyta była też przełomowa z punktu widzenia wzmocnienia naszego rządu. Przez całe dziesięciolecie Moskwa traktowała Rakowskiego jak największą zarazę. Zresztą Gorbaczow też na początku był niechętny Rakowskiemu, ale jak poznał go osobiście, pogadał z nim, pospacerował, stał się jego wielkim przyjacielem.

Skąd ta niechęć do Rakowskiego?

Czasem nawet w wielkiej polityce istotną rolę odgrywają rzeczy na pozór błahe. I tak było w przypadku Rakowskiego i Rosjan. Otóż Rakowski przyszedł do „Polityki” z obrad nadzwyczajnego zjazdu partii w ’81 roku i powiedział, a słuchało go spore grono, że ledwie mógł wytrzymać, bo go usadzili przy Griszynie, któremu strasznie śmierdziały nogi. Griszyn to był szef delegacji radzieckiej, która przyjechała na ten podejrzany polski zjazd. Zrugałem Rakowskiego, żeby takich rzeczy nie mówił, bo to się roznosi. I się rozniosło. Już wcześniej więc Związek Radziecki go znienawidził, zawsze wypominali Jaruzelskiemu na pierwszym miejscu Rakowskiego. Jestem pewny, że ta z pozoru tylko i wyłącznie zabawna historyjka miała

bardzo poważne skutki. W tym kuchennym klimacie takie powiedzonka wywoływały większe konsekwencje niż jakieś tam oficjalne przemówienia Rakowskiego.

Porozmawiajmy o Okrągłym Stole. Dlaczego Jaruzelski wahał się tak długo, skoro na wschodzie radykalnie zmieniła się sytuacja?

Nie wiem, on nie zdradzał mi swoich kalkulacji. Ale myślę, że było kilka czynników. Jednym z nich to rząd Rakowskiego. Powołał go w ’88 roku w bardzo egzotycznym składzie i o bardzo liberalnym programie. Jemu się wydawało, że jest to bardzo głęboka zmiana polityki i teraz trzeba czekać na efekty. Że jeśli porozumiewać się z opozycją, to w oparciu o czyny dokonane, aby mieć władzę wzmocnioną rządami Rakowskiego. Inny powód to gwałtowne hamulce ze strony bratnich krajów. Oni czuli, że jak u nas dojdzie do porozumienia z opozycją, tam też się zacznie. Straszyli, że na Węgrzech do władzy dojdą radykalnie prawicowi horthyści, w NRD faszyści. A przecież naszej zachodniej granicy nie uznają zjednoczone Niemcy, więc musimy się troszczyć, żeby NRD nie upadło.

Ale przecież nawet Związek Radziecki ośmielał Jaruzelskiego do rozmów z opozycją.

Owszem, bo go już nie było stać na utrzymywanie imperium. Ale to nie znaczy, że jak nam pozwoli się bawić w Okrągły Stół, to potem przyśle tyle ropy i rudy, ile trzeba. A jeśli wtedy u nas stanie się to, co w Rumunii, czyli kraj bez elektryczności, komunikacji, transportu, jednym słowem prawdziwe bankructwo, to ładnie będziemy wyglądać w rozmowach przy Okrągłym Stole. Taki, jak sądzę, był tok myślenia Jaruzelskiego.

A co pan sądził o dogadywaniu się z opozycją? W ’80 roku czuł pan tak mocny wstręt do „Solidarności”, że przeszedł pan na drugą stronę. A teraz?

Teraz i oni, i my mamy wybite zęby, co radykalnie zmienia sytuację. Wszystko narastało odpowiednio w czasie. Najpierw zobaczyłem, że po amnestii w ’86 roku nie odbudowała się potęga „Solidarności”. Przez długi czas nie zbierały się władze statutowe, wszyscy rozjechali się po domach, spotykają się co najwyżej prywatnie. Silnych struktur już nigdy nie

odtworzyli. Na nasze oko to już była „Solidarność”, która ma zaledwie jedną dziesiątą siły w porównaniu z ’81 rokiem. Potem próbują wywoływać strajki, są jakieś poczynania symboliczne, odezwy i tak dalej i nie ma to ogólnopolskiego oddźwięku w takim rozmiarze, jakiego się spodziewali. Czyli zapanowała pewna równowaga słabości po obu stronach, bo my też nie mamy poczucia, że w razie czego stoi za nami trzystutysięczna armia, sto tysięcy SB, sto tysięcy milicji i dwumilionowa partia. My byliśmy słabi i zgrani, „Solidarność” tak samo. Sądziłem więc, że nastąpił dobry moment do rozmów, do zbliżania się programowego i w perspektywie dzielenia się władzą. Uważałem, że w ’81 roku nie było z kim w ogóle gadać, ponieważ sprzeczności były tak ostre, że każda próba porozumienia skończy się upadkiem kierownictwa „Solidarności”, jeśli poszłaby na układy z władzą, albo do upadku naszego centrum władzy, gdyby poszło na układy z „Solidarnością”. Albo do upadku jednego i drugiego, gdyby nastąpiła eskalacja konfrontacji. A teraz dwie słabe siły mogą ze sobą rozmawiać. Szczególnie że to już inne siły niż w ’81 roku, bo po tylu latach mamy więcej wspólnego ze sobą – w kwestii pojęć, stosunku do demokracji, Zachodu. Oni mówili tak: „My jesteśmy silni swoimi racjami, tendencją historyczną, która grzebie komunizm, ale jako siła polityczna jesteśmy biedni, nieśmiali i niezbyt mocni”. I naprawdę tak sądzili. Gdy po Okrągłym Stole przychodził do mnie Michnik i prosił: „Pomóżcie nam, bo nas w tych wyborach skoszą i z porozumienia nic nie będzie”, to nie była taktyka, tylko faktycznie nie wiedzieli, jak się to wszystko potoczy. Ponadto na świecie też następują zmiany – w Rosji jest Gorbaczow, i my czujemy się jego forpocztą, a nie stroną, która reprezentuje beton, w USA kończy się Reagan, w Anglii kończy się Thatcher, socjaldemokraci rządzą w Niemczech i we Francji.

Jaka atmosfera panuje po waszej stronie? Poczucie przegranej bitwy o PRL czy nadzieja na nowe otwarcie wciąż na waszych warunkach?

Nie jestem dobrym źródłem informacji o atmosferze, bo nie byłem wprowadzany w przygotowania do Okrągłego Stołu. Przestaję być rzecznikiem rządu, mam nieokreślone stanowisko ministra bez teki, zostaję szefem Radiokomitetu, ogromnej instytucji liczącej jedenaście tysięcy

pracowników, której nie ogarniam. Czuję się odsunięty, dbam więc bardziej o swoją nieformalną pozycję polityczną u ołtarza niż o cokolwiek innego.

Okrągły Stół. *Na inauguracji obrad w Sali Kolumnowej Pałacu Namiestnikowskiego nachodzi mnie osobisto-dziejowa refleksja – pierwszy raz byłem na tej sali w ’53 roku, jak Aleksander Zawadzki wydawał przyjęcie z okazji światowego kongresu studentów, drugi raz w ’55 roku, jak powstawał Układ Warszawski. A potem zaczyna się wspólnota Okrągłego Stołu. Fajna wspólnota, wszyscy są kurtuazyjni*

wobec siebie, żartobliwi. Po rozmowach w Magdalence przygotowujących obrady i rząd, i opozycja są już zaprzyjaźnieni.

Dlaczego został pan odsunięty?

Żeby nie drażnić opozycji. Tak jak i Rakowski, dlatego jest taki wściekły i mówi, że będzie się troszczył o to, co na stole, a nie o to, co przy stole. On podpadł za likwidację Stoczni Gdańskiej, ja za całokształt. Faktycznie nie nadawałem się do takich rozmów, zresztą moje wcześniejsze próby skończyły się klęską. W pewnym momencie pracy naszego zespołu trzech sam zaproponowałem, żeby każdy wykorzystał swoje prywatne znajomości do bezinteresownych rozmów z opozycjonistami i żeby to był stały sposób porozumiewania się, bo nie może być tak, że z opozycją rozmawia tylko SB. Pomysł zyskał szumną aprobatę. Powiedziano mi, że mam się spotkać ze swoim odpowiednikiem, rzecznikiem „Solidarności", który właśnie wrócił z Zachodu. Jadę do Gdańska, mam umówioną rozmowę w Grand Hotelu w Sopocie, czekam o ustalonej godzinie, nie przychodzi. Pośrednikiem jest SB i wreszcie zjawia się ktoś od nich z informacją, że on jednak nie chce rozmawiać. Nie to nie. Jestem jednak wściekły, bo specjalnie jechałem, mając jego zgodę. Wracam do Warszawy i jeszcze niezrażony proponuję, że w takim razie porozmawiam z Modzelewskim. Od czasów negocjacji z „Solidarnością" w '81 roku jestem w nim wręcz zakochany. Nie dostaję pozwolenia. Czuję więc, że z mojej strony nic z tego nie wyjdzie. Do takich rozmów dobry jest Ciosek, brat łata, dyplomata, ugodowy. A ja jestem jastrząb, który się kłóci, pyskuje. Widzę, co się wokół mnie dzieje. Jak załatwiłem Marcinowi Królowi papier i lokal na „Res Publikę", a on popełnił tę nieostrożność, że zjadł ze mną obiad w urzędzie, to miał straszne nieprzyjemności ze strony swoich. I po dziś dzień mu wypominają ten obiad. Więc zobaczyłem, że ja rzeczywiście nie jestem właściwą osobą do kontaktów. Tak więc podczas przygotowań do Okrągłego Stołu tylko towarzysko uczestniczę w rozważaniach różnych scenariuszy, chociaż mam świadomość, że ci, którzy przygotowują strategię, liczą się z moimi wpływami u Jaruzelskiego. Pamiętam jakieś spotkanie, podczas którego Ciosek opisuje mi generalną koncepcję. Rysuje dwa jajka zachodzące na siebie i tłumaczy, że w ten sposób blokujemy się nawzajem z opozycją: my nie możemy zrobić ustawy bez ich aprobaty, oni bez nas także. I pyta, czy uważam, że to jest dobry balans, czy też istnieje groźba, że zablokuje się wszystko i nic nie będzie można uchwalić, bo jak

władza powie „tak”, to opozycja powie „nie”. Rozważamy, w jaką stronę może się zablokować. Na przykład my wprowadzamy kapitalizm, bo każdy może mieć przedsiębiorstwa, jakie chce, i zatrudniać prywatnie tylu pracowników, ilu chce, na co robotnicza „Solidarność” mówi: „Nie, bo musimy bronić ludzi przed zwolnieniami z pracy”. No to się zmieniają strony, sytuacja, karty. Tłumaczę Cioskowi, że nie ma jednak ryzyka, żeby wszystko się blokowało na amen, ponieważ rząd Rakowskiego doprowadził do zbliżenia programowego. Z takich nieformalnych rozmów pamiętam jeszcze jedną, podczas której rzuciłem pomysł, który – gdyby został zaakceptowany – być może odwróciłby bieg wydarzeń. Otóż w pewnym momencie w kontekście rysującego się projektu listy krajowej powiedziałem, że to będzie lista hańby i że nie należy tworzyć kontraktu wyborczego, tylko zrobić szybko, z zaskoczenia, wolne wybory. Skoro już mamy się dzielić władzą, to spróbujmy ugrać swoje. Miałem intuicję, że te procedury mające zapewnić władzę w postaci 65 procent nam, a opozycji 35 procent i Senat, prezydenta nam, to wszystko jest za bardzo wydumane i może się po drodze coś wywrócić. Moja propozycja została całkowicie zlekceważona.

Dlaczego?

Bo szedłem we właściwym mi kierunku ryzyka, chociaż sam nie byłem pewny, czy mam rację i czy możemy wygrać coś na tym ryzyku, ale wydawało mi się, że warto spróbować, bo z tego nadmiernego ostrożniactwa nic nie wyjdzie. A główną taktyką, zwłaszcza KC, było granie na czas, rozmydlanie, półrozwiązania, których najlepszym negatywnym przykładem był sam przebieg wiosny ’89. Przypomnę, że „Solidarność” chciała wtedy rejestracji i już. Oni wojowali tak jak każde wojsko, które myśli o poprzedniej wojnie, czyli jeśli wrócimy do stanu z roku ’80, to już będzie dobrze. Myśmy też bali się powrotu sytuacji z ’80 roku, więc krzyczeliśmy: wszystko, tylko nie rejestracja „Solidarności”. Oni na to, że bez „Solidarności” ani kroku dalej. To my, że zgodzimy się na reaktywację „Solidarności”, ale w zamian robimy kontraktowe wybory. Oni – dobrze, zapłacimy za to kontraktowymi wyborami, to siadajmy i zawrzyjmy kontrakt. I tak to się powinno skończyć – siadamy i w jeden dzień podpisujemy. Tylko że władza na to, że musimy wszystko starannie

ułożyć w gospodarce, bo jak „Solidarność” się odbuduje, to będzie żądała wyższych płac i cholera wie, czego jeszcze, trzeba więc po kolei dogadać się z góry co do wszystkich obszarów. I tak porobili stoliki, podstoliki, konsekwencją było prawie trzy miesiące gadania i trzy miesiące propagandy wyborczej „Solidarności”. Urządziliśmy na własny koszt i rękoma naszych ludzi kampanię promocyjną „Solidarności”, bo podczas tego gadania z góry byliśmy na słabszej pozycji. Obrona władzy, która ma tyle za uszami, jest o wiele trudniejsza niż jej krytykowanie. Paradoks polega na tym, że związek „Solidarność”, o który zabiegała opozycja, nie miał już tej co w roku 1981 liczebności i takiego znaczenia. A wybory, które miały być tylko zapłatą za przywrócenie „Solidarności”, przyniosły opozycji władzę.

Przed Okrągłym Stołem prowadziłem w pałacyku w Otwocku grę z częścią ekipy partyjno-rządowej. Podzieliliśmy się i część dyskutowała jako opozycja, część jako władza i zamienialiśmy się rolami. Opozycja zawsze wygrywała. To był zły omen.

Jednak w końcu to pan zostaje rzecznikiem Okrągłego Stołu po stronie władzy. Jak to się stało, że wrócił pan z wygnania?

Bo okazało się, że jestem takim uosobieniem tej funkcji po stronie rządowej, że nikt nie przyjmuje do wiadomości, że przestałem być rzecznikiem. Chyba wiele osób nawet o tym nie wie. Mój następca boi się wystąpić publicznie. Po drugiej stronie jest wyszczekany Onyszkiewicz, przed którym aparatczycy zwijają ogon. Jaruzelski uznaje, że tylko ja się mogę im przeciwstawić. I w ten sposób pojawiam się na inauguracji obrad w Sali Kolumnowej Pałacu Namiestnikowskiego. Uroczystość przeogromna, pompatyczna i historyczna, jak koronacja królowej. Siedzę z Onyszkiewiczem przy jednym stoliku i nachodzi mnie osobisto-dziejowa refleksja – pierwszy raz byłem na tej sali w ’53 roku, jak Aleksander Zawadzki wydawał przyjęcie z okazji światowego kongresu studentów, drugi raz w ’55 roku, jak powstawał Układ Warszawski. A potem zaczyna się wspólnota Okrągłego Stołu. Fajna wspólnota, wszyscy są kurtuazyjni wobec siebie, żartobliwi. Jemy wspólnie posiłki, dbając o to, żeby nie doszło do takiej sytuacji, że my osobno, oni osobno.

Nie było żadnych dąsów?

Ależ nie, pamiętam tylko jedną próbę afrontu. Kazimierz Dziewanowski, mój bliski kolega jeszcze z „Po prostu”, głośno powiedział: „No, teraz to ci mogę już rękę podać”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: „Nie zauważyłem, żebyś mi kiedykolwiek nie podawał ręki”. Mocno się speszył. Jeśli więc nawet wobec mnie nie było demonstracji niechęci, to tym bardziej wobec innych przedstawicieli reżimu też nie. Proszę pamiętać, że strona rządowa była reprezentowana przez dwie kategorie ludzi. Jedna to już zaprzyjaźnieni z opozycją Ciosek, Barcikowski, Czyrek, Miller, Kwaśniewski, Kiszczak. Oni prowadzili rozmowy w Magdalence przygotowujące obrady, więc już są kumplami. A druga kategoria to aparatczycy, których opozycja widzi pierwszy raz na oczy. Ma do nich stosunek z lekka pogardliwy, choć nieszczególnie ostentacyjny. Ja, chociaż obrzydliwy, jestem osobą towarzysko pożądaną, znaną z telewizji. Czuję się jak pączek w maśle.

Jak to jest z tym zaprzyjaźnianiem się z opozycją, przecież przez całe lata 80. pohukiwaliście, że Michnik i Kuroń to największa ekstrema. Do ostatka z dzikim wręcz uporem nie chcieliście ich dopuścić do Okrągłego Stołu. Co się nagle zmieniło?

Gdyby pani codziennie czytała w raportach MSW, że Michnik i Kuroń to są najgorsze politycznie stworzenia, jakie ziemia nosi, też by pani w końcu uwierzyła. Byliśmy zakładnikami systemu informacyjnego, który zastaliśmy po poprzednikach. Pamiętam, że jak Jaruzelski poznał ich osobiście, był w szoku. No i skończyło się to miłością. Zresztą przedstawiciele reżimu powszechnie popadali w jakiś dziwny stan ekstazy wobec niedawnych wrogów. Moim zadaniem, jako szefa Radiokomitetu, było skłonić naszych reporterów, żeby zadawali opozycji pytania kłopotliwe. Na nic moje wysiłki. Widzę, jak Marek Barański, uchodzący za topornego propagandzistę telewizyjnego, tańczy przed nimi na dwóch łapkach. To samo dzieje się w podstoliku do spraw prasy. Cała ekipa z KC przymila się jak cholera. Pewnego dnia widzę, że kierownik wydziału prasy zachowuje się jak molierowski fircyk w zalotach, płaszczy się, mizdrzy, pije z ust strony opozycyjnej. Takie zachowania ludzi budzą we mnie największą odrazę, więc wkraczam i na zasadzie odruchu przekory,

zmieniam nastrój, mówiąc do Marcina Króla, który szefował podstolikowi ze strony solidarnościowej: „Panie Król, ale pańskiej »Res Publiki« nikt nie będzie czytał, jak będzie wolność prasy. Pan miał premię z tej niewolności prasy”.

Przed wyborami. *Wiosną ’89 roku opozycja była słaba i obawiała się wyniku wyborów. Mówili tak: „My jesteśmy silni swoimi racjami, tendencją historyczną, która grzebie komunizm, ale jako siła polityczna jesteśmy biedni, nieśmiali i niezbyt mocni”. I naprawdę tak sądzili. Gdy po Okrągłym Stole przychodził do mnie Michnik i prosił: „Pomóżcie nam, bo nas w tych wyborach skoszą i z porozumienia nic nie będzie”, to nie była taktyka, tylko faktycznie nie wiedzieli, jak się to wszystko potoczy.*

Skąd ta nagła słabość do opozycji?

Ze strasznych kompleksów i z braku argumentów. Przy naszym stoliku wstyd się spierać o cenzurę. Mamy poczucie, że bronimy jej wbrew sobie, bo też uważamy, że jest anachronizmem. Druga strona chce znieść, ale też jest zdania, że ze względu na Związek Radziecki nie da się tego zrobić, więc realne są tylko ograniczenia.

Kto podczas obrad z pana punktu widzenia odgrywał pierwsze skrzypce w obozie solidarnościowym?

Myśmy się nad tym już od dawna mocno zastanawiali, co to teraz jest ta „Solidarność". Kto nią rządzi, czyje słowo jest miarodajne? No i według dominującej opinii to był Geremek.

A nie Wałęsa? Co prawda siedział w Gdańsku, ale Mazowiecki każdą decyzję konsultował z nim telefonicznie.

Nie wiedzieliśmy o tym. Dla mnie Wałęsa zawsze był niewyraźny. Podczas pierwszej „Solidarności" miałem wrażenie, że on ani jednego zdania nie powie samodzielnie, dopóki mu Celiński do ucha nie szepnie podpowiedzi. W negocjacjach nie brał właściwie udziału, poza jakimiś ogólnikami typu „No, no, nie zastraszajcie nas, liczcie się z nami". Podczas internowania też nie widziałem w nim osoby, która pociąga za sznurki. A potem, jak go wypuściliśmy, siedział w Gdańsku i jego rola też była niejasna, jakby żadna. Robił wrażenie bezradnego na własne życzenie. Dla mnie pierwszy raz Wałęsa wystąpił w jakimś sensie samodzielnie, nie jako kukła, dopiero podczas dyskusji z Miodowiczem.

A kto z waszej strony miał głos decydujący?

Moim zdaniem, choć tego nie wychwycił żaden historyk tamtej epoki, podczas Okrągłego Stołu nastąpiła rzecz bardzo istotna, czyli przesunięcie szczytu władzy. Władza jako substancja przesunęła się od Jaruzelskiego, Kiszczaka i ich współpracowników do Kwaśniewskiego, Millera i ich młodych współpracowników. To się działo z dnia na dzień. Wpierw, jeszcze podczas rozmów w Magdalence, oni dostawali dyrektywy od Biura Politycznego, na co mogą się zgodzić, na co nie. Wkrótce

nastąpiło odwrócenie ról i to oni mówili, na co trzeba się zgodzić. I biuro czy Jaruzelski przyznawali im rację. Wkrótce okazało się, że nieważni są ci wszyscy sekretarze, którzy zbierają się w KC i komentują zdarzenia. Ważni są tylko frontowi generałowie, którzy rozmawiają z opozycją, czyli Kiszczak, Kwaśniewski i inni. Następny krok był taki, że jak zaczęły się obrady Okrągłego Stołu, podzielone na wiele podstolików, każdego dnia zapadało mnóstwo konkluzji. Wieczorem szefowie głównych stolików, Reykowski, Baka, Kwaśniewski, jechali do KC i referowali, jakie decyzje zapadły. Czyli często stawiali KC przed faktami dokonanymi. Jak Kwaśniewski na bieżąco mówił w telewizji, że właśnie doszliśmy do takich a takich ustaleń, to nie miało już najmniejszego znaczenia, co na ten temat mówią wieczorem w KC, czy są zadowoleni, czy nie. To już poszło w świat. Kierownictwo partii nie panowało już nad tym wszystkim, bo za dużo było spraw, za dużo stolików. Nawet ja jako rzecznik nie ogarniałem tego wszystkiego i zacząłem być pasywny. Tak więc zadziałały nieformalne mechanizmy, jak na wojnie. Cesarz Wilhelm ma pełnię władzy, ale jak wybucha wojna, realną władzę przejmują jego generałowie. Przy Okrągłym Stole władza się przesuwała ku negocjatorom i oni stawali się coraz śmielsi, bo tylko oni byli wprowadzeni w szczegóły zagadnień. I bardzo szybko okazało się, że ten podział ma zasadnicze znaczenie, ponieważ ci, którzy negocjują, już myślą o swojej pozycji w przyszłości, a reszta odchodzi w przeszłość. Wyczuwa to, ale jeszcze o tym nie wie. To było przesuwanie się władzy pod wpływem wydarzeń, co w sytuacjach nieuporządkowanych, przejściowych, jest dość typowe w historii.

Zapadają jakieś ustalenia. Jak pan to wszystko ocenia?

Wtedy wydawało się ważne, żeby dojść do porozumienia przy różnych stołach, zminimalizować rozbieżności, notować rozbieżności do dalszego załatwiania. Tych spraw były setki. Mam ogromne tomy dokumentów, w których to wszystko jest odnotowane. Tylko że to nie ma i nigdy nie miało żadnego znaczenia. Pamięta się kontrakt wyborczy, bo z niego coś ważnego wyniknęło dla dalszego biegu zdarzeń. Natomiast te wszystkie ustalenia, dotyczące górników, praw związków zawodowych, ekonomii, zadłużania, sprawiedliwości, polityki karania, cenzury, wolności słowa, ograniczeń, młodzieży itd., ani przez pięć minut nie były ważne.

Nawet jak Mazowiecki już wziął władzę, nie przyglądał się temu, o co jego ludzie wojowali przy Okrągłym Stole. Wprowadzając reformy Balcerowicza, nie odwoływał się do okrągłostołowych ustaleń branżowych przedstawicieli „Solidarności", kiedy jakiś przywódca górników walił pięścią w stół i żądał wyższej płacy, mniej pracy i większych przywilejów. No, ale to wiadomo było dopiero potem, w tamtym momencie ja sam wpadam w tę krainę iluzji.

A czy jest taki moment lub wydarzenie, przy którym ma pan poczucie, że władza wymyka się wam z rąk?

Wpierw mieliśmy poczucie, że my, jako ludzie, którzy wiedzą, na czym polega władza, mamy naprzeciwko siebie idealistyczne dzieci, które nie mają pojęcia, o czym mówią. O ile w sprawach wolności politycznej zachowywali się kompetentnie, o tyle w sprawach gospodarczo-społecznych nie. Za nami stały racje budżetu, racje państwa, racje funkcjonowania urzędów. Ale faktycznie przychodzi taki moment, w którym czuję, że nie do końca panujemy nad sytuacją i możemy przegrać wybory, bo już toczy się kampania, chociaż nikt jeszcze oficjalnie jej nie ogłosił. W ramach ustaleń okrągłostołowych podpisujemy jakieś bzdury o niekonfliktowej kampanii, a właśnie jak najbardziej konfrontacyjna kampania toczy się już dzień po dniu. Do telewizji wchodzi „Solidarność" w osobie Kuronia. I zaczynam mieć komisarza.

Jak wygląda wasza współpraca?

Z dzióbków sobie pijemy. Ona ma ograniczone pole i na razie nie stara się go poszerzać. Porozumienie jest jasne. „Solidarność" pokazuje swój autonomiczny program, czyli muszę udostępnić studio, stworzyć wszelkie warunki, żeby można było program wyemitować, i się nie wtrącać. Pracujemy bezkonfliktowo, wszystkie ich programy puszczam, zatrzymuję tylko jeden. Dotyczy księży, których my ponoć zabiliśmy aż stu, jak potem wyliczył Rokita. W tym programie była masa nieudokumentowanych zarzutów, żadnych dowodów. Kuroń zgodził się ze mną, zapytał tylko, czy mogę wziąć to na siebie i zachować w dyskrecji, że przyznał mi rację. Oczywiście – odpowiadam – i tak mam u was przechlapane. On zadowolony poszedł do swoich i powiedział, że Urban

nie puszcza i już. Potem nasza współpraca dalej kwitła w przyjaźni. Ale pojawił się inny kłopot. Otóż program jest niewielki, ale ekipa „Solidarności”, pomocników, przyjaciół ogromna. I mam poczucie, że mi rozkładają spójność instytucji. Na przykład idę do baru, gdzie przesiadują wszyscy pracownicy telewizji, żeby pokazać, jakim jestem demokratą. Przy stoliku widzę aktorkę, z którą łączą mnie bardzo przyjacielskie stosunki. Dosiadam się i widzę, że ona sztywnieje. Cóż, mówię „cześć” i odchodzę. Do tej pory było tak, że jak prezes telewizji dosiada się do zaprzyjaźnionej aktorki, to ona była zachwycona. A tu raptem obciach. Zaczynają się takie klimaty.

Zbliża się 4 czerwca. Wcześniej są słynne badania pułkownika Kwiatkowskiego, wskazujące na waszą wygraną, potem zmartwienie Zygmunta Czarzastego, że „Solidarność” dostanie tak w kość, że trzeba jej pomóc. Jakie były realne nastroje w obozie władzy?

Zmienne, Biuro Polityczne obradowało gęsto i w zależności od tego, kto z jakiego województwa przyjechał i jakie wieści przywoził, raz wiało optymizmem, innym razem niepokojem. Trwały długie dyskusje ekspertów od ordynacji wyborczych, bo szczegóły nie zostały ustalone przy Okrągłym Stole, więc mogliśmy to narzucić. Rysowali wzory matematyczne, podawali obliczenia, mój mózg tego nie ogarniał. Ale zakładałem, że skoro siedzi nad tym tylu fachowców, wybiorą dobrze. Ja tylko sprzeciwiałem się liście krajowej, bo nie rozumiałem, po co wystawiać na sztych całe kierownictwo partii osobno. Jednak nie było tak, że mieliśmy naiwne oczekiwania. Liczyliśmy na 25–30 procent w Senacie i parę procent odwojowanych z puli „Solidarności”. W tym celu ładowaliśmy tzw. małpy na listy wyborcze. Prezenterów, sportowców, dziś powiedzielibyśmy „celebrytów”.

Pan również startuje. Kontrkandydatem jest Andrzej Łapicki.

Sam zaproponowałem, że chcę kandydować i to z list wolnych, jako bezpartyjny. Uznano, że przejdę, ponieważ 96 procent ludności znało nazwisko Urban, a w tych wyborach liczyły się znane nazwiska. Ponadto przydzielono mi Warszawę Śródmieście, bo tam zbierało się głosy z zagranicy. A Czarzasty gwarantował mi, że wygram na dwieście procent, bo wykalkulował, że za granicą emigracja nie pójdzie masowo do

wyborów, natomiast możemy liczyć na nasze budowy w Libii, Związku Radzieckim i tak dalej. A jako że tam jest nasza arystokracja robotnicza, wysyłana w nagrodę przez partię, świetnie im się powodzi, będą głosować na mnie z wdzięczności, a to było drugie tyle ludzi, co mieszka w Śródmieściu. No to uznałem, że nie będę prowadził żadnej kampanii wyborczej, raz pojechałem *pro forma* do szkoły gastronomicznej, coś tam pieprzyłem i zamilkłem. Zrobiliśmy na te budowy klip, Maciej Zembaty napisał piosenkę „A uszy ma wielkie, ogromne” i wysłaliśmy to na kasetach wideo. Nagle przychodzi Zembaty i mówi, że wycofuje piosenkę, bo towarzysze z „Solidarności” mają pretensje, że mnie popiera. Ale to już poszło. Wymyślamy historyjkę dla towarzyszy z „Solidarności”, że piosenkę zdobył zachodni dziennikarz, gdzieś ją puścił, budowlańcy ją skopiowali. Jakieś takie kłamstewka, żeby temu Zembatemu dali żyć. Łapickiego nie traktowałem poważnie. Amant kandyduje. Użyliśmy przeciwko niemu kronik filmowych z lat 50., które czytał, ale przede wszystkim wyobrażałem sobie, że aktor nie ma szans w starciu z takim zwierzęciem politycznym jak ja. Trwam więc w dobrym samopoczuciu, aż tu żona, która prowadziła moją kampanię wyborczą, relacjonuje mi swoją rozmowę z człowiekiem, który rekrutował ludzi na te zagraniczne budowy: „Proszę pani, wszyscy moi ludzie skreślą Urbana, nie ma mowy, tam są takie nastroje”. Byłem więc przygotowany na porażkę.

Wybory 4 czerwca 1989 r. *Startowałem do Sejmu i oczywiście przegrałem. Moim rywalem był Andrzej Łapicki. Nie traktowałem go poważnie. Amant kandyduje. Wyobrażałem sobie, że aktor nie ma szans w starciu z takim zwierzęciem politycznym jak ja.*

Cóż, wygrał pan w Ułan Bator. Jedyne miejsce…

Tak? Ja nawet tego nie pamiętam. Potem przyszły meldunki z różnych ambasad w państwach, gdzie głosowali zesłani na placówki ubecy, i okazało się, że nawet oni chcą nam dosolić, uważają się za skrzywdzonych przez reżim.

Jest 5 czerwca, znane są wyniki wyborów. Jak ten dzień wygląda w obozie władzy, która właśnie przegrała?

Zupełne zaskoczenie. Ale nie było paniki, rozpaczy, atmosfery bunkra Hitlera. Raczej zgaszenie. Jaruzelski wezwał mnie na posiedzenie Biura Politycznego. Moja historyczna rola polegała na tym, że napisałem oświadczenie, w którym uznawaliśmy wynik wyborów. Podałem kartkę Jaruzelskiemu, on kiwnął głową i puścił ją w obieg, mówiąc, że mamy propozycję komunikatu dla rzecznika KC, był nim wówczas Bisztyga. Nikt się nie odezwał, nie zgłosił żadnej poprawki. O ile całymi latami odbywało się ględzenie nad każdą duperelą, teraz nie było żadnej dyskusji. Po 45 latach rządzenia władzę oddano w milczeniu. Drugi paradoks polegał na tym, że dominującym zmartwieniem nie było to, że zmienia się właśnie ustrój, ale że personalnie dostali w zęby, bo przegrała prawie cała lista krajowa wymagająca połowy głosów wszystkich wyborców. Co stanowiło w moich oczach autodemaskację, bo okazało się, że wkroczenie w nowe konfiguracje jest ważniejsze niż wynik polityczny wyborów. Na przykład Rakowski niemal obraził się na lud, że okazał się niewdzięczny, że nadepnął mu na godność. A lud okazał się całkiem wdzięczny, miał świetny wynik, dostał przecież 48 procent głosów. Nie rozumiał, że wygrać konkurencyjne wybory i zdobyć 50 procent w całym kraju jest niezwykle trudno.

Ma pan poczucie, że to już koniec PRL?

PRL to trochę umowne określenie. O tym, że koniec PRL nastąpi niebawem, wiedziałem już, jak Gorbaczow ogłaszał, że doktryna Breżniewa przestaje obowiązywać, jak uchwalaliśmy ustawę, że wolno prowadzić działalność gospodarczą w nieograniczonym wymiarze, zatrudniać ludzi, ile się chce, wpuszczać kapitał z zagranicy. A już na pewno w maju ’89 roku,

jeszcze przed wyborami, kiedy nasz rząd uchwalał wszystkie możliwe przywileje dla Kościoła, mieliśmy poczucie, że zmieniamy ustrój. Na razie jednak nasz rząd dalej urzędował do września, Jaruzelski został prezydentem, a ja mam na głowie Radiokomitet, czyli wielką instytucję, w której wciąż miałem władzę. Bo nie było tak, jak to się dzieje w czasach rewolucji, że pełnomocnik „Solidarności" do spraw telewizji w osobie Kuronia i radia w osobie Jankowskiej wkraczają do budynku i zaczynają rządzić. Nie, nic się nie zmienia. Dalej funkcjonuje program „Solidarności" tylko jako wtyczka w normalny program. Rząd co prawda składa dymisję w lipcu, ale nadal jestem przewodniczącym Radiokomitetu, tylko że nie w randze ministra. Oczywiście wiem, że jestem na wylocie, ale dyrektywa naszych brzmi: nie ustępować, niech sami odwołują. Trzeba trwać, pomagać swoim. Kiszczak prosił mnie, żebym wysłał Irenę Dziedzic do Austrii jako korespondenta telewizji. Kiszczakowi się nie odmawia, podpisałem więc nominację dla Dziedzic, ale zaraz potem zlikwidowałem kilka placówek telewizji za granicą, w tym w Wiedniu. Takich spraw było od cholery. Aż w lipcu zadzwonił do mnie Mazowiecki i powiedział, że czas się rozstać. Zaprosił mnie do siebie i wręczył dymisję. A potem radził się, co robić w różnych politycznych sprawach. Mądrzyłem się przez godzinę, rozmawialiśmy bardzo przyjaźnie, zresztą Mazowiecki przesiadywał też u Jaruzelskiego i pytał o różne kwestie związane z mechanizmami rządzenia. Moim zdaniem bardzo dobrze, że tak się stało, bo dzięki temu Jaruzelski nie wetował uchwał rządu i sterował Kiszczakami, Siwickimi. Natomiast z punktu widzenia poznawania mechanizmów Mazowiecki źle wybrał osobę rozmówcy, bo Jaruzelski nie znał mechanizmów władzy, lepszy byłby choćby Janiszewski. No, ale skąd Mazowiecki miał o tym wiedzieć.

W jakim nastroju jest Jaruzelski?

Narzeka, że nowa ekipa pozbywa się dobrych, zasłużonych ludzi z urzędów.

Przecież tak wygląda przejęcie każdej władzy.

Owszem, ja mu litościwie nie przypominam, że internował poprzednika… On to wszystko rozumie, tylko że starzy towarzysze

naciskają na niego, proszą o pomoc. Trudna jest sytuacja prezydenta, który już nie ma w swoim ręku zbyt wielu posad, a ludzie tracą swoje stanowiska i szukają ratunku u swoich.

Jakie są wówczas pana relacje z generałem?

Z początku byłem jego nieformalnym doradcą. Przekonywałem go na przykład, żeby nie przyjął wyboru jednym głosem i odmówił wzięcia prezydentury. Niech oni się martwią. Kontrkandydata nie ma, niech powtarzają wybory. Myślę, że tak by się stało, bo oni obawiali się, że Jaruzelski może się odwołać do wojska, więc wynik powtórzonych wyborów byłby dla Jaruzelskiego dużo korzystniejszy. Ten jeden głos to był policzek dla niego, bo przecież jego kandydatura była ustalona, choć nieformalnie, przy Okrągłym Stole.

Czuł się mocny w Belwederze?

Nie. Miał poczucie całkowitej schyłkowości i uboczności. To był polityk, który przedtem dzierżył pełnię władzy w kraju. Wiedział, że ta prezydentura jest ersatzem dawnej władzy, że jest tymczasowa.

A jak pan się czuje, też pozbawiony władzy, stanowisk, znaczenia?

Czuję niepokój bytowy. Zawsze myślałem, że w razie czego mam świetne lądowisko jako naczelny „Szpilek”. Nie przewidziałem, że zespół powie „nie”. Jaruzelski chciał mi załatwić posadę szefa „Rzeczpospolitej”, ale już wiedziałem, że dla każdego zespołu jestem obciążeniem, wobec tego nie mogę pracować w swoim zawodzie. A że nie jestem już tak młody jak za czasów, kiedy byłem w podobnej sytuacji, wpadłem, jak żona mówi, w depresję. Może to nie była depresja, ale stan apatycznego czekania. Co prawda dostałem wysoką emeryturę ministra, ale wkrótce ustawą rządu Mazowieckiego zlikwidowano te emerytury. Wtedy kłopot, co robić, zmienił się w problem, z czego żyć.

Czy nie miał pan poczucia, że właśnie nastąpił moment, w którym historia przyznała rację tym pana kolegom, którzy opowiedzieli się po stronie „Solidarności”?

Nie. Bo ja też tworzyłem tę historię.

Życie władzy

Zanim zamkniemy ten etap pana życia, proszę mi powiedzieć, jak to jest, gdy zmienia się środowisko arystokracji dziennikarskiej, w której przez lata pan się obraca, na towarzystwo partyjnych, wśród których są tak kabaretowe postacie, jak generał Baryła, Oliwa i inni…

Ale ja towarzysko się w tej władzy nie udzielałem w najmniejszym stopniu. Nic pod tym względem się nie zmieniło, Rakowski, Passent, Garlicki to nadal grono moich przyjaciół i wśród nich prowadzę życie rozrywkowe. Jedyną osobą z władzy, z którą się zaprzyjaźniam, jest Stanisław Ciosek. W ogóle do głowy mi to nie wpadło, żeby zmieniać środowisko, to nie było moje towarzystwo. Z wspomnianym generałem Oliwą miałem raz do czynienia i faktycznie wyglądało to groteskowo. Byłem świadkiem, jak zaostrzonym ołówkiem pisał coś, co miało być wygłoszone publicznie. Robił to w ten sposób, że pisał, potem mozolnie wycierał gumką, pisał raz jeszcze w miejscu, które wymazał, znowu wycierał, i znowu pisał, co było wielkim fizycznym trudem. Umysłowy trud polegał zaś na tym, że nad tą jedną kartką siedział od rana do wieczora, błędnym wzrokiem szukając pomocy u otoczenia. Okrutnie z Cioskiem wyśmiewaliśmy się z tego idioty, nawet powiedziałem Jaruzelskiemu, że on nie bardzo przystaje do inteligentnych ludzi w KC jak Czyrek czy Barcikowski. Jaruzelski na to, że owszem, ale potrzebni są też wykonawcy, a on zrobi wszystko, co mu każe. Żołnierskie podejście. Taka mentalność sprawiała, że dla generałów i samego Jaruzelskiego mój styl życia stanowił pewną egzotykę. Byłem inny niż ci jego oficerowie w gustach, w obyczajach. Luz, niezależność, z jaką się wcześniej nie spotkali w swoim środowisku. Dla nich nie do pomyślenia było powiedzieć nad ranem generałowi, że wszystko mi jedno, czy w przemówieniu zamieni „żeby” na „aby”. Siłą rzeczy byłem bardzo służebny i posłuszny, ale jednocześnie inaczej się zachowywałem wobec przywódcy, inaczej mówiłem, inaczej siadałem. Dopiero potem ta władza się zmieniała, pojawili się Kubiak,

Reykowski, Wilczek, Kwaśniewski, postacie też nie z tamtego świata. Powoli przestawałem być dziwnym zwierzęciem.

Ale działa to w dwie strony. Wspomniał pan wcześniej o różnicach kulturowych, do których pan się musiał przyzwyczajać. Na czym polegały?

Kłopot miałem z KC. Tam na przykład po posiedzeniu Biura Politycznego podawano obiad. To były jakieś góry mięcha, po kilogramie na osobę, taka chłopska obfitość, i każdy z członków Biura zachowywał się tak, jakby właśnie przyjechał z głodnej wsi i dorwał się wreszcie do żarcia. W ten sposób w KC celebrowano swoją pozycję, bo mięso w takich ilościach dawano tylko Biuru Politycznemu. Zresztą to była wieloletnia tradycja. Wiem z opowieści jeszcze z czasów bierutowskich, a była to opowieść Tadeusza Dietrycha, ministra finansów u Cyrankiewicza, że jak wzywano ministrów na posiedzenie biura, siedzieli w sali przechodniej i widzieli, jak wnoszono misy z lepszym żarciem dla biura, a oni dostawali gorsze. Jego to jako Europejczyka, bo takie miał o sobie mniemanie, bardzo raziło. Natomiast w rządzie dietetyk dbał, żebyśmy nie przytyli, więc obiadki były malutkie. Generałowie wychodzili zawsze głodni.

Poza tym w KC pito od rana, w rządzie dopiero w ostatnich miesiącach wokół Sekuły odbywało się pijaństwo. Ponadto KC jechało na jałowym biegu, pozorowano jakieś komisje, jakieś papiery, ale to działało tylko dla siebie, bez żadnego wpływu na rzeczywistość. Panowała tam straszna hierarchia, w rządzie wszystko było inaczej, nowoczesna jak na owe czasy organizacja pracy, ekspert miał dostęp do decydenta bez żadnych szczebli hierarchicznych. Nawet pokoje inaczej wyglądały. Wnętrza w gmachu rządu za moich czasów były wręcz piękne, u premiera i wicepremierów dobrze dobrane antyki, ministrowie mieli nowoczesne meble wybierane ze smakiem przez projektantów. A w KC wielka żałość, tandeta.

Obyczaje władzy... Składałem w „bratnich krajach” tzw. wizyty oficjalne. W Budapeszcie ambasadorem był członek Biura Politycznego. W swojej rezydencji wydał koktajl na moją cześć i zaprosił węgierskich prominentów. W pewnej chwili moja żona poszła do łazienki. Ambasador

wparował tam za nią i do poznanej pół godziny wcześniej ministrowej zaczął krzyczeć: „Pokaż cycki, pokaż cycki”.

Jakie życie prowadzi urzędnik państwowy?

Pracowite. Codziennie wstaję o czwartej rano, piszę coś dla zarobku. Pensja ministerialna była przyjemna, ale miałem większe apetyty. Potem na ósmą czy dziewiątą jechałem do pracy i siedziałem tam do wieczora. Byłem dyspozycyjny dla dziennikarzy, ale też brałem udział w niezliczonej ilości formalnych i nieformalnych komitetów rządowych, komisji przygotowujących różne ustawy. Wychodziłem z założenia, że muszę znać argumenty, kontrargumenty, szczegóły. Tak intensywnie pracowałem chyba jedyny raz w dziejach. Zresztą ta władza w ogóle była pracowita, zwłaszcza Jaruzelski. Nie prowadził życia towarzyskiego i nie bardzo rozumiał, jak można czas poświęcać na inne rzeczy niż praca. Pamiętam, jak wieczorem siedziałem w restauracji w Victorii i w pewnym momencie *maître d’hôtel* krzyczy przez salę: „Panie ministrze Urban, pan Jaruzelski dzwoni!”. Podchodzę do telefonu, tłumaczę generałowi, że nie mogę teraz rozmawiać, bo jestem w restauracji i cała sala słucha. Jemu to się w głowie nie mieściło, był przekonany, że sekretariat połączył go z moim gabinetem, bo jak to tak, zamiast siedzieć w pracy w nocy jak on, ja jestem w knajpie. Bardzo dbano o obraz władzy pracowitej, zniesiono na przykład zwyczaj balów sylwestrowych, jakie wyprawiano za Gomułki i za Gierka. Władza się nie bawi, a nawet jak się bawi, nie jest to widowisko dla ludzi.

W pewnym momencie dostał pan ochronę BOR. Czego pan się bał?

Ja niczego, ale po śmierci Popiełuszki Jaruzelski uznał, że trzeba mnie chronić. Mieszkałem wtedy na niskim parterze i codziennie koło drugiej w nocy ktoś walił w okno, krzycząc „Urban, ty świnio”. W jakiejś luźnej pogawędce wspomniałem o tym Jaruzelskiemu. Generał zadzwonił przy mnie do Kiszczaka: „Czesław, trzeba coś z tym zrobić”. No, myślę, będzie spokój. Ulegam nawet złudzeniu, że wynajęto mieszkanie, żeby ochrona miała mnie na oku przez całą dobę. Widzę bowiem, że w domu naprzeciwko cały czas pali się światło na pierwszym piętrze. Aż po kilku tygodniach, może dwóch, przychodzi stary sierżant milicji z teczką i mówi, że jest tu dzielnicowym. Podobno panu ministrowi pukają w okno i nie dają

spać. No, to gdyby znowu przyszli, proszę zadzwonić, przyślemy radiowóz. Czyli moja historia kończy się tak, jak każda skarga obywatela, że mu pukają w okno. Potem mi jednak dali mieszkanie w rządowym domu na Powiślu i dostałem stałą ochronę BOR. To oznaczało przejście do zupełnie innej klasy, bo ochrona BOR kończyła się na wicepremierze, z ministrów miał tylko szef MSZ. Zresztą z tym BOR-em jako ochroniarzami to była zupełna lipa. Raz w jakiejś knajpie na wyjeździe siedzieliśmy na górze i ludzie z dołu zaczęli rzucać gotowanymi kartoflami. Borowiec się wychylił przez barierkę i powiedział „noooo!”. Przestali. To był jedyny incydent wymagający ich interwencji. A raz faktycznie poczułem strach, ale to był właśnie wynik przydzielenia mi ochrony. Wracając z terenu służbowym samochodem z kierowcą, potrąciliśmy dziecko na ulicy, na pasach. Zrobiło się zbiegowisko, ochroniarz z BOR-u kazał mi wysiąść z auta i spokojnym krokiem się oddalić. Wtedy faktycznie bałem się linczu, ale nic takiego nie nastąpiło. Dziecku na szczęście też nic poważnego się nie stało, chociaż z początku myślałem, że to trup.

Na czym innym polegało uprzywilejowanie chronionego. Otóż ku mojemu zdziwieniu łączyło się to z dostępem do produktów. BOR prowadził swoją garmażerię, masarnię itd. Tam można było kupić wszystko. BOR-owiec przywoził, co się chciało, i raz na miesiąc regulowało się rachunek. Pamiętam, jak pewnego wieczoru przychodzimy do Rakowskich na kolację. Kępińska mówi: „Och, wystałam w kolejce doskonałą kaszankę i salceson”. Mrugamy do siebie z żoną, bo codziennie mamy tego w bród. Mówimy, że przecież to jest z tej samej bazy, a ona twardo, że z żadnej bazy nie korzysta, z żadnych przywilejów. Po czym siedzę u Rakowskiego w gabinecie i słyszę Kępińską przez głośnomówiący telefon: „Fraku, powiedz panu Marianowi, żeby przywiózł jeszcze masło, bo zapomniałam zamówić”. Te kaszanki ze sklepu BOR odegrały też rolę światową. Otóż w ’87 roku nagle dostaję wiadomość, że przyjeżdża Jane Fonda z mężem, wówczas amerykańskim senatorem. Omawiając program pobytu z polską placówką, aktorka życzy sobie kolacji ze mną. Bardzo mnie to ucieszyło i zaimponowało mi. Chcieli się spotkać z opozycją, ale też z reżimem w mojej osobie. Zacząłem myśleć, jak ją podjąć. Dla takiej gwiazdy żadną atrakcją nie będzie przecież kolacja w hotelu Victoria, choćbym zamówił homary i kawiory. Wymyśliłem więc, że będzie miała co opowiadać, jeśli ją przyjmiemy w naszym skromnym mieszkaniu i poda się

biały ser i kaszankę. I tak zostało to przygotowane. Poza tłumaczem doprosiłem Rakowskich. No i rzeczywiście przyjechali do nas. I była, kaszanka, biały ser, ogórki i wódka. Bardzo miła rozmowa, wszystko poszło dobrze. Po czym jak wróciła do USA, udzieliła wywiadu, w którym powiedziała, że warunkiem przyznania jej wizy do Polski było spotkanie ze mną. Pewnie zaatakowali ją w Ameryce za spotkanie z Urbanem, więc wymyśliła taką historyjkę. Byłem wściekły na siebie, że szykowałem tę kaszankę i ser.

Uprzywilejowana pozycja w związku z ochroną BOR pozwalała mi również na korzystanie z lepszego lokum w rządowych ośrodkach wczasowych. Zresztą bardzo nędznych, jeśli chodzi o wyposażenie, ale płaciło się grosze, były pięknie położone, wielkie przestrzenie, pełna izolacja. Tam też panowała hierarchia. W Łańsku na Mazurach można było mieć pokoik w hotelu, apartament z czterema pokojami albo willę z tarasem z widokiem na jezioro. Hierarchia odpowiadała roli partyjnej i państwowej. Ja należałem do wysokiej kasty właśnie przez to, że byłem objęty ochroną BOR, czyli mogłem liczyć na willę. Ale nie na tyle wysokiej, żeby móc na przykład mieszkać ze swoim psem. A Kiszczak mógł. Mój kolega przemycał tam kota i tak go wytresował, że jak mówił: „Kierownik idzie”, kot się rozpłaszczał w łóżku i był niewidoczny. Te urlopy miały swoje rytuały, piło się na pomoście nad jeziorem, ale ja w tym nie uczestniczyłem. Z władzą widywałem się tylko przy posiłkach w stołówce.

Czy pan miał w ogóle kontakt z rzeczywistością?

Zależy, co uznać za rzeczywistość.

Po prostu, na przykład idzie pan do sklepu.

Nie. Do sklepu nigdy nie chodziłem i nie chodzę. Przez ostatnie dziesięć lat raz byłem w sklepie, kiedy sobie kupiłem szlafrok. Mój kontakt z życiem codziennym był słaby, ale jednocześnie całymi dniami zajmowałem się analizą życia codziennego w skali państwowej. Wiedziałem, jak wygląda zaopatrzenie z dokumentów Ministerstwa Handlu Wewnętrznego.

Co innego dostać tabelkę, a co innego zobaczyć puste haki.

Byłem człowiekiem zapracowanym, a w domu siedziała niezapracowana żona. I ona była elementem kontaktu z codziennością. Dziś też tak jest.

Rzeczywistość ma jeszcze taki wymiar: po stanie wojennym syn Rakowskiego emigruje, jego pierwsza żona Wanda Wiłkomirska zrzeka się polskiego obywatelstwa, a pana córka wychodzi za mąż za opozycjonistę.

Z córką kontakty miałem nikłe tak samo wówczas, jak i przedtem, po moim rozwodzie z pierwszą żoną wychowywała ją matka. O tym, że jest zamieszana w działalność opozycyjną, dowiedziałem się od Jaruzelskiego. Kiedyś wzywa mnie i mówi: „Wiecie, rozumiecie, jest taka sprawa, że musimy zrobić rewizję w mieszkaniu waszej córki, bo tam się coś drukuje". Wobec tego powiedziałem, że składam dymisję, żeby nie było poruty dla władzy. Przy tej rozmowie był Kiszczak, zaczęli żartować, że dwaj dzielni generałowie nie będą się bać mojej córki. Stanęło na tym, żeby podczas rewizji nie było jej w domu. Pojechałem do swojej matki, dałem jej pieniądze i poprosiłem, żeby wezwała moją córkę, powiedziała jej, że przyszli jacyś ludzie z konspiracji, zostawili dla niej forsę i kazali na jakiś czas uciec z Warszawy. Nie wiem, czy uwierzyła, w każdym razie wzięła pieniądze i wyjechała. Po jakimś czasie przyszła do mnie z prośbą, czy mógłbym pomóc, bo jej chłopak, drukarz podziemnego wydawnictwa NOWA, siedzi. Wiedziałem, że za dwa tygodnie będzie amnestia, więc obiecałem, że wyjdzie za dwa tygodnie. Pożegnała mnie zadowolona, a ja nie zaprzątałem sobie tym głowy. Potem odbył się słynny ślub córki, na którym był kwiat opozycji, amerykańskie telewizje, fotografowie z podziemia i z SB i ja w całym tym bigosie z wielkim bukietem kwiatów dla panny młodej. Znów, jak podczas przyjęć w ambasadach, żeglowałem między znajomymi, którzy się ledwo odkłaniali albo wcale.

Żadnej rozmowy wychowawczej z córką?

Skądże znowu, uważałem, że to jest jej wybór, jej życie. A poza tym to by robiło wrażenie, że zależy mi na karierze.

A nie zależało?

Ja już ją zrobiłem, może nawet bardziej w wymiarze międzynarodowym. W drugiej połowie urzędowania intensywnie jeździłem po świecie. Zrobiła się moda na Urbana od Moskwy po Hawanę. Odwiedziłem wszystkie kraje socjalistyczne oprócz Rumunii. To były oficjalne wizyty na zaproszenie rządów tych krajów, czyli z całym ceremoniałem – witanie, żegnanie, bankiet u ambasadora, najlepsze hotele. To mi tak przewróciło w głowie, że do dziś podczas wyjazdów nocuję w jakichś drogich, ogromnych apartamentach. Byłem tam zapraszany jako wzór i nauczyciel, jak robić dobry pijar rządowi. Wszędzie mnie pytano, w jaki sposób znaleźć drugiego takiego Urbana. Im się zdawało, że jeśli się znajdzie zdolnego rzecznika, to władza nawiąże lepszy kontakt ze społeczeństwem. Tylko że zdarzały się bolesne wpadki. Na przykład rzecznik rządu NRD nie mógł prowadzić konferencji prasowych, ponieważ kiedy raz wystąpił publicznie, jakaś gazeta w Berlinie Zachodnim napisała: „Wczoraj w Berlinie Wschodnim odbyła się konferencja prasowa na temat hitlerowców w rządzie RFN. Konferencję prowadził Kurt (nie pamiętam, jak się nazywał), legitymacja NSDAP numer…”, i tak dalej. I na tym kończyła się wiadomość. W Hawanie tłumaczyłem sali nabitej aparatczykami, że nie muszą szukać drugiego Urbana, że rzecz nie polega na znalezieniu osoby, ale na odpowiedniej polityce informacyjnej rządu. Dla zobrazowania tego mechanizmu posłużyłem się przykładem, że jeśli barman w jakiejś knajpie będzie dobrze poinformowany i dziennikarze dowiedzą się o tym, to spełni tę rolę, nie mając żadnych innych talentów. Oni z tego wszystkiego zrozumieli tylko tyle, że radzę im zamiast rzecznika rządu postawić przed publicznością barmana. Strasznie ich to uraziło. I tak jeździłem od kraju do kraju, z jednej strony wyrazy podziwu łechtały moją próżność, z drugiej pęczniała moja duma z PRL.

Z czego ta duma wynikała?

Miałem poczucie wolności, swobody panującej w naszym kraju w przeciwieństwie do ich ograniczeń, które mnie śmieszyły. Przykładowo w latach 70. z poprzednią żoną wyjechałem na urlop do Soczi, gdzie wybudowali hotel na wzór zachodnich. Wszystko pięknie, jest i basen koło plaży. Ale ogrodzony siatką i nie można wejść. Dlaczego? Bo trzeba mieć wszystkie badania wykluczające choroby zakaźne. Dają kartkę z hotelu do

laboratorium, pobierają krew, wyniki są za dwa tygodnie, czyli akurat wtedy, jak się wyjeżdża. Na basenie w związku z tym nikt nie pływa, ale codziennie waruje dwóch ratowników i pielęgniarka do udzielenia natychmiastowej pomocy.

Inny przykład już z lat 80. Przyjechał do Polski dziekan uniwersytetu w Tbilisi, światowej sławy matematyk. Poproszono mnie, żebym się nim zajął. Zamówiłem na wieczór stolik w eleganckiej restauracji ze striptizem. Jadę po niego do hotelu, siedzą w pokoju z żoną, ona w wieczorowej sukni zapłakana, on zasmucony. Okazało się, że kierownik wycieczki zakazał im wyjścia do restauracji ze striptizem. Wściekłem się, to członek polskiego rządu zaprasza na kolację, a jakiś kierownik zabrania? To dopiero będzie afera międzynarodowa, a nie to, że wielki matematyk poszedł na striptiz. Po mojej awanturze kierownik poprosił, żebym poczekał, zadzwoni do Moskwy. Przyszedł po chwili, bezradnie rozkłada ręce: „Nie da rady, nie da rady”. Pytam profesora, co go obchodzi, że ktoś tam nie pozwala, idziemy i już. On na to: „Błagam, nie, bo następnym razem nie dostanę paszportu”. To była kolosalna różnica, polskie społeczeństwo, przynajmniej wielkomiejskie elity, ze względu na obfitość podróży na Zachód, na zmasowaną krytykę absurdów socjalizmu, która przez lata się toczyła, było już w zupełnie innym miejscu.

Wyjeżdżał pan tylko do demoludów?

Ależ nie, jeździłem wszędzie, Francja, Włochy, Hiszpania, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Szwecja. Byłem przez rząd gęsto wysyłany, bo gdzie się pojawiłem, miałem dużą widownię zachodnich dziennikarzy, a nawet emigracji. Tak było na przykład w Londynie. Na spotkanie w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, poza dziennikarzami brytyjskimi, przybyło liczne grono starej emigracji. Wydałem koktajl i byłem bardzo mile przez nich witany. Przyszedł również George Urban, były dyrektor Wolnej Europy, który kiedyś napisał felieton, że jest dwóch Urbanów, jeden oczywiście plugawy, drugi oczywiście wspaniały. Wtedy podszedł do mnie, serdecznie się sobie przedstawiliśmy i radowali sobą. Pełniłem więc po trosze rolę ocieplacza stosunków z peerelowską władzą. Choć różnie bywało. Jak pojechałem potem do Oksfordu z odczytem, władze uniwersytetu podejmowały mnie uroczyście, wydały kolację. Idąc

na odczyt, mijałem gabinet z napisem „Profesor Leszek Kołakowski”. Kołakowski nie zjawił się ani na odczycie, ani na kolacji.

Innym razem rząd mnie wysłał do Londynu z upoważnieniem do rozpoczęcia negocjacji z Anglikami w sprawie zaprzestania zagłuszania BBC. Siedzę z kierownictwem stacji przy lunchu, mówię, że przestaniemy zagłuszać, jeśli nas dopuszczą do głosu. Proszę bardzo, dopuszczą – usłyszałem. I zaproponowali, żeby od razu nagrać rozmowę ze mną. Tak też się stało, rozmowę prowadził szef polskiej sekcji Eugeniusz Smolar. Po rozmowie zaprosił mnie minister spraw zagranicznych Malcolm Rifkind i zapytał, czy może to ogłosić, bo właśnie jedzie do Izby Gmin. Napisaliśmy wspólne oświadczenie i on je odczytał w parlamencie.

MSZ uznawało moje wyjazdy za wielki sukces. Namiętnie zapraszali mnie do Austrii, byłem tam dwa razy z urzędową wizytą najwyższej rangi, podejmował mnie bowiem premier i prezydent. Był nim Kurt Waldheim. Wyszła właśnie sprawa jego nazistowskiej przeszłości, zapadła więc u nas polityczna decyzja, że dobrze będzie, żebym ja, Żyd, go odwiedził. Był ignorowany przez świat, więc ze szczęścia, że ktoś do niego przyjechał, nie chciał mnie wypuścić z rąk. Oprowadzał mnie po komnatach Marii Teresy, pokazywał obrazy, porcelanę, ściskał mnie za rękę przy kawie. Mieliśmy więc znakomite stosunki z Austrią.

Te wszystkie zaproszenia i wyjazdy szalenie mi pochlebiały, czułem się jak *Wunderkind*, co powodowało w jakimś stopniu psychologiczną barierę obojętności na ataki w kraju. Niech sobie plują, ja mam swoją publiczność.

Część III.
Prowokacja

Rozczarowanie lewicą

Jak pan sobie wyobrażał swoją przyszłość w nowej rzeczywistości?

Marnie. Bo co ja wtedy robię? Rakowski został pierwszym sekretarzem, dał mi pokój w KC, żebym miał dokąd wychodzić z domu. Szumnie nazywało się to, że jestem doradcą Rakowskiego. Czasem gadaliśmy, ale generalnie to był pic. Potem wymyśliłem agencję prasową. Jeszcze istniała RSW Prasa, miała kupę forsy, wydawaliśmy biuletyny przeznaczone tej dla prasy partyjnej, która jeszcze została, żeby mieli publicystykę, wiadomości z życia lewicy, których nie podaje PAP przejęty przez Mazowieckiego. Pamiętam, że usiadłem w budynku typu Lipsk w wielkim, ohydnym gabinecie jako szef licznej agencji, bo tam zaczepiło się mnóstwo komuchów, którzy jak ja stracili robotę. Nie wiem, co robić, redaguję jakiś biuletyn, którego nikt nie bierze. Bezsens. Dali mi poloneza, jeżdżenie takim autem było dla mnie straszną przykrością, czułem się, jakbym w krowim zaprzęgu podróżował.

Poczucie degradacji?

Przede wszystkim niezainteresowanie. Z agencji zrezygnowałem, zresztą wkrótce potem zdechła. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić, aż napatoczył się wydawca z pomysłem „Alfabetu Urbana”. Napisałem go w dwa tygodnie.

I w ten sposób z beneficjenta socjalizmu stał się pan beneficjentem kapitalizmu. 750 tysięcy sprzedanych egzemplarzy, ogromne pieniądze.

Owszem, 120 tysięcy dolarów, które zarobiłem na książce, to była rzeczywiście duża suma jak na początek lat dziewięćdziesiątych. Pieniądze wpadły zupełnie niespodziewanie, na początku nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Przede wszystkim miałem barierę przed ostentacyjnym wydawaniem, chociaż trudno mi było udawać, że pieniądz nie gra roli. Pojechaliśmy z Gosią do Berlina na pierwsze sprawunki, nakupiliśmy

chłamu, jak to nuworysze. Ale do głowy nam jeszcze nie przyszło, żeby zamieszkać w hotelu, nocowaliśmy na podłodze w mieszkaniu u jakiejś dalekiej znajomej. Znaliśmy wówczas ludzi, którzy gwałtownie się wzbogacili i palma im odbijała zupełnie. Jeden z nich dał Gosi citroena, wynajął w Klarysewie willę po Gierku. Spotkaliśmy się w Paryżu, rozrzucał garściami pieniądze po nocnym lokalu, gdzie siedzieli sami bandyci, bałem się, że go zamordują. Potem zbankrutował. Przed takim szaleństwem chroniła mnie właśnie bariera kulturowa. Na dodatek nie mam talentu do biznesu, o czym świadczą dobitnie dwie próby pomnożenia pieniędzy z „Alfabetu”. Już miałem pomysł na tygodnik, ale w jakiejś rozmowie z Jaruzelskim rzuciłem, że chciałbym z zyskiem obrócić tymi pieniędzmi. Jaruzelski na to, że zadzwoni do Gorbaczowa, on na pewno pomoże. Po kilku dniach przekazał mi, że Gorbaczow oddał moją sprawę ministrowi handlu zagranicznego. Wkrótce zawiadomiono mnie, że tenże minister wniósł uchwałę rządu ZSRR, że do interesów z Polską rekomenduje moją spółkę Kier. Poszedłem więc do radcy handlowego w ambasadzie rosyjskiej i pytam, co mam robić. On na to, że trzeba założyć biuro handlowe i handlować. Założyłem, zatrudniłem cztery urzędniczki zwalniane z central handlu zagranicznego. Miały zbierać oferty od naszych przedsiębiorców, co chcą wyeksportować do ZSRR, a stamtąd, co mamy sprzedawać. I tak te papiery wędrowały tam i z powrotem, bo tu za drogo, tam za późno. Poszedłem znów do radcy i mówię, że coś nie idzie, papiery krążą i nic. „No to przynieście te papiery”. Zobaczył i mówi, że nasza oferta jest bardzo dobra, oni proponują torf. I tak chodziłem do niego, przyjmował mnie z radością, od rana pił wódkę i symulował działania. Urzędniczki pracowicie wysyłały i przyjmowały papiery. Po dłuższym czasie zobaczyłem, że to zaklęty krąg papierów, a handel się toczy innymi ścieżkami. Machnąłem ręką i zlikwidowałem biuro. Chociaż gdybym miał rozum, żeby oddać tę sprawę w ręce biznesmena, na takiej uchwale rządu ZSRR mógłbym zarobić kolosalne pieniądze.

Pojawił się kolejny pomysł. Dyrektor mojej spółki przekonał mnie, że trzeba kupować piwo w Berlinie i sprzedawać je w Polsce. Robił jakieś wyliczenia, że na ciężarówce sprowadzonego piwa zarabia się pięć tysięcy dolarów. Kupiliśmy więc ciężarówkę piwa. Zostało sprzedane bez problemu i bez zarobku. Wtedy wyszło na jaw, że on ma córkę w Berlinie i ona kupuje tam to piwo za stawki wręcz detaliczne. Na dodatek okazało

się, że nie mamy prawa importu piwa, bo na to trzeba mieć koncesję. Zaczęła się akurat afera alkoholowa, i tak w ogóle nie zarobiwszy, zarobiliśmy na kryminał. Jakoś się z tego wywinąłem przy pomocy sztuczek prawno-księgowych. Potem przyjechało do mnie dwóch facetów z Ameryki, mówiąc, że przyszłością jest internet, tego w Polsce nie ma i warto się tym zająć. Ani nie potrafiłem zrozumieć, co to w ogóle jest, ani uwierzyć, że to dobry biznes. Potem dostałem propozycję, żeby za psi grosz kupić „Angorę". Odmówiłem, to był kolejny błąd, dziś miałbym na długo zabezpieczenie.

Nie przesadzajmy z tym brakiem smykałki do interesów. Założył pan tygodnik, który przyniósł wielkie pieniądze. Porozmawiajmy o „NIE". Skąd pomysł na taką formułę gazety?

Uznałem, że potrzebne jest pismo satyryczne, a satyra typu „Szpilki", czyli jakieś humoreski, fraszki to już jest anachronizm, który nie ma wzięcia. Obejrzałem francuskie pismo „Le Canard enchaîné", pisany zjadliwie tygodnik polityczny, przeciw wszystkim i z lewej, i prawej strony, przeciw władzy przede wszystkim. Dają komentarze, publicystykę, ale też ważne informacje, tylko że podawane na śmiesznie. „NIE" zostało właśnie w ten sposób sformatowane.

Piszemy tylko na nie – taka jest deklaracja we wstępniaku w pierwszym numerze.

Owszem i jeśli ktoś chciałby wyrabiać sobie pogląd na temat Polski tylko na podstawie „NIE", to z góry uprzedzam, że będzie to fałszywy obraz. Jesteśmy pismem od wyrażania krytyki, demaskacji, niechęci, wrogości, a nie od obiektywizmu. Model pisma tak był wymyślony, ale w pełni niezrealizowany. Po pierwsze okazało się, że autorzy dzielą się na tych, którzy potrafią być dowcipni, i na tych, którzy potrafią być dociekliwi dziennikarsko, udaje im się coś wykryć, ale nie potrafią pisać w takim formacie. Powstają nudne piły w ważnych sprawach i dowcipnie pisane teksty w nieważnych sprawach. Nie udało się ujednolicić tonu pisma. Brakowało autorów tekstów, wobec tego drukowaliśmy płachty fotograficzne, jaka to nędza panuje w Wałbrzychu czy w Łodzi. To nawet nie były fotoreportaże, tylko zdjęcia dobierane pod tezę.

W zasadzie jedną tezę – nowe porządki doprowadziły naród do nędzy.

No tak, bo uznałem, że robię pismo dla komuchów rozczarowanych tym, co się stało, broniące ich, ku pokrzepieniu serc. W zdobywcach władzy po ’89 roku nie było najmniejszej wyobraźni, co reformy Balcerowicza znaczyły dla jednej trzeciej społeczeństwa.

Myślał pan w kategoriach komercyjnych czy w kategoriach obrony swojego życiorysu?

Jedno i drugie. Dostosowywałem model do swoich ówczesnych poglądów, nawet nadmiernie i głupio. A z tych poglądów brałem to, co wydawało mi się pokupnym towarem. Chciałem odbudować godność ludzi z PRL, którzy zostali w jakiś sposób sponiewierani, przekreślono ich dorobek, strącono ich z funkcji i honorów z tym związanych nawet w małym miasteczku czy gminie. Z drugiej strony odzieraliśmy z godności tych komuchów, którzy od razu wycierali kolana po kościołach, tych generałów, którzy od razu z organizacji partyjnej rzucili się do służenia do mszy. Taka Polska nam się nie podoba. Ówczesny antykomunizm uznajemy za prymitywny i krzywdzący. Ani nie byliśmy totalitarni, w naszym rozumieniu, ani nie byliśmy komunistyczni. A to są słowa klucze, które pozwalają na zbitki ujemne o dosyć dowolnym charakterze. Pismo odzwierciedla krytycyzm wobec tego, co nastało. A nastało złodziejstwo, znieczulenie społeczne, bezrobocie, obniżenie poziomu życia, dewastacja dorobku przemysłowego. Bardzo źle oceniałem rząd Mazowieckiego, zwłaszcza Balcerowicza. Waliłem w niego, stojąc na stanowisku, że owszem, prywatny sektor tak, ale nie prywatyzacja państwowego, bo prowadzi do wyrzucania ludzi z pracy, bo powinno się modernizować przemysł państwowy, zamiast go sprzedawać. Że Balcerowicz wyprzedaje dorobek PRL, że powinno się iść drogą środka, powolnych reform, a nie drogą wstrząsową. Krótko mówiąc, ostro krytykowaliśmy Balcerowicza, wyobrażając sobie ciągle, że mogło nastąpić połączenie zalet kapitalizmu i wolnego rynku z zaletami socjalizmu, że taki był wydźwięk, sens i zapis porozumienia Okrągłego Stołu. I że Balcerowicz jest zdrajcą tego, z czym „Solidarność” szła do społeczeństwa i do swoich partnerów przy Okrągłym Stole. Byliśmy także przeciwko planom wstąpienia Polski do NATO, uznając, że należy wstrzymać wstępowanie do NATO do czasu przyjęcia

nas do Unii Europejskiej. To były szkodliwe i błędne poglądy wynikające z naszej mentalności komuchów, którzy nie nadążali za historią. Po kilku pierwszych latach, kiedy mogłem porównać Białoruś, Ukrainę i Polskę, zrozumiałem, że nie należy być skamieliną przywiązaną do czegoś, co się dawno zawaliło i straciło wszelkie racje istnienia. No więc się nie upieram przy swoich błędach, a nawet wyrażam skruchę na łamach. Do dziś mi głupio.

Czy zawsze poglądy, które prezentowało „NIE", były pana poglądami?

Bywało, że nie. Wtedy u mnie pisywali ludzie typu Marek Barański, z którym nie miałem specjalnie wspólnych zapatrywań, ale staram się być takim redaktorem, który nie przycina cudzych poglądów. Wiedziałem, że Barański się podoba naszej publiczności, bo ona jest tak samo nastawiona do wszystkiego na nie.

Skąd tak silny antyklerykalizm pisma?

To akurat wkład moich własnych upodobań, ale żeby było jasne, nie mam żadnych osobistych powodów, nigdy nie doznałem przykrości ze strony kleru. Jako człowiek niewierzący uważam jednak, że fundamentem Kościoła jest fałsz. Jestem przekonany, że znaczna część aparatu kościelnego nie wierzy w ten fałsz. Na dodatek mocno mnie rozsierdziło pewne wydarzenie i ono sprawiło, że postanowiłem prześladować kler. Jeszcze w czasach PRL Kisielewski napisał w „Tygodniku Powszechnym", że gdyby władza się zmieniła, to Urban pierwszy by leżał krzyżem w kościele. Zapamiętałem mu to i miałem potrzebę udowodnienia, że się mylił. Ale autentycznie jestem oburzony następującą klerykalizacją państwa. Za skandal uważam wpuszczenie przez Samsonowicza lekcji religii do szkół. Samsonowicz to w końcu stary towarzysz, liberał, niewierzący. Czyli szmata, mówiąc ówczesnym kodem. Wszędzie panoszą się kapelani. W komendzie policji w pokoju, w którym siedział zastępca komendanta do spraw SB, teraz siedzi kapelan. Każda nowa instytucja musi być poświęcona. Zresztą obalaliśmy różne tabu, a wówczas to był Kościół, papież, „Solidarność", Wałęsa. Nietykalni dla prasy, którą przejęła nowa władza, z kolei komuchowskie media bały się jej narazić. Tak więc tylko my przełamywaliśmy tabu i to tak skutecznie, że tym samym traciliśmy

sens istnienia, bo tamy powoli pękały i teraz każdy przywala każdemu. Nie mamy już monopolu na dokładanie Kościołowi.

Po co ten wulgarny język „NIE”?

Zamiarem było używanie języka kolokwialnego. To się nie udawało, bo dziennikarze rzadko potrafią przełamać psychologiczną barierę pomiędzy językiem mówionym a pisanym, która w Polsce jest szczególnie silna ze względu na wieloletnią, jeśli nie wielowiekową, sakralizację języka pisanego. Kolokwializmy trąciły grafomanią, w końcu w znacznym stopniu usuwaliśmy je i z kolokwializmów zostawały same wulgaryzmy. Co prawda nasi czytelnicy ich nie znosili, ale uważałem, że to jest jakiś element nonszalancji, awangardyzmu, jakiegoś sprzeciwu wobec ograniczania wolności słowa w sensie dosłownym. Nie chciałem z tego zrezygnować, uznając, że ci, co się brzydzą, w końcu się przyzwyczają. Tylko że efekt był taki, że wulgaryzmy trzeba było tępić, ponieważ w naszym języku jest ich niewiele i zostały szybko wyświechtane. Na dodatek zastępowały inwencję pisarską, bo najłatwiej jest wsadzić „kurwę”, a trudniej wymyślić jakieś dowcipne sformułowanie. Zaczęliśmy je trzebić, zostawiając tylko tam, gdzie to jest szczególnie uzasadnione. Ale opinia, że jesteśmy pismem wulgarnym, przylgnęła do nas na stałe i w końcu zaszkodziła interesom. Odstręczyła ewentualnych reklamodawców i ograniczyła krąg odbiorców, którzy ulegli przeświadczeniu, że to jest pismo, które trzeba chować przed dziećmi.

Też bym chowała. Po jakimś czasie wulgarność znika z tekstów, natomiast nie z ilustracji. Na mnie to robi wrażenie sztubackiej zabawy. Chłopięca radość, że możemy sobie już gołą babę obejrzeć.

Tak, ten sztubacki duch wciąż istnieje, ale w ilustracjach, nie tekstach. Ale dzięki temu, nie mówię tylko o gołych babach, ale w ogóle o charakterze pisma, wprowadziliśmy trochę luzu do prasy, przewrotności i swobody, wpłynęliśmy na inne środki masowego przekazu. Proszę pamiętać, że prasa przez długi czas była bardzo namaszczona i kaznodziejska.

Dzięki „NIE” i licznym prowokacjom dziennikarskim pan stał się głównym prowokatorem III RP z niezagrożoną pozycją aż do czasu pojawienia się Palikota.

Jeszcze dziś to lubię, ostatnio poszedłem na zebranie Klubu „Gazety Polskiej”, ale niestety nie wywołałem skandalu, na co liczyłem.

Po co panu jeszcze taki skandal?

Żeby mieć dobry materiał dziennikarski. Zresztą pierwsza nasza udana prowokacja była związana z „Gazetą Polską” właśnie. Wezwali do pikietowania kiosków, żeby ludzie nie kupowali „NIE”. Nic takiego się nie stało, łatwiej wzywać, niż urządzić. W takim razie my przygotowaliśmy transparenty, hasła, jakie to „NIE” jest obrzydliwe i nasi ludzie poszli pod kiosk w centrum Warszawy. Wszystko wyglądało na prawdziwą prawicową akcję. Ktoś zadzwonił do redakcji „Gazety”, przyjechali, zaczęli się bratać z moimi ludźmi, dumni, że naród taki prawy i ich posłuchał. Wrócili do redakcji i dali relację z pikiety. Tylko że my zamieściliśmy kontrrelację, fotoreportaż z przygotowań, szykowania transparentów itd. Od tego czasu „NIE” w ogóle się nie pojawia jako tytuł do zwalczania w „Gazecie Polskiej”. Wie pani, mnie nie zależy na skandalu dla samego skandalu. Te nasze prowokacje raz były udane, raz nie, ale zawsze zamiarem było obnażenie jakiejś głupoty bądź nieprawidłowości.

Co miała obnażyć kolacja z gangsterami z Pruszkowa?

To był sprzeciw wobec robienia sprawy „Teleexpressowi” za to, że swoją rocznicę obchodzili w knajpie, która miała jakieś związki z mafią. Ponieważ to była impreza prywatna, chciałem zwrócić uwagę, że w wolnym kraju, a przecież taki już nam miłościwie nastał w przeciwieństwie do niewolnego PRL, prywatnie obywatel może się bawić, z kim chce i gdzie chce.

Panuje przekonanie, że to pan stoi za najbardziej skandalizującą prowokacją lat 90., czyli za Anastazją P. i jej książką „Erotyczne immunitety”, w której opisuje swoje doświadczenia seksualne z najważniejszymi politykami.

To teoria spiskowa, a jak w takich przypadkach bywa, jest w niej nieprawda i tylko trochę prawdy. Było tak: podczas wakacji w Sopocie moja żona zobaczyła cudnej urody sandały. Niestety, nie było rozmiaru. Właściciel sklepu zaproponował, żebyśmy pojechali do niego do domu, bo tam ma większe. Pojechaliśmy, wyniknęła dłuższa towarzyska rozmowa. Wspomniał nam o znajomej, która ponoć krąży po Sejmie jako lobbystka od kasyn i może opowiedzieć dużo ciekawych historii o kulisach sejmowych. Wysłałem dziennikarza, zrobił z nią wywiad, powiedziała coś o erotycznych ekscesach posłów i na tym nasz kontakt się skończył. Po pewnym czasie zadzwonił do mnie szef wydawnictwa BGW, że chciałby zaproponować jej książkę i czy mógłbym go z nią skontaktować. Mój udział w powstaniu książki ograniczył się więc do tego, że przyprowadziłem tę Domaros *vel* Anastazję P. do restauracji na spotkanie z wydawcą. Gdy książka wyszła i zrobił się szum, postanowiłem zabawić się w gazecie. Wzięliśmy fikcyjny ślub, obfotografowany mocno na użytek „NIE”, potem jeszcze raz pojawiłem się z nią na sylwestrze, udając wciąż, że jesteśmy parą. Tyle mojej roli w skandalu.

Prowokacji w „NIE” jest mnóstwo. A to robi pan okrągły stół prostytutek polskich i ukraińskich, a to chce pan kupić kościół, żeby urządzić w nim dyskotekę i kasyno, a to przejeżdża pan przez miasto otwartą limuzyną z woskową figurą Wałęsy. Czy jakaś wasza prowokacja nie była tylko zabawą, ale dziennikarską interwencją?

Pamiętam jedną, która doprowadziła do zmiany absurdalnych przepisów. Otóż w latach 90. istniał przepis, że do Polski bez cła można przywieźć z zagranicy ćwiartkę wódki. A nigdzie na Zachodzie nie sprzedają ćwiartek. Wysłałem człowieka do Berlina, kupił pół litra, przekracza granicę, a celnik każe mu zapłacić cło. On na to uprzejmie, że w takim razie cło się należy za ćwiartkę, a za drugą według prawa nie. Celnicy zbaranieli. I zaczęła się wojna, czy należy zapłacić cło za pół butelki, czy za całą. Butelkę zaaresztowali. Skończyło się kompromisem, nasz człowiek na oczach celnika wypił pół butelki i wtedy wpuścili go bez cła. Po naszej relacji szybko zmieniono przepisy. Bawienie się państwem w jego absurdalnych przejawach było siłą „NIE”.

Ważna jest pośrednia rola tygodnika. My pierwsi po 1990 r. atakowaliśmy „Solidarność”, Kościół, papieża – obalaliśmy ówczesne tabu tematyczne. Inne media, widząc, że nikt nas za to nie karze, a taka postawa daje rynkowy sukces, szły stopniowo naszym śladem. Odblokowaliśmy krytykę różnych dziedzin i zjawisk. No i stawaliśmy się coraz mniej oryginalni.

Tylko że od początku jesteście gazetą przemilczaną, żadne teksty ani prowokacje nie wywołują debaty publicznej, mimo że w pewnym momencie sprzedajecie pół miliona egzemplarzy.

Dla jednej strony nie jesteśmy w obiegu jako pismo komuchowskie, nieprzyzwoite, którego nie wolno brać pod uwagę, bo robi mu się reklamę, a co gorsza, ktoś pomyśli, że traktuje się je poważnie. Przemilczanie jest pewną metodą, od Michnika poczynając, na prawicowych mediach kończąc. Lewicowe pisma też ignorują „NIE”. Oni z kolei ze względu na poczucie konkurencji, na kompleksy, na jakieś obrazy, że wywlekamy również i lewicy jakieś grzechy, a przecież jest ona piękną i cnotliwą panną. To jeden z powodów spadku „NIE”. Poza tym skończyły się początkowe profity z tego, że budziłem zaciekawienie również u tych, co uważali, że jestem najgorszą kanalią, ale byli ciekawi, co taka kanalia powie. A potem skończyła się ciekawość Urbana, bo wiadomo, co ma do powiedzenia, natomiast zostaje piętno Urbana. Czyli to, co było motorem, teraz jest przeszkodą. Ale nie aż taką, żeby z biegiem czasu słabnące „NIE” miało zmieniać redaktora, bo ci czytelnicy, którzy zostali, są przyzwyczajeni do Urbana. Jest to pismo autorskie, więc jestem do tych taczek przywiązany. Może się mylę.

Zmiana warty na lewicy. *Po rozwiązaniu PZPR i kongresie założycielskim SdRP w 1990 roku, wszyscy byliśmy bardzo optymistyczni i zadowoleni, że pozbyliśmy się jakiegoś garbu. Po kongresie pojechaliśmy do Wilanowa na kolację – Kwaśniewski, już jako szef SdRP, Miller świeżo wybrany sekretarz nowej partii, Rakowski, chyba Reykowski i ja. Było bardzo wesoło, opijaliśmy nowe czasy.*

No właśnie, lewica ma do pana żal, ale przeglądając „NIE”, można zauważyć, że od pewnego momentu i pan ma coraz większy żal do lewicy. Zacznijmy jednak od początku. Wkrótce po zmianie ustroju następuje zmiana warty na lewicy, dochodzi do rozwiązania PZPR. Proszę opowiedzieć o kulisach tej decyzji.

Rzecz była oczywiście dyskusyjna, bo po cóż rozwiązywać partię, która zawarła porozumienie przy Okrągłym Stole, ma reprezentację parlamentarną, milion członków i znaczną liczbę sympatyków związanych z nimi choćby rodzinnie. Tak wyglądały racje za nierozwiązywaniem. Natomiast racje za rozwiązaniem były z kolei takie, że trzeba iść do przodu, że PZPR to nie była partia, tylko partia-państwo, a partia-państwo nie może funkcjonować w systemie wielopartyjnym, jest obcym organizmem w czasach, jakie nastały. Lepiej więc zmienić nazwę i zaprezentować odrębność programową. Ma stać się socjaldemokracją. Nic nowego na świecie, były partie eurokomunistyczne, które w pewnym momencie zasilały w istocie rzeczy socjalistów. Kolejnym argumentem było to, że trzeba się pozbyć ludzi, którzy wstępowali do partii władzy. Teraz nie ma władzy, więc ci ludzie i tak odejdą, bo nie ma dla nich koryta. Ale jest majątek PZPR i jak go zachowamy, będziemy mieli środki, żeby budować od nowa silną partię. Ponadto tym, którzy w tej chwili reprezentują lewicę, czyli Kwaśniewskiemu, Millerowi, bliższe są programy socjaldemokratyczne niż pezetpeerowska przeszłość. I ten punkt widzenia zwyciężył. Rakowski przychylił się do tej koncepcji, chociaż miał nadzieję, że zostanie naturalnym przywódcą nowej partii. Ktoś mu powiedział, ale to nie byłem ja, chociaż panuje takie przekonanie, że potrzebne są nowe twarze. Ja bym nie śmiał mu tego powiedzieć.

Od razu było wiadomo, że Kwaśniewski zostanie szefem?

To było oczywiste, w pewnym momencie również dla Rakowskiego. I ustąpił bez walki.

W styczniu ’90 roku przed kongresem założycielskim SdRP padają z ust Rakowskiego słynne słowa: „Sztandar wyprowadzić”. Jaki był nastrój tego kongresu?

Duże podniecenie. Obawialiśmy się rozłamu, bo nie znaliśmy siły Tadeusza Fiszbacha, który realizował koncepcję lewej nogi Wałęsy, nie mogliśmy przewidzieć reakcji starych pezetpeerowców. Trwały kombinacje, w jaki sposób wszystko zmienić, ale nie stracić majątku PZPR. Przed budynkiem energicznie manifestowali antykomuniści. Znowu nasi zachowali się głupio, bo trzeba było do nich wyjść i zapytać, przeciw czemu oni tak manifestują, przeciwko rozwiązaniu PZPR? Po kongresie pojechaliśmy do Wilanowa na kolację – Kwaśniewski, Miller, Rakowski, chyba Reykowski i ja. Było bardzo wesoło, opijaliśmy nowe czasy. Wszyscy byliśmy bardzo optymistyczni i zadowoleni, że pozbyliśmy się, w naszym rozumieniu, jakiegoś garbu. Złożyłem deklarację o przystąpieniu do SdRP. Sztandar wyszedł, Urban wszedł. Początki były zabawne. Jak pierwszy raz poszedłem do siedziby mojej partii przy Rozbrat, ogarnęło mnie poczucie *déjà vu*. Siedzimy w sali urządzonej tak samo jak Biuro Polityczne. Ten sam stół, te same krzesła, ten sam gobelin na ścianie. Potem widzę, że podają inne obiady szefom, a inne w stołówce pracownikom, tak jak to było w KC. Dostaję różne dokumenty programowe poprzedzone formułą „odbite na polecenie członka prezydium”. W PRL powielacz był traktowany jako bardzo niebezpieczna broń, żeby coś skopiować, trzeba było mieć decyzję jakiegoś sekretarza KC. Na Rozbrat powielarki są już ogólnie dostępne i nie ma cenzury, ale ten rytuał trwa.

Pojawiły się marzenia o powrocie do władzy?

Ależ nie. Wtedy ambicją było pozbierać nowych ludzi, wypchnąć stary pezetpeerowski aparat i zobaczyć, jaka z tego wyniknie siła. Mocarstwowe nastroje, w których uczestniczyłem, to był rok ’93, po wyborach.

Lewica się bawi. *U nas w domu. Jeszcze przed aferą Rywina, przed podziałami, obrazami. Po wygranych wyborach w ’93 roku mieliśmy niewyobrażalną satysfakcję. Nikt się nie spodziewał, że potomkowie umarłego porządku, poniewierani, oskarżani, osiągną wynik pozwalający rządzić.*

A pan sam nie miał ochoty wrócić do polityki?

Nie. Nawet zaproponowano mi w ’93 roku pierwsze miejsce w Bydgoszczy, które było pewne, bo tam SLD wygrywa przez całe dziesięciolecie, ale odmówiłem publicznie. Napisałem w „NIE”, że jako symbol lat osiemdziesiątych szkodziłbym swoją osobą partii. Ale główną rolę odegrały motywy osobiste. „NIE” było potężne, ja byłem niezależny. Jestem sobie panem, krytykuję, kogo chcę, zarabiam kupę pieniędzy. Nie widzę motywacji.

Jest ’93 rok. Wygrywacie wybory zaledwie w cztery lata po oddaniu władzy. Zaskoczenie?

Przede wszystkim niewyobrażalna satysfakcja, ponieważ lata 1989–1993 zdominowało potępienie naszych ludzi, poprzedniego ustroju. Nikt się nie spodziewał, że potomkowie umarłego porządku, poniewierani, oskarżani, osiągną wynik pozwalający rządzić.

Prześladowcom PRL mógł pan wreszcie pokazać język…

Zrobiłem to żywiołowo, ten jęzor świetnie oddawał stan moich emocji. Nie był to celowo przygotowany happening, o co jestem posądzany do dziś. Po pierwsze nie byłem zaproszony na wieczór wyborczy, bo jako postać hańbiącą SdRP czy SLD nie zapraszały mnie na żadne wieczory, czy przegrane, czy wygrane. Ale wtedy przyjechał z Paryża mój przyjaciel Ludwik Stomma i chciał tam iść. Poszedłem z nim; czekając na wynik wyborów, piliśmy w barze. Zabrałem ze sobą butlę szampana, żeby wręczyć zwycięzcom. Gdy wszedłem na salę po ogłoszeniu wyników, wszystkie kamery obróciły się na mnie. Wywaliłem jęzor i w ten sposób niezamierzenie rozbiłem Kwaśniewskiemu i Millerowi uroczystość celebracji zwycięstwa. Wściekłość była tak wielka, że podobno nigdy tej flaszki nie otworzyli.

Paradoksalnie, gdy pana formacja wzmacnia się, dochodzi do tego, że macie i premiera, i prezydenta, jest pan wobec niej coraz bardziej krytyczny, zwłaszcza w stosunku do Millera. Skąd ta niechęć?

Na pewno nie bierze się z jakichś uprzedzeń prywatnych, bo przez wiele lat bardzo go lubiłem. Wpierw widzę w nim młodego, ożywczego działacza partyjnego, który otworzył wrota świątyni, zaprosił do stołówki KC antykomunistyczną młodzież i odbył otwartą dyskusję publiczną. Odwaga, świeżość. Potem trochę mnie raziło, że on tym dokonaniem tak się chwalił, jakby szturmował Somosierrę. Jak Miller został sekretarzem generalnym przy Kwaśniewskim, też byliśmy w przyjaźni. Przełomowym momentem dla Millera była funkcja ministra spraw wewnętrznych. „Wprost” napisał o nim „kanclerz”. Jemu to się bardzo spodobało i poczuł, że robi samodzielną karierę. Radziłem mu, wciąż z sympatii, żeby przestał jeździć na otwarcie jakichś remiz strażackich, bo minister spraw wewnętrznych nie powinien zajmować się niezliczonymi ceremoniałami podległych mu służb, tylko sprawami poważnymi. On tego rodzaju sugestii nie przyjmował. W każdym razie nie zapisał się jako kanclerz żadnym wpływem na państwo. Pokazał tylko swoją ambicjonalność. Wtedy już chodziłem skwaszony Millerem, choć wciąż pod jego urokiem osobistym.

Dopiero jak został premierem, zaczął mnie poważnie irytować. To w CIA składa wizytę, to Kuklińskiego ściska, to księdza Jankowskiego odwiedza. Nigdy nikt księdza Jankowskiego nie odwiedzał, będąc premierem. Następuje u niego jakaś niepojęta dla mnie autodemaskacja niewrażliwości społecznej. Pierwszym pomysłem jego rządów było obcięcie ulg na przejazdy dla studentów, a to przecież oznacza elitaryzowanie studiów. Potem obcięcie dotacji dla barów mlecznych. Wywołało to dużo protestów, przyniosło mało zysku, bo skutki finansowe obu tych posunięć były zupełnie nieistotne, zostało tylko mocne wrażenie, że lewicowy rząd uderza w najbiedniejszych. Marginalne niby sprawy, ale mające głęboki społecznie sens. Potem pomysł podatku liniowego, przesiadywanie w Business Centre Club, te wszystkie kolacje z milionerami… Wtedy trochę się obracałem w środowisku bogaczy i wiedziałem, że oni się chwalą, że tu był Miller, tam był Miller. Pamiętam, jak Jakubowska została szefem jego doradców, powiedziałem jej, żeby zrobiła wypiskę z kalendarza Millera i pokazała mu, ile razy w ostatnim roku był na kolacjach u milionerów, a ile u naukowców, artystów, już nie mówię robotników. Jednym słowem obserwuję, jak robi się politykiem idącym na pasku wielkiego kapitału i jednocześnie nie respektuje wrażliwości lewicy. Na dodatek w stosunkach z Kościołem wychodzą

kompleksy starego komucha, męczyliśmy tak ten Kościół wcześniej, to teraz musimy się wykazać i przypodobać.

Do tego wszystkiego dochodzi serwilizm wobec Amerykanów. Pamiętam lunch na kilkanaście osób. Jest zastępca ambasadora USA, jakiś ważny urzędnik z Ameryki, który przyjechał w sprawie kupna amerykańskich rakiet. I w pewnym momencie mówi tak: „Albo wy nas uważacie za strategicznego sojusznika i kupujecie te rakiety, albo nie kupujecie i nie ma mowy o strategicznym sojuszu". Czyli otwartym tekstem przy osobach postronnych, takich jak ja, wywiera bezczelny nacisk. I nikt nie wstaje i nie mówi: „Panie, coś pan, nie przyjechałeś do kolonii!". Potem rząd, który ma być niby-lewicowy, bez dyskusji przystępuje do wojny z Irakiem. Jak się do tego dołoży dzisiejszą wiedzę o Kiejkutach, to ten serwilizm Millera wobec Ameryki staje się niesmaczny. Wszystko to sprawia, że dla mnie w swoich działaniach jest to rząd prawicowy, o minimalnej frazeologii lewicowej. Nie podoba mi się to.

W pewnym momencie pisze pan wprost o oligarchizacji władzy. Potem będą panu zarzucać, że przyczynił się do upadku SLD i stworzył Kaczyńskiemu świetny grunt pod budowę IV RP.

Nie było to moim zamiarem, nie pisałem, że oligarchizacja już istnieje, co bezpodstawnie twierdził Kaczyński, przestrzegałem jedynie, że może to się stać. Chciałem naprawy, a nie pogrążenia. Bo to poszło w niebezpieczną stronę zrastania się władzy z wielkim biznesem. Dowiaduję się, że Kwaśniewski podobnie jak Miller traktuje bogaczy. Z przykrością teraz przeczytałem, że jest na liście doradców Kulczyka. To każe rozumować wstecz, że może jakaś odpłata mu się należy. Wówczas w prywatnych rozmowach zwracam mu uwagę na niestosowność pewnych sytuacji. Na przykład nie jest elegancko, kiedy urzędnik z kancelarii prezydenckiej dzwoni do prezesa Orlenu i domaga się trzystu tysięcy złotych na bal arystokratów w Wiśniczu, bo patronuje mu prezydentowa. I nie jest elegancko, kiedy dzwonią do setek gości zaproszonych na imieniny prezydentowej, żeby się składać na prezent, a tym prezentem jest bransoleta. Pytam: ile? Pięćset. Gdzie posłać? Na przyjęciu podejdziemy do pana i weźmiemy. Podeszli i wzięli. To wszystko jest takie niesmaczne. Kwaśniewski potrafi krytycznie spojrzeć na Millera, chociaż swoich

błędów nie dostrzega. Opowiada mi na przykład, jak pewnego dnia przyjeżdża do kancelarii premiera z niezapowiedzianą wizytą. Siedzą w gabinecie Millera i nagle wchodzi któryś z wielkich biznesmenów. Prezydent rozmawia z premierem, a ten wkracza jak do swojego mieszkania.

Takich historii jest coraz więcej, wychodzą poza gabinety. Siedzę na kongresie SLD i nagle Miller przerywa jakiemuś mówcy, bo na salę wszedł Gudzowaty. Wita go, daje znak na oklaski, sala robi owację, prowadzi go na mównicę, Gudzowaty coś mówi, znów owacje. Zasiada na sali bez żadnego tytułu. Dwa tysiące delegatów domyśla się oczywiście, kto zapłacił za lokal, służby porządkowe, za te kaszanki i piwo. Przydarza mi się niełądna historia. W przerwie obiadowej jadę do redakcji, za mną samochód policyjny. Na Powiślu zajeżdża mi drogę drugi w poprzek jezdni. Podają balonik do dmuchania. Chucham, nic. Policjant przeprasza, ale mieli sygnał, że jadę pijany. Czyli z tego zjazdu przyjaciół ktoś, zakładając, że coś musiałem wypić, zadzwonił na policję. Takie to wszystko zniechęcające.

Piszę więc poważne artykuły krytykujące zrost biznesu z władzą, ale jako że jestem członkiem tej partii, wciąż zaprzyjaźniony z Millerem i Kwaśniewskim, nie wykorzystuję konkretnej wiedzy, żeby nie ułatwiać życia opozycji. Te teksty są bardziej ogólne, wskazujące na proces. Nie przynoszą żadnego rezonansu. Mówiłem też Millerowi o swoich zastrzeżeniach podczas zebrań think tanku mózgowców lewicy, do którego mnie zapraszano. On wysłuchiwał naszych mądrych rad, ale czułem, że to gra pozorów. Słucha, a myślami jest gdzie indziej. Ale właściwie byłem z nim ciągle w dobrych stosunkach, on tę krytykę znosił. Rzecz poszła na ostro dopiero przy sprawie Rywina.

Afera Rywina. *Uważam, że nie afera zniszczyła lewicę, tylko jej skutek w postaci komisji sejmowej. Na lewicę już wcześniej się nazbierało. Choćby styl życia. Stykałem się z lewicą poza formalnymi zebraniami na nieskończonych przyjęciach. Ciągle ktoś miał imieniny, urodziny. Kwaśniewski, Kwaśniewska, Miller, Jaskiernia Jerzy z jakimś innym Jerzym. Wszystkie przyjęcia w luksusowych knajpach czy pałacach rządowych.*

Na początku sierpnia 2002 roku pisze pan tekst ostrzegający SLD przed zgnilizną w szeregach. Nie pada tam żaden konkret, ale tekst jest mocno oskarżycielski. Pan już wtedy wie o wizycie Rywina u Michnika?

Oczywiście, Michnik mi wszystko zaraz opowiedział. Poszedłem do Millera i mówię mu, że na jego miejscu jak najszybciej ogłosiłbym publicznie, że nadużyto jego zaufania, że nikomu nie wolno chodzić po łapówki, powołując się na premiera, że nikomu z partii rządzącej nie wolno robić żadnych dziwnych interesów, że to, co się zdarzyło, powinno stać się ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy mają udział we władzy, że Miller będzie tępił wszelkie korupcyjne zachowania. Miller na to, że powstanie tylko szum, nikt się nie połapie, czy ja ukradłem rower, czy mnie ukradziono. Lepiej tego nie wyciągać, bo przecież nic się nie stało, nikt nikomu pieniędzy nie przekazał, co ten Rywin sobie wyobraził, jakiś niepoważny facet. Byłem innego zdania. Nawet gdyby była to niewinna rzecz i nie wywołała żadnych skutków, jest okazja, żeby huknąć, ponieważ formacja jest pomawiana o liczne interesy korupcyjne. A poza tym użyto twojego nazwiska, tłumaczę, brak reakcji na to czyni cię podejrzanym. Coś tam odpowiedział i rozstaliśmy się. Potem poszedłem do Kwaśniewskiego i mówię, że na mój nos z tego może być afera. Kwaśniewski też to zbagatelizował na zasadzie „no, zobaczymy”. Wkrótce zaczęły się dziać dziwne rzeczy wokół mojej osoby. Przychodzili do mnie różni ministrowie, po kolejnej takiej wizycie odniosłem wrażenie, że każdy zjawia się na polecenie premiera, by dowiedzieć się, co ja wiem i z czym wyskoczę. Nie w sprawie Rywina, podejrzewają, że mam worek z innymi aferami i zacznę je opisywać. Na końcu Barcikowski, szef UOP, zaprasza mnie na kolację. Traktuję to jako spotkanie towarzyskie, bo się dobrze znamy. Aż tu nagle Miller mówi publicznie, że szef UOP przesłuchał Urbana i Urban nie ma żadnych konkretów przeciwko lewicy. Wściekłem się i zareplikowałem, że jak mnie znajomy zaprasza na kolację, to nie nazywam tego przesłuchaniem. I że nigdzie nie mówiłem, że znam jakieś afery, bo gdybym o nich wiedział, tobym publikował. Natomiast ostrzegałem go, że panuje ogólnie zły klimat wokół formacji. Ten cykl wydarzeń sprawił, że Miller uznał mnie za śmiertelnego wroga.

Nie chciałabym zagłębiać się w skomplikowaną materię afery Rywina, bo i tak pewnie nie dojdziemy do prawdy. Jest ona ważna z punktu widzenia naszej rozmowy, bo od tego momentu lewica zaczyna się sypać i do dziś się nie odbudowała.

To pewne uproszczenie historyczne. Uważam, że nie afera zniszczyła lewicę, tylko jej skutek w postaci komisji sejmowej. Rola afer w dziejach jest tego rodzaju, że mogą być wielkie afery o małych skutkach i małe afery o wielkich skutkach. Na lewicę już wcześniej się nazbierało. Na własne życzenie straciła wiarygodność programową i społeczne poczucie, że jest to formacja poważna, której nie tylko o coś chodzi, ale też umiejętnie rządzi. Na to się złożyło wiele spraw naraz. Choćby styl życia. Stykałem się z lewicą poza formalnymi zebraniami na nieskończonych przyjęciach. Ciągle ktoś miał imieniny, urodziny. Kwaśniewski, Kwaśniewska, Miller, Jaskiernia Jerzy z jakimś innym Jerzym. Wszystkie przyjęcia w luksusowych knajpach czy pałacach rządowych. Nawet jak wyjeżdżałem w teren, zawsze czekała potem kolacja w zaprzyjaźnionej knajpie. Kto za to płacił – nie wiem, przypuszczam, że zapłatą była kolejna koncesja. Czyli ten bankietowy styl szedł z góry do dołu. Z kolei jak poszedłem kilka razy na zebranie koła partyjnego, stwierdziłem, że nie ma sensu w tym uczestniczyć, bo nie poruszano żadnych politycznych kwestii, zajmowano się tylko tym, kto nie zapłacił składki. Kolejny czynnik, który sprawił rozczarowanie, był taki, że lewica nikomu niczego nie załatwiała, poza posadami dla swoich. Dużo gadała, ale ludziom z PGR-ów nie pomogła w najmniejszym stopniu. Wtedy to był realny dramat i można było coś zrobić. Rozczarowała wszystkich, których mogła rozczarować, na wszystkich frontach. W sensie moralnym Kuklińskim, ustępowaniem pola Kościołowi, w sensie gospodarczym sposobem prywatyzowania i niezaciekawieniem losem tych, którzy zostali zdegradowani i nie mieli z czego żyć. Odżyła nomenklatura w postaci rozdawania posad wedle politycznego klucza. U Mazowieckiego to było ograniczone do rzeczywiście politycznych stanowisk. Tu stało się po prostu formą zachowania elektoratu. Demokracja wewnątrzpartyjna niewiele różniła się od demokracji wewnątrz PZPR w jej okresie schyłkowym. Wkrótce nie miało powodu powstać u wyborcy rozumowanie, że będę głosować na SLD, bo oni zapewnią mi coś, co leży w moim interesie. Jeszcze przez jakiś czas głosowało się na SLD na zasadzie przekory, bo solidaruchy nas kopią,

gardzą nami, bronimy swojej godności. Ale powoli ludzie się przystosowywali do nowych warunków życia. Ci, którym było lepiej w PRL i wyraźnie gorzej w III RP, przywykli do tego statusu. Nie mieli już odruchu buntu. Młodzi nie przybywali do SLD, oprócz tych, którzy robili to wyłącznie dla kariery, tak jak do wszystkich innych partii, mających możliwość zaoferowania pewnej podpórki w życiu. Tak wyglądało społeczne podłoże, dla którego skandale, w tym afera Rywina, miały taki duży rezonans. Trafiła na odpowiedni grunt.

Urodziny generała. *To zdjęcie z przyjęcia, jakie zorganizowaliśmy w moim domu na 75. urodziny Wojciecha Jaruzelskiego. Między mną a generałem panują wciąż stosunki jak między wyznawcą a guru, poddanym a królem. Ten człowiek ma magiczne właściwości i to nie jest magia polityczna, bo on w ogóle nie uwodzi w ten sposób. To jest jakaś magia osobowości.*

Czy widział pan kogoś, kto mógłby lewicę jeszcze uratować?

Przez chwilę wydawało mi się, że taką postacią może stać się Cimoszewicz, była w nim jakaś czystość moralna. Szybko się jednak zorientowałem, że ma cechy charakteru, które uniemożliwiają mu bycie poważnym politykiem. Obrażalski, z muchami w nosie. A poza tym on tak naprawdę nie ma żądzy władzy, a jak ktoś jej nie ma, to jej nie dostanie. Tak naprawdę lewicę mógł uratować tylko Kwaśniewski. Przy wszystkich jego wadach, błędach, jakie popełnił podczas prezydentury, przy wszystkich jego snobizmach i skłonnościach do bratania się z wyższymi sferami, to sam jego talent i wyczucie polityczne, wdzięk, umiejętność wygrywania wyborów czyniły z niego naturalnego przywódcę. Przed końcem prezydentury Kwaśniewskiego opublikowałem propozycję, żeby abdykował trzy miesiące przed końcem kadencji, oddał władzę marszałkowi Sejmu, którym był wtedy Borowski, stanął na czele SLD i wystartował w wyborach parlamentarnych. Pomysł był całkiem dobry. Kwaśniewski zebrałby dużo głosów jako szalenie popularny prezydent. Rezygnacja z fotela prezydenta zrobiłaby dobre wrażenie, ludzie uznaliby, że nie trzyma się kurczowo stołka, tylko chce zrobić coś dobrego dla kraju i formacji. W ten sposób miałby szanse na premierostwo i odgrywanie silnej roli politycznej. Czyli wymyślam manewr, który i dziś wydaje mi się trafny. Po czym Kwaśniewski mi mówi, że to jest psychologicznie niemożliwe, żeby z prezydenta stać się premierem. W Rosji jakoś to jest możliwe. Uważam, że zwierzę polityczne, któremu o coś chodzi, powinno tak postąpić.

Ale wie pani, sam się zastanawiam, czy lewica w tradycyjnym pojęciu ma jeszcze rację bytu. Słuchałem niedawno wykładu Zygmunta Baumana na ten temat. Bauman, który dla mnie jest największym umysłowym autorytetem, podchodzi do tego sceptycznie. Biorąc pod uwagę wszystkie tendencje współczesnego świata, uważa, że to, co stanowiło tradycyjny etos lewicy, rozpłynęło się w dwojakim sensie. Z jednej strony stało się wartościami uniwersalnymi, z drugiej lewica nie ma pomysłu na współczesne tendencje globalizacji przez zapatrzenie w przeszłe już problemy. Wobec tego Bauman uważa, że lewica przestała

być potrzebna jako wyróżnik polityczny, bo interesy społeczne kształtują się po nowemu.

To na kogo pan będzie głosować?

Przedtem zawsze głosowałem na SLD, bo miałem poczucie przynależności do stada. Ostatnio na Ruch Palikota i tak zostanie. Moja żona głosuje na PO, ale ja nie mógłbym oddać głosu na partię Gowina.

Życie syte

Podoba się panu współczesna Polska?

Wiem o niej z drugiej ręki. Nie stykam się ze współczesną Polską, ponieważ nie uprawiam od dawna zawodu reportera, nie jeżdżę. Rzeczywistość znam jako redaktor pisma, które silnie dotyka rzeczywistości, jako czytelnik gazet, jako widz telewizyjny i jako pracodawca, który wie trochę o różnych kłopotach współtowarzyszy pracy. Moim oknem na świat i życie ludzi jest żona, która jeździ codziennie na rowerze i przywozi wieści, bo ja się z domu nie ruszam, przewożony przez kierowcę samochodem jak paczka. Opowiada mi na przykład o koleżance, którą wyrzucili z pracy z banku, nie ma jak spłacić kredytu. Z kolei w środowisku, w którym obcuję, wszyscy żyją jak pączki w maśle. Czyli dwoistość rzeczywistości. Konstancin, w którym mieszkamy, jest też miejscem dwoistym, bieda przemieszana z bogactwem. Nie tak jak na Zachodzie, gdzie jak powstaje osiedle bogatych ludzi, to biedni wyprzedają działki, bo ziemia jest tak droga, że warto.

Jak wygląda teraz pana życie?

Jest pełne ograniczeń związanych z wiekiem. Prawie nie chodzę, nie piję, niechętnie podróżuję, bo wyjazdy kończą się na tym, że siedzę w pokoju hotelowym i czytam książkę, nie ma więc po co wyjeżdżać. Przychodzę z pracy i najchętniej idę do łóżka poczytać. Nie mam ochoty na życie towarzyskie, na rozmowy telefoniczne, wszystko załatwiam przez żonę. Uwiąd bodźców życiowych, ambicji. Mówię o rzeczach normalnych, jak się dobiega osiemdziesiątki. Wedle powszechnych kryteriów żyje mi się jednak znakomicie. Jestem zdrowy. Mam domy, samochody, kryty basen. Zatrudniam dużo służby. Kierowca, młody menedżer i dwie kobiety. Jak do tego dodać dwie sekretarki na zmianę i sześciu wartowników, którzy pracują też w ogrodzie, to robi się ekstrawagancja nawet wśród ludzi bogatych. W sensie materialnym niczego mi nie potrzeba, nie pożądam też niczego, na co mnie nie stać. Nie mam nawet marzeń. Kiedyś ich było

dużo, teraz staram się nawet sztucznie je wywoływać. Codziennie pół godziny pływam w basenie. To strasznie nudne zajęcie, więc muszę zająć czymś głowę. Wymyślam więc marzenia. Przychodzi mi to z coraz większym trudem.

Jak wyglądają te sztuczne marzenia?

Nic tajemnego, bo nawet jak próbuję snuć fantazje erotyczne, od razu fabuła skręca w inną stronę. Na przykład pod wpływem jakiejś lektury wyobrażam sobie, że pod koniec 1940 roku spotykam się z Hitlerem, będąc człowiekiem mającym współczesną wiedzę, i mówię mu, co się z nim stanie. Albo opowiadam rodzicom o swoim dzisiejszym życiu.

Wspominał pan o barierze kulturowej związanej z wydawaniem pieniędzy. Nadal istnieje?

Nie i już trudno byłoby mi zrezygnować z wygody, którą dają pieniądze. Ten dom odzwierciedla wzrost aspiracji. Kilka razy go rozbudowywaliśmy, bo z początku był tak ciasny, że nie było gdzie zjeść, gdzie usiąść. Budowałem, gdy żonie i mnie brakowało wyobraźni dotyczącej przyszłych potrzeb. Już kiedy się wprowadzałem, te potrzeby okazały się większe niż zwyczaje wyniesione z M ileś. Mamy tu spory ogród, ja go nie wykorzystuję. Raz do roku urządzaliśmy tam huczne przyjęcia, może nie na wzór moich burżujskich sąsiadów, ale z wynajętymi kelnerami, z żywą muzyką. Dla mnie to było uciążliwe, bo trzeba było witać gości, chodzić od stolika do stolika i zabawiać. Teraz nie utrzymujemy już stosunków towarzyskich z bogaczami, którzy tu mieszkają, oprócz jednej rodziny. Inne więzy popękały, Maryla Rodowicz obraziła się już dawno za jakiś mój felieton, z Rywinem znajomość się zerwała po aferze. Przez moje publiczne funkcjonowanie część znajomości się popsuła. Uważam jednak, że jeśli zajmuję się stałym atakowaniem różnych ludzi, to nie mogę mieć pretensji.

W redakcji „NIE”. *Żałuję, że nasze teksty są przemilczane przez resztę mediów. To jeden z powodów spadku sprzedaży „NIE”. Poza tym skończyły się początkowe profity z tego, że budziłem zaciekawienie również u tych, co uważali, że jestem najgorszą kanalią, ale byli ciekawi, co taka kanalia powie. A potem skończyła się ciekawość Urbana, bo wiadomo, co ma do powiedzenia, natomiast zostaje piętno Urbana. Czyli to, co było motorem, teraz jest przeszkodą. Ale nie aż taką, żeby „NIE” miało zmieniać redaktora. Jest to pismo autorskie, więc jestem do tych taczek przywiązany. Może się mylę.*

Pana rodzice dożyli pana zamożności?

Ojciec nie, umarł w ’87 roku. Natomiast matka dożyła, umarła w ’93 roku, nic jednak nie rozumiała z tego, co się wydarzyło w moim życiu. Była w pełni władz umysłowych, ale nasze rozmowy wyglądały tak: „Wyobraź sobie, że służąca poszła na Koszyki i kupiła włoszczyznę o pięćdziesiąt groszy taniej niż na Polnej”. Mamo, tłumaczyłem, ty nie rozumiesz, że ja zarabiam dużo pieniędzy i nie powinnaś w najmniejszym stopniu zajmować się sprawami cen, ciebie na wszystko stać. „To, że ty zarabiasz, to nie powód, żeby przepłacać włoszczyznę” – odpowiadała. W ogóle nie rozumiała skali mojej zamożności, która wtedy była wielokrotnie większa niż dziś. I sporządzała staranne testamenty, rozdzielała jakieś stare prześcieradła, kupony materiałów. Nigdy nie mówiłem, ile zarabiam, bo dla niej to byłoby nie do pojęcia. Miała w banku dolary jako „zabezpieczenie na starość”. Ja zarabiałem dziesięć razy tyle dziennie.

Jacht „Aurora”. Właśnie sprzedaliśmy, bo moje życie jest pełne ograniczeń związanych z wiekiem. Prawie nie chodzę, nie piję, niechętnie podróżuję, bo wyjazdy kończą się na tym, że siedzę w pokoju hotelowym i czytam książkę, nie ma więc po co wyjeżdżać. Nie mam ochoty na życie towarzyskie. Uwiąd bodźców życiowych, ambicji. Mówię o rzeczach normalnych, jak się dobiega osiemdziesiątki.

Jak w takiej sytuacji zachował pan lewicową duszę?

Nie mam wrażliwości lewicowej, mam lewicowość wyrozumowaną. Popieram idee lewicowe, jestem za równością, ale bynajmniej nie chcę jej podlegać. Głosowałbym za 75-procentowym podatkiem dla najbogatszych, ale kombinowałbym, żeby go nie zapłacić. Moja ciotka Rózia, *primo voto* Aronson, potem Poznańska, mówiła już od najmłodszych moich lat, że jestem urodzonym burżujem, który tylko patrzy, żeby mieć dobrze uszytą marynarkę, amerykańskie papierosy i zimną wódkę. I wyśmiewała się z mojej lewicowości, uspokajając moją matkę, że jest jak ospa, minie i nie wróci. Bo rzeczywiście lewicowość zawsze łączyłem z, jak na owe czasy, luksusami – ubranie na miarę, nie jeździłem na tanie wczasy, wolałem wcale nie jechać, nie podróżowałem za granicę, bo nie stać mnie było na hotel, a mieszkanie u znajomych wydawało mi się przejawem statusowego upadku. To wszystko było objawem po trosze snobizmu, a po trosze aspiracji do wygodnego życia. I na ogół żyłem lepiej niż otoczenie. Jestem więc typowym przedstawicielem kawiorowej lewicy. Nie przekroczyłbym jednak granicy politycznej i nie pomyślałbym: ubodzy, zdychajcie.

Jestem lewicowcem jako skrajny dziś liberał. Wróg nacjonalizmu, progresista, zwolennik równości kobiet, wróg kościelnych zakazów skrobanek, antykoncepcji, miłośnik wolnej miłości itd., itd. Tak jak cała elita umysłowa postkomuchów. Kontrast między liberalizmem i postawą prolibertyńską i antyhierarchiczną a moją wiernością PRL-owi bardziej mnie kłopocze niż sprzeczność między ideową lewicowością a stylem życia człowieka zamożnego. W kawiorowej lewicowości nie jestem bowiem osamotniony. W samookreślaniu się jako komuch – tak.

Na tle polskich życiorysów mojego pokolenia uważam swoje życie za dość spójne politycznie, a ideowo dostosowane do biegu rzeki. Odróżniam się od innych umiejętnością spadania na cztery łapy i szczerością. Nazywane jest to cynizmem.

Tożsamość

Na koniec porozmawiajmy o pana tożsamości. Kim pan się czuje – Żydem czy Polakiem?

W latach wojny Łódź była wcielona do Rzeszy Niemieckiej i Polaków wysiedlano z miasta. Zaraz po wyzwoleniu Polacy nosili biało-czerwone kokardki, żeby odróżnić się na ulicy od Niemców. Ja odmawiałem noszenia. Dopiero dziś wiem, że wówczas z 11-letniego Urbana wyłaził Żyd. Dlaczego? Raziło mnie manifestowanie narodowej tożsamości. Poza tym wyczuwałem analogię z okupacyjnymi opaskami nakazanymi Żydom. Ci bez kokardek mieli być napiętnowani jako gorszy gatunek ludzi.

Zawsze jednak czułem się Polakiem i nie miałem podwójnej tożsamości. Wiedząc o pochodzeniu, tyle się nim przejmowałem, ile wiedzą o innego typu społecznie interesujących korzeniach, powiedzmy arystokratycznych, węgierskich, czeskich czy francuskich. Jednym słowem mam świadomość, że moje żydowskie pochodzenie może w jakiś niepostrzeżony sposób ważyć na osobowości, ale nie mam poczucia, że mnie konstytuuje. Natomiast już zaraz po wojnie starałem się kontestować ukrywanie żydowskości, wynikające wówczas z okupacyjnych kompleksów, lęku ludzi ocalonych. Ja swojego pochodzenia ani nie ukrywałem, ani nie eksponowałem. Ale jak na mojej „dzielnicy” ktoś z ZMP zwyzywał po pijanemu mojego przyjaciela od Żydów, ujmowałem się za nim, robiłem skandal. Tylko że nie wynikało to z poczucia solidarności etnicznej, ale z zetempowskiej ortodoksji, która zakazywała wyzywać Żydów. Zresztą wyłącznie Żydów, bo nie istniały dzisiejsze poprawności polityczne, więc inne drugorzędne w rozumieniu ogólnospołecznym stworzenia, jak Cyganie, homoseksualiści, kobiety czy kaleki, nie były chronione. Problem pochodzenia w moim środowisku w ogóle nie istniał, ani w szkole, ani na uczelni, ani we wczesnych latach zawodowych. W „Nowej Wsi” czy „Po prostu” Żydów było mnóstwo.

Mówiliście w swoim gronie o korzeniach?

Niespecjalnie, istniały inne, ważniejsze wyróżniki – polityczne. Czy się było z ZMW, czy z OMTUR, czy wojnę spędziło się w Związku Radzieckim, czy w Polsce. Poza tym doskonale wiedzieliśmy, kto jest Żydem, i sami czasem używaliśmy między sobą tej właściwości jako epitetu. Na przykład jeśli moja przełożona, siostra słynnego Józefa Światły, pani Obozowicz, jadła ze mną obiad i nagle mówi: „Eee… nudzisz mnie", moja pierwsza myśl była taka: rozkapryszona Żydowica. Uznawałem, że w tej arogancji jest mieszanina poczucia właścicielki Polski Ludowej i pewnego rozkapryszenia środowiskowego. Mówiliśmy między sobą, że te baby mają przewrócone w głowie, że odstawiają rolę dygnitarek na drugiej linii, bo mają koneksje na pierwszej linii, stąd nonszalancki stosunek do wszystkich. To się zmieniło w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy za Gomułki zaczęto się pozbywać Żydów.

Czy wtedy czuł pan środowiskową solidarność?

Nie. Po pierwsze chodziło mi o własną czystość w ocenach. Tak jak nie chciałem w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych sprzymierzać się z opozycją z tego powodu, że nie mam pracy i jestem szykanowany, tak i teraz nie chciałem, żeby pochodzenie zaślepiało mi ogląd sytuacji. A jak już pani wspominałem, dla mnie antysemityzm nie był głównym nurtem wydarzeń marcowych, bo pod nim kryły się próba restalinizacji, wzięcia za mordę liberalizacji, hunwejbinizm. Jednym słowem mieszanina rozmaitych dążeń, ale z dominacją nacjonalistycznego rygoryzmu. Antysemityzm był dla mnie tylko instrumentem do osiągnięcia tego celu, i on przede wszystkim wydawał mi się groźny.

Ale zapewne mnóstwo pana znajomych wyemigrowało po Marcu.

Oczywiście i chodziłem ich żegnać na Dworcu Gdańskim. Tylko że starałem się te zdarzenia widzieć wielostronnie. Potem napisałem, chyba w „Szpilkach", że ich nie kłopotało, kiedy tą wykluczoną mniejszością byli akowcy, ponadto sami tworzyli ten system, który ich teraz wypycha. Trochę relatywizowałem ich krzywdy. Prywatnie byłem po stronie żydowskiej, ale nie uważałem, że oto właśnie świat się wali. Z punktu widzenia proporcji i mojej wiedzy historycznej, na przykład o tym, co się działo w Związku

Radzieckim w związku z tzw. spiskiem lekarzy, kiedy Żydów wsadzano do więzień, torturowano i rozstrzeliwano, w Polsce zaledwie wyrzucano z co lepszych posad. Jak na ten ustrój to nie był maksymalny dramat. Owszem, paskudne szykany wedle rasowego klucza, ale nie aż takie, żeby się bać, uciekać.

Jak odebrali tekst pana znajomi?

Niechętnie. Istniał już twardy podział my – oni. Oni świnie, a my ofiary i koniec. Byłem ostrożnie umiarkowany w tych oburzeniach, bo już w ’56 roku zostałem wyklęty przez środowiska partyjnych Żydów jako rozsadnik antysemityzmu. Pisałem, jak to oni określali, wywołujące antysemityzm, antyizraelskie kawałki. A ja opisałem po prostu to, co zobaczyłem podczas podróży po Izraelu. Pierwsze złe wrażenie zrobiło na mnie towarzystwo, z którym leciałem. Cały samolot był wypełniony Żydami z Wałbrzycha i okolic, mówiącymi w jidysz. Biegali, krzyczeli, pełno było nieznośnych bachorów. Awanturowali się, że nie ma cytryn do herbaty. Nie wiem, skąd takie żądania, skoro w Polsce cytryn nie było wcale, a zachowywali się tak, jakby bez tej cytryny nie mogli przeżyć. Mieliśmy międzylądowanie w Monachium, otwarły się drzwi, obsługa lotniska nosiła czapki, jak Wehrmacht, rozległ się głośny niemiecki szwargot. Całe żydowskie towarzystwo ucichło natychmiast i na paluszkach wyszło z samolotu. Odczułem paskudną satysfakcję.

W Izraelu powitała mnie rodzina. Ciotka, siostra mojej matki, kończyła w Paryżu biologię i pracowała w Instytucie Pasteura. Jej piękny mąż był rosyjskim Żydem, białym wojskowym. Wyemigrował najpierw do Paryża, gdzie skończył architekturę i był asystentem Le Corbusiera. W 1930 roku wyjechali z Paryża u zarania kariery, bo jemu we łbie usadowił się syjonistyczny pionieryzm. Jako ideowy pionier postanowił pracować na roli w Izraelu. Przyjechali, na roli nie pracowali, w ogóle nie pracowali. Kiedy przyjechałem, wujek krzyczał: „Zostań tutaj, bo i tak wy wszyscy tu przyjedziecie, nie ma innej drogi”. Patriota kolosalny, nie pozwalał przy sobie mówić po polsku, bo w syjoniście tkwił Wielkorus. Całe jego życie polegało na tym, że rano ubierał się ślicznie, szedł do kawiarni, siedział do obiadu z innymi panami. Po obiedzie kładł się na drzemkę. Potem szedł do swojej pracowni architektonicznej, gdzie się

zamykał i porządkował znaczki. Udawał sam przed sobą, że pracuje. Pokazał mi swój dorobek architektoniczny, to był jeden domek na przedmieściu. Natomiast moja ciotka nie wiadomo dlaczego nie założyła laboratorium, choćby najprostszego, do badania krwi. Jak przyjechali, była jedynym bakteriologiem z laboratoryjnym doświadczeniem w państwie. Moja matka przysłała jej w prezencie archaiczny warsztat tkacki, ona tkała artystyczne tkaniny, sprzedawała je do sklepów i z tego żyła cała rodzina. Miałem poczucie, że wdepnąłem w dom wariatów, w którym na dodatek panowała straszna nienawiść do Polski. Jeździłem po Izraelu, szukając tych wspaniałości, które miałyby sprawić, że jak wuj wygrażał, wszyscy tu i tak wylądujemy. Zawieźli mnie do Beer Szewy na pustyni Negew, stolicy pustynnego regionu, gdzie byli uchodźcy z Polski, świeżo przybyli w ’56 roku, kiedy otwarto granice. To miasto szumnie nazywali laboratorium architektonicznym, stawiane domy miały być jakimś ósmym cudem świata. Tymczasem zobaczyłem dwa rzędy baraków z blachy falistej, z których wyległa cała ludność, z dziećmi, babciami na wózkach inwalidzkich. To wyglądało jak wiec. Wiedzieli, że pracuję w „Po prostu” i zaczęły się same lamenty: „Panie redaktorze, pieniędzy nie dają, jeść nie dają, żyć w tej blasze na pustyni nie sposób, każą nam pracować przy budowie domów w 50-stopniowym upale, dramat”. Poczułem lekką satysfakcję, te wspaniałości państwa Izrael tak właśnie wyglądały. A w dodatku na każdym kroku spotykałem się z niesłychanym nacjonalizmem, właściwie już szowinizmem, z ziejącą nienawiścią wobec świata, a szczególnie Polaków. To we mnie wywołało przekorne wzmocnienie polskości i niechęć do Żydów.

W dwanaście lat później, jesienią ’68 roku, „Polityka” drukuje pana tekst „Rodzaj rasizmu”, w którym wspomina pan tę podróż właśnie w duchu doświadczenia żydowskiego szowinizmu. Trwają akurat czystki rasowe, a pan za największych rasistów uznaje Żydów.

Widzi pani, ważny jest kontekst. W tym tekście są dwie rzeczy idące przeciw kampanii antysemickiej. Po pierwsze wyjaśniałem, że syjonizm nie jest żadną światową ideologią, tylko ideologią nacjonalistyczną, a nawet rasistowską, że syjonizm wykluczał wszystkie inne formy bytowania Żydów poza Izraelem. Wówczas to była myśl kontestacyjna, bo w Polsce

nazywano syjonizmem wszystko to, co dotyczyło rozpleniania się Żydów po świecie, w komunizmie, finansjerze, jednym słowem był to synonim podboju świata. Drugi element kontestacyjny wobec atmosfery marcowej zawierał się w puencie, która brzmi tak, że nacjonalizm czy szowinizm to coś najgorszego, co może dotknąć każdy naród. Pisałem, że posługuję się przykładem Izraela, bo tam byłem i widziałem to na własne oczy, ale gdybym był w RPA i dostrzegł takie zachowania, też bym je opisał. To była aluzja, że groźba dotyczy w tej chwili Polaków, bo właśnie upodabniamy się do Izraela. Ten tekst był starannie czytany i rozważany przez antymarcowców z redakcji „Polityki", a w każdym razie przez jej kierownictwo, które uznało, że bardzo dobrze oddaje opis tego, czym naprawdę jest antysemicka awantura na szczytach władzy.

Pisze pan tam o sobie „jestem Żydem". Czy takie „wyjście z szafy" było wówczas powszechne?

Ależ skąd, wtedy wszyscy milczeli. Z mojej strony to było prowokacyjne, zresztą taką linię przyjąłem przez całe życie. Nigdy osobiście nie spotkałem się z żadnymi antysemickimi przykrościami, nikt mi na płocie nie napisał „ty Żydzie". Wiążę to właśnie z obraną przez siebie taktyką, że jak będę głośno krzyczał: „Jestem Żydem, parchem, gudłajem", rozbroję ataki. To trik samoobronny, którego używam na wszystkich polach – jestem komunistą, jestem bogaty, jestem dorobkiewiczem.

Mówi pan, że czuje się Polakiem, ale w wielu wywiadach podkreśla pan, że nie znosi polskiego patriotyzmu. Gdzie w takim razie przebiega pana identyfikacja z polskością?

Przed '89 rokiem byłem, trudno powiedzieć, że żarliwym, ale w każdym razie zdecydowanym patriotą PRL. Wszystko, czym Polska się różni *in plus* od innych krajów socjalistycznych, było przedmiotem mojej dumy. Przed oddaniem władzy baliśmy się polskiego klerykalnego nacjonalizmu. Nam się naprawdę wydawało, że jeśli oddamy władzę, to trafi w ręce jakiejś petainowskiej formacji, jakiegoś księdza Tiso. Miłym zaskoczeniem dla wszystkich, od Jaruzelskiego począwszy, był Mazowiecki i to wszystko, co się potem zdarzyło. Nastąpił więc moment ulgi. Potem tendencja nacjonalistyczna zaczęła być silna w życiu politycznym.

Nacjonalizm stawał się siłą antydemokratyczną, antyeuropejską i zaczął nabierać form organizacyjnych, wchodzić do Sejmu. To był początek podziałów politycznych, które dziś mają kulminację. Wówczas zacząłem krzyczeć, że nacjonalizm jest główną groźbą dla państwa polskiego. Kiedy zaczęła się narodowa tromtadracja, uznałem, że projekt europejski to jest to, bo państwo narodowe było powodem wszystkich nieszczęść w historii, a polski nacjonalizm jest ohydny, jego objawy są śmieszące. Pisałem, że nie jestem entuzjastą Polski, tylko jej niewolnikiem, bo nie znam innych języków i pracuję w polszczyźnie, której jestem więźniem. Drażniłem, ale w istocie rzeczy nie jestem nihilistą narodowym. To uformowanie się polityczne w pewien skrajny kostium, przesadnie krzykliwy wobec tego, co naprawdę myślę, bo przecież nie potrafię mieszkać poza Polską dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Czuję się całkowicie wyobcowany w jakimkolwiek innym kraju. Całe życie siedzę w Polsce i siedziałbym cicho, gdyby lud smoleński nie machał tymi biało-czerwonymi sztandarami.

Czy tak samo jak nacjonalizmu obawiał się pan antysemityzmu?

Antysemityzm tlił się pod powierzchnią, wydobyła go książka Grossa o Jedwabnem. Gross włożył ten problem do głównego nurtu rozważań, i dobrze, bo lepiej takie rzeczy wyciągać, niż pozwalać na podskórne życie. Ale na mnie ta książka zrobiła wrażenie nie tym, że w Jedwabnem spalono Żydów w stodole, bo o pogromach przecież wiedziałem, ale tym, że panował aż taki ostracyzm wobec ludzi, którzy ratowali Żydów. Od tego czasu zacząłem śledzić wszystkie publikacje na ten temat. Otworzyły we mnie jakieś emocjonalne pokłady, których wcześniej nie miałem, ponieważ moje bezpośrednie oglądanie okupacji było złagodzone. Na dodatek fakty opisane w tych książkach uświadomiły mi, że to wszystko ma w jakimś stopniu dalszy ciąg. Tym dalszym ciągiem nie jest oczywiście szykanowanie Żydów. Po pierwsze, z braku obiektów, po drugie weszło już w zakres poprawności politycznej, że nikt nie powie o sobie: „Jestem antysemitą”, tylko: „Nie jestem antysemitą, ale...”. Natomiast pewne uprzedzenia, niechęci mające podłoże etniczne są wciąż żywe. PiS nie jest antysemicki, ale jest tak nacjonalistyczny, że mam wrażenie, że tylko sztucznie tłumi antysemityzm. Nie mówię o samym Kaczyńskim, ale gdyby w ten tłum smoleński rzucić uprawdopodobnione

hasła, że to Żydzi zabili pasażerów samolotu, to w ciągu pięciu minut by chwyciło.

Wie pani, jeśli mam podsumować moje poczucie przynależności, powiem tak: jestem Polakiem żydowskiego pochodzenia. Efektem tego jest poczucie podwójnego wstydu, bo nacjonalizm jest właściwością i Żydów, i Polaków.

Indeks nazwisk

A

Ambroziewicz Jerzy 97, 168

Andrzejewska Karyna 152

Andrzejewski Jerzy 81, 140, 152-153

B

Bajbakow Nikołaj 201, 216

Baka Władysław 211, 247, 273

Balcerowicz Leszek 249, 251, 274, 306-307

Banaszak Hanna 160

Barańscy (rodzina) 49, 52

Barański Marek 271, 308

Barcikowski Andrzej 326

Barcikowski Kazimierz 269, 287

Bartoszewski Władysław 209

Baryła Józef 286

Bauman Zygmunt 23, 87, 330-331

Bereza Henryk 140

Berezowska Maja 87

Berkowicz Andrzej 65, 68, 78, 86, 122, 154-155

Berling Zygmunt 54, 56

Berman Jakub 70, 83

Bieńkowski Władysław 93

Bierut Bolesław 63, 182

Bijak Jan 113

Bisztyga Jan 279

Borkowicz Wanda (pseud., zob. Urban Jerzy) 121
Borowski Marek 330
Brandys Kazimierz 87
Bratkowska Anna 88
Bratkowski Stefan 17, 115
Bratny Roman 87
Breżniew Leonid 258-259, 280
Bristiger Julia 83
Broniewski Władysław 80
Bułhakow Michaił 150

C

Celiński Andrzej 177, 272
Chruszczow Nikita 84, 94
Ciastoń Władysław 230
Cimoszewicz Włodzimierz 329
Ciosek Stanisław 183, 192, 194, 199, 249, 251, 265-266, 269, 286
Cybulski Zbigniew 80, 141-142
Cyrankiewicz Józef 63, 154, 287
Czajkowski Piotr 43
Czang Kaj-szek 42
Czarzasty Zygmunt 276-277
Czeszko Bohdan 81, 87
Czyrek Józef 269, 286-287

D

Dałkowska Ewa 156
Daniszewska Małgorzata 11, 15, 303

Dąbrowska Maria 152
Deutscher Izaak 65
Dietrych Tadeusz 287
Dobosz Andrzej 87
Domaros Marzena 311-312
Drewnowski Tadeusz 110
Dygat Stanisław 87, 140
Dynensonowie (rodzina) 91
Dziedzic Irena 281
Dziewanowski Kazimierz 85-86, 115, 269

E

Erenburg Ilja 42
Erhard Ludwig 249

F

Fikus Dariusz 17, 41, 107, 137, 155-156, 161, 172, 200
Fikus Feliks 41
Fiszbach Tadeusz 197, 316
Fonda Jane 291
Forbes Malcolm 225
Forbes (rodzina) 224
Franco Francisco 84
Frelek Ryszard 121
Frumkin Aleksander 31
Frumkinowie (rodzina) 30-31, 33, 40

G

Garlicki Andrzej 286

Geremek Bronisław 183, 272

Giedroyc Jerzy 98, 172

Giełżyński Wojciech 136

Gierek Edward 115, 119, 128-130, 134-136, 173-174, 180, 182, 199, 231-232, 289, 303

Główczyk Jan 122

Gogol Nikołaj 248

Golde Hanna 150-151

Gombrowicz Witold 34

Gomułka Wiesław 94, 96-99, 101-103, 115-116, 119-126, 129, 134, 152, 158, 166-167, 180, 182, 289, 345

Gorbaczow Michaił 257-260, 263, 280, 303

Gorgonowa Rita 43

Gowin Jarosław 331

Górnicki Wiesław 177, 195, 197, 201-203, 207

Górski Konrad 91

Granas Romana 106, 111

Griszyn Wiktor 260

Gross Jan Tadeusz 351

Grotowski Jerzy 93

Gudzowaty Aleksander 323

H

Habsburg Maria Teresa 297

Hegel Georg Wilhelm Friedrich 67

Herbert Zbigniew 149

Hertz Paweł 140

Himilsbach Jan 153-154

Hitler Adolf 35, 279, 335

Hłasko Marek 82, 87, 90-91, 140, 146, 149-150, 152

Hohenzollern Wilhelm II 273

Holland Agnieszka 79, 137

Honecker Erich 260

I

Iłowiecki Maciej 156

Iredyński Ireneusz 151

Iwaszkiewicz Jarosław 152

J

Jakubowska Aleksandra 321

Janajew Giennadij 257

Jancarz Kazimierz 235

Janiszewski Michał 193-194, 281

Jankowska Janina 281

Jankowski Henryk 235, 321

Jan Paweł II (Wojtyła Karol) 13, 176, 240

Jaruzelski Wojciech 16, 97, 109, 177-178, 180-182, 191-193, 195-201, 206-216, 220-222, 226-227, 229, 231-232, 234, 237, 240-242, 249-250, 252-254, 256, 260-261, 266, 268, 271-273, 279-282, 286-287, 289, 293, 303, 328, 351

Jasienica Paweł 87, 140, 169

Jaskiernia Jerzy 324, 327

Jędrusik Kalina 126, 140

Jurczyk Marian 175

K

Kaczyński Jarosław 99, 322, 352

Kádár János 260

Kafka Józef 87

Kałużyński Zygmunt 137

Kania Stanisław 176, 182, 215

Kaufman Michael 229

Kąkol Kazimierz 127

Kennedy Jacqueline 113

Kennedy John F. 113

Kępińska Elżbieta 111, 156, 290-291

Kieniewicz Bolesław 55

Kieślowski Krzysztof 137

Kisielewski Stefan 109, 115, 308

Kiszczak Czesław 19, 194-195, 197, 228, 231-232, 234, 237-238, 242, 250, 269, 272-273, 281, 289, 292-293

Kleer Jerzy 110

Kliszko Zenon 116, 121

Kociołek Stanisław 231

Koestler Arthur 65

Kołakowska Tamara 91

Kołakowski Leszek 87, 90-91, 123, 296

Kon Maks 37

Konwicki Tadeusz 87

Korwin-Mikke Janusz 172

Kosińscy (rodzina) 59, 61

Kosiński Jerzy 59, 61

Kotarbińska Janina 143

Kotarbiński Tadeusz 87, 170

Kott Jan 108

Kowal Paweł 254

Kowalska Anna 156, 172

Krall Hanna 17, 108, 137, 175

Król Marcin 265, 271

Krzemiński Adam 110

Kubiak Hieronim 221, 231, 287

Kukliński Ryszard 227, 229, 321, 329

Kulczyk Jan 322

Kulikow Wiktor 216

Kuroń Jacek 17, 48, 166, 171-172, 269, 275, 281

Kurz Andrzej 193

Kutz Kazimierz 199

Kwaśniewska Jolanta 324, 327

Kwaśniewski Aleksander 22, 241, 255-256, 269, 272-273, 287, 314, 316-317, 320, 322-327, 330

Kwiatkowski Stanisław 276

L

Lasota Eligiusz 87, 100-101

Le Corbusier 347

Lenin Włodzimierz 31, 258

Lewis Flora 190

Lipski Jan Józef 169, 171

Luksemburg Róża 73

Ł

Łapicki Andrzej 277-279

M

Maklakiewicz Zdzisław 153

Marks Karol 69

Martyka Stefan 85

Matwin Władysław 150

Mauroy Pierre 193

Maziarski Jacek 108

Mazowiecki Tadeusz 172, 176, 183, 203, 272, 274, 281, 283, 302, 307, 329, 351

Messner Zbigniew 256

Michnik Adam 17, 22-23, 140, 171-172, 200, 263, 269-270, 313, 325

Milewski Mirosław 231, 237

Miller Leszek 22, 255-256, 269, 272, 314, 316-317, 320-327

Miłosz Czesław 149

Minkiewicz Janusz 141

Miodowicz Alfred 272

Moczar Mieczysław 125

Moczulski Leszek 173

Modzelewski Karol 166, 171-172, 265

Morawski Jerzy 93

N

Namiotkiewicz Walery 97, 168

Natorf Włodzimierz 72

Neurode Brunon 57

Nieszporek Ryszard 172

Nowak-Jeziorański Jan 98, 155

Nowakowski Wiesław 85

O

Obozowicz Krystyna 345

Oleksy Józef 22, 255-256

Oliwa Włodzimierz 286

Olszewska Barbara 131

Olszewski Jan 93, 97-99, 168

Olszowski Stefan 97, 198, 231

Onyszkiewicz Janusz 192, 268

Orszulik Alojzy 239

Osiecka Agnieszka 87, 141, 143-145, 147-149, 172

Osóbka-Morawski Edward 56

Ossowska Maria 87, 169

Ossowski Stanisław 87, 169

Ostrowski Michał (pseud., zob. Urban Jerzy) 236

P

P. Anastazja (zob. Domaros Marzena)

Palikot Janusz 310, 331

Passent Daniel 110, 119, 147-148, 155, 157-159, 172, 175, 286

Pell Gene 223-224

Penderecki Krzysztof 152

Pietrzak Jan 159

Pilch Jerzy 14

Piłsudski Rowmund 94

Pińkowski Józef 182

Piotrowski Grzegorz 237-238

Podemski Stanisław 108

Popiełuszko Jerzy 234-235, 237-238, 289

Poznańska Róża 339

Pożoga Władysław 249-250

Przemyk Grzegorz 19-20, 233

R

Radgowski Michał 107, 113, 137, 155, 163

Radziwiłł Janusz 41

Rakowski Mieczysław 107-108, 110-111, 113-116, 118-121, 127, 129-131, 135-137, 155-156, 159-162, 173-175, 177, 180, 192, 194-195, 197, 199, 206, 216, 220, 228-229, 231-232, 234, 242, 246, 248-249, 255-256, 260-261, 263, 266, 280, 286, 290-291, 293, 302, 314, 316-317

Reagan Ronald 210, 263

Rem Jan (pseud., zob. Urban Jerzy) 122

Reykowski Janusz 231, 273, 287, 314, 317

Rifkind Malcolm 297

Rodowicz Maryla 144-145, 337

Rokita Jan 12, 275

Rokossowski Konstanty 63

Rolicki Janusz 97, 131, 162

Różański Józef 83

Różewicz Tadeusz 87

Rybczyńska Irena 79, 86

Rywin Lew 13, 318, 324-326, 329, 337

S

Sadowski Zdzisław 247

Samsonowicz Henryk 308

Sartre Jean-Paul 97

Schaff Adam 65
Sekuła Ireneusz 246, 248, 288
Siedlecka Joanna 61
Siwak Albin 213
Siwicki Florian 194, 281
Skalski Ernest 175
Słonimski Antoni 116, 140
Smolar Eugeniusz 297
Staff Leopold 149
Stalin Józef 30, 65, 123
Staniszkis Jadwiga 151, 172
Starewicz Artur 101
Stomma Ludwik 319
Stryjkowski Julian 140
Susid Leon 80-81
Szacki Jerzy 87
Szczepański Jan Józef 231
Szczepański Maciej 131, 133
Szejnert Małgorzata 108, 119
Szeliga Zygmunt 162
Szydlak Jan 232

Ś

Światło Józef 345

T

Taylor Elizabeth 126
Tejchma Józef 197

Thatcher Margaret 263

Tiso Jozef 351

Toeplitz Krzysztof Teodor 132, 177

Trocki Lew 65

Turowicz Jerzy 255

Turski Marian 128

Turski Ryszard 93

Tusk Donald 179

Tuwim Julian 29, 41, 149

Tyrmand Leopold 87, 90

U

Urban George 296

W

Wajda Andrzej 55, 130

Waldheim Kurt 297

Wałęsa Lech 93, 175, 177-179, 183, 193, 197, 210, 238-239, 251-252, 257, 272, 309, 312, 316

Wańkowicz Melchior 125

Wasilewska Wanda 56

Wawrzecki Stanisław 125

Ważyk Adam 140

Werblan Andrzej 106

Weschler Lawrence 79

Wiatr Jerzy 177

Wieniawa-Długoszowski Bolesław 154

Wierzyński Maciej 131

Wilczek Mieczysław 247, 287
Wiłkomirska Wanda 111, 155, 160, 293
Witkacy (zob. Witkiewicz Stanisław Ignacy)
Witkiewicz Stanisław Ignacy 87
Wojtyła Karol 13, 176, 240
Woroszylski Wiktor 87
Wróblewski Andrzej 17, 108, 110, 155, 175
Wrzesińska Barbara 156, 160

Z

Zarzycki Janusz 120
Zawadzki Aleksander 264, 268
Zdanowski Henryk 110
Zembaty Maciej 277, 279
Zielińska Krystyna 120
Zimand Roman 93

Ż

Żółkiewski Stefan 106
Żymirski Michał (właśc. Rola-Żymierski Michał) 63

O czym mowa w tej książce:
To opowieść o burzliwym życiu. Wojenne przygody żydowskiego chłopca, komunizowanie w szkolnych latach, październikowy bunt, nieoczywista identyfikacja z polską i żydowską tożsamością. Kolejne zakazy pisania wydawane przez władzę za szydzenie z niej, przyjaźnie w kręgu inteligencji krytycznej wobec PRL coraz mocniej spychały go ku opozycji. I nagle stanął u boku generała Jaruzelskiego. Potem został prowokatorem i skandalistą.
Jakie były tego motywy?

Na tle polskich życiorysów mojego pokolenia uważam swoje życie za dość spójne politycznie, a ideowo dostosowane do biegu rzeki. Odróżniam się od innych umiejętnością spadania na cztery łapy i szczerością. Nazywane jest to cynizmem – tak Jerzy Urban mówi o sobie w wywiadzie biograficznym. Wyjątkowym, bo rozmowa prowadzona jest na serio, bez prowokacji. Gęste życie, nieoczywiste wybory, a w tle cztery epoki: wojna, stalinizm, PRL i III RP. We wszystkich Jerzy Urban zaznacza swoją odmienność.

wydawnictwo czerwone i czarne
www.czerwoneiczarne.pl